

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO  
Józefa Piłsudskiego w Warszawie



**Od Filii do Wydziału  
Wychowania Fizycznego  
w Białej Podlaskiej**

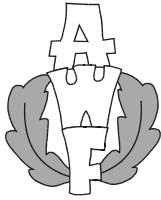
35 lat historii

Biała Podlaska 2005

**Od Filii do Wydziału  
Wychowania Fizycznego  
w Białej Podlaskiej**

**35 lat historii**





**75 LAT**

AKADEMIA WYCHOWANIA FIZYCZNEGO  
Józefa Piłsudskiego w Warszawie

Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego  
w Białej Podlaskiej



**35 LAT**

# **OD FILII DO WYDZIAŁU WYCHOWANIA FIZYCZNEGO W BIAŁEJ PODLASKIEJ**

**Zjazd absolwentów  
z okazji XXXV-lecia uczelni  
3-5 czerwca 2005 r.**

Biała Podlaska

Copyright © by Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego  
w Białej Podlaskiej

Redakcja:  
**Teresa Jaślikowska-Sadowska**

Opracowanie techniczne:  
**Izabela Litwiniuk, Agnieszka Jadach, Artur Litwiniuk**

Projekt okładki:  
**Wojciech Szucki, Teresa Jaślikowska-Sadowska**

Wydawca:  
Akademia Wychowania Fizycznego  
Józefa Piłsudskiego w Warszawie  
Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego  
w Białej Podlaskiej

ISBN 83-920273-5-3

Skład i druk:  
Usługowy Zakład Poligraficzny „INTERGRAF”  
Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 33

# SPIS TREŚCI

<b>Wstęp</b> .....	7
<b>Danuta Nałęcka:</b> Wspomnienia pierwszych lat białskiej uczelni wychowania fizycznego .....	25
<b>Maria Ujma:</b> Wspomnienia o bibliotece, ludziach i Związku Nauczycielstwa Polskiego .....	33
<b>Zdzisław Jobda:</b> AWF w mojej pamięci... ..	49
<b>Józef Starzyński:</b> Wspomnienia .....	61
<b>Krystyna Kałuża:</b> Wspomnienia młodego asystenta .....	65
<b>Kunegunda Włostowska:</b> Człowieczeństwo jako istotna wartość w relacji nauczyciel-uczeń .....	69
<b>Sławomira Suchożębrska:</b> Wspomnienia .....	77
<b>Janusz Wyciszkiewicz:</b> Wspomnienia „Wujka” .....	85
<b>Janusz Gałęcki:</b> Krótkie reminiscencje mieszkańca akademika .....	93
<b>Zofia Serafin-Cicirko:</b> Zatrzymane we wspomnieniach .....	99
<b>Teresa Jaślikowska:</b> To były piękne dni... ..	107
<b>Maria Żmigrodzka-Fernandes:</b> Wspomnienie z lat studenckich (1975-1979) .....	119
<b>Waldemar Dziaczkowski:</b> Wspomnienia .....	123
<b>Stanisław Sacharczuk:</b> To były czasy! .....	129
<b>Marek Jobda:</b> Wspomnienia .....	135
<b>Leszek Cicirko:</b> Rok 1977 .....	137
<b>Jan Szwiec:</b> Z pamiętnika absolwenta... ..	139
<b>Jolka Maryńczak:</b> Wspomnienia .....	147
<b>Jacek Krakowiak:</b> Moje wspomnienia .....	155
<b>Dorota Frankowska:</b> Z życia siatkarki... ..	157
<b>Wiesław Bobowik:</b> Studencki klub „Meta” w latach 1980-1989 .....	163



---

<b>Ireneusz Chaliburda:</b> „Dwa metry na macie” .....	167
<b>Dariusz Szoda:</b> Wspomnienia .....	171
<b>Krzysztof Okapa:</b> Wspomnienia ze studiów 1988-1992 .....	177
<b>Zbigniew Bujak:</b> Wspomnienia ze studiów .....	187
<b>Mariola Zajkowska-Magier:</b> Wspomnienia .....	191
<b>Tomasz Wieczorek:</b> Wspomnienia .....	195
<b>Agnieszka Jadach:</b> Ku pamięci... ..	219
<b>Karina Rubacka:</b> Bardzo świeże wspomnienia... ..	229
<b>Dezyderata</b> .....	231

# Wstęp

Z chwilą, gdy władze uczelni podjęły decyzję o zorganizowaniu zjazdu absolwentów z okazji jubileuszu 35-lecia, zrodził się pomysł wydania książki, której treści pozwoliłyby pracownikom i absolwentom przypomnieć sobie „stare dobre czasy”, a obecnym i przyszłym studentom przybliżyłyby historię i klimat minionych lat.

Do napisania tych kilku słów wstępu upoważnia mnie fakt, iż chcę z całego serca podziękować tym, którzy pozytywnie odpowiedzieli na moją prośbę i zechcieli podzielić się swoimi wspomnieniami z lat pracy oraz studiów w naszej uczelni.

Treść niniejszej książki stanowią fakty, zawarte we wspomnieniach nauczycieli akademickich, pracowników administracji i absolwentów. Nie narzucano żadnych ograniczeń, co do objętości i formy nadesłanych prac. Niektóre z nich uzupełnione są zdjęciami, ale najcenniejsze są szczerze i wiarygodne relacje uczestników wydarzeń, tworzących akademicką rzeczywistość Białej Podlaskiej na przestrzeni lat 1969–2005.

Na początku książki przedstawiono historię uczelni, a następnie te wspomnienia, których autorzy byli świadkami tworzenia pierwszej wyższej uczelni w naszym mieście. Prace absolwentów ułożono według roczników, od najwcześniejszych do ostatnich.

Z przyjemnością otwierałam koperty i czytając ich zawartość, często ze łzami w oczach – ze śmiechu, ale też tęsknoty za minionymi latami – przypominałam sobie ludzi i zdarzenia z czasów moich studiów.

Oddając niniejszą książkę do rąk czytelników wyrażam nadzieję, że będzie ona przyjemną lekturą i pozwoli raz jeszcze przeżyć niezapomniane chwile z tamtych lat, chwile radości, wzruszeń a czasem trudności.

Być może ta publikacja stanie się inspiracją dla innych do podzielenia się swoimi wspomnieniami z okresu studiów lub pracy w uczelni, a wtedy na 40-lecie białskiej AWF zostanie wydany II tom.

*Teresa Jaślikowska-Sadowska*





## KIEROWNICTWO UCZELNI W LATACH 1969–2005



**Doc. dr Władysław Romanowski**  
1969/70 Kierownik WSN UMCS



**Doc. dr Erazm Wasilewski**  
1970 – 73 Prorektor AWF ds. Filii  
1980 – 84 Prorektor AWF ds. Filii  
1985-90 Dziekan ZWWF



**Doc. dr Antoni Olszowski**  
1974-78 Prorektor AWF ds. Filii



**Doc. dr hab. Jacek Zieliński**  
1979/80 Prorektor AWF ds. Filii



**Doc. dr Teresa Raczkowska  
-Bekiesińska**  
1980 Dziekan ds. Filii



**Doc. dr hab. Maria Mańkowska**  
1984/85 Dziekan ds. Filii



**Doc. dr hab. Prof. AWF  
Ryszard Cieśliński**  
1996-2002 Prorektor ds. IWFIS  
2002 - 2005 Dziekan ZWWF



**Dr hab. Prof. AWF Jerzy Sadowski**  
1990-96 Prodziekan ds. IWFIS,  
2001-2002 Dziekan ZWWF  
2002-2005 Prorektor AWF ds. Kształcenia  
Zamiejscowego



# PRZEGLĄD WYDARZEŃ Z ŻYCIA UCZELNI (1969-2005)

## 1969

- zarządzeniem Ministra Oświaty i Szkolnictwa wyższego utworzono w Białej Podlaskiej Wyższe Studium Nauczycielskie (WSN), jako filię UMCS w Lublinie (3.06.),
- na Kierownika WSN powołano doc. dra Władysława Romanowskiego,
- dyrektorem administracyjnym został mgr Stanisław Szwaj,
- ukończono budowę części gmachu głównego uczelni, sali gier i gimnastycznej z zapleczem,
- oddano do użytku dom studenta (blok B) oraz kuchnię i stołówkę,
- w wyniku rekrutacji przyjęto na kierunek wf z nauczaniem początkowym – 60 osób, na nauczanie początkowe z wf – 30, na nauczanie początkowe z zajęciami technicznymi – 30.

## 1970

- filia UMCS wraz z wchodzącym w jej skład WSN stały się jednostkami organizacyjnymi AWF w Warszawie (zarządzenie MOiSzW oraz GKkFiT) – (1.08.),
- prorektorem AWF ds. Filii został doc. dr Erazm Wasilewski,
- dyrektorem administracyjnym został mgr Henryk Czarkowski,
- odbyła się pierwsza inauguracja roku akademickiego 1970/71 w FAWF (2.10.),
- oddano do użytku blok A domu studenta, a także zakończono budowę II i III piętra gmachu głównego,
- rozpoczął działalność klub uczelniany AZS, pierwszym prezesem został mgr Józef Starzyński,
- powstał studencki Zespół Tańca Ludowego „Podlasie”. Kierownictwo artystyczne objęły Helena Januszcyk i mgr Emma Cieślińska, kierownikiem organizacyjnym został mgr Ryszard Kapica, kapelą kierował Lech Tellos,
- powstał chór akademicki pod kierunkiem mgr Tadeusza Żmirka.



---

## 1971

- oddano do użytku blok asystenta.

## 1972

- zmarł doc. dr Władysław Romanowski (8.04.),
- mury uczelni opuścili pierwsi absolwenci (81 osób) z tytułem dyplomowanego nauczyciela wf, 17 z nich skierowano na studia magisterskie do AWF w Warszawie,
- powołano 3-letnie studia zaoczne dla nauczycieli wf nie posiadających wymaganych kwalifikacji zawodowych,
- ukończono budowę bloku C domu studenta,
- drużyna tenisa stołowego (Książek, Rzemek, Rozwadowski) zdobyła tytuł mistrza Polski WSN i WSP; lekkoatleci Szlendak (400m) i Borowicz (800m) zostali powołani do kadry narodowej.
- Studenckie Koło Naukowe Fizjologów (opiekun dr J. Czaplicki) zajęło drugie miejsce na Ogólnopolskim Sympozjum Naukowym Wyższych Szkół Wychowania Fizycznego (studenci: J. Rybak, J. Kalwiński, J. Sklepik).

## 1973

- oddano do użytku stadion LA, boiska sportowe i korty ziemne.

## 1974

- prorektorem AWF ds. Filii został doc. dr Antoni Olszowski,
- wprowadzono jednolite 4-letnie studia stacjonarne i zaoczne,
- z połączenia klubu uczelnianego AZS, RKS „Podlasie” i LKS „Krzna” powstał Robotniczo-Akademicki Klub Sportowy (RAKS) - 7 sekcji, prezesem został mgr Ryszard Darczuk,
- rozpoczął działalność w uczelni oddział Polskiego Towarzystwa Naukowego Kultury Fizycznej.

## 1975

- dyrektorem administracyjnym został inż. Piotr Bojczuk (1.07- 30.09),
- prezesem RAKS-u został mgr Stanisław Arasymowicz,
- dyrektorem administracyjnym został mgr inż. Zdzisław Jobda (15.11.).

### 1976

- na podstawie wytycznych GKKFiT przywrócono klubowi sportowemu nazwę KU AZS, prezesem został mgr Rudolf Fober,
- sekcje sportowe: lekkiej atletyki i podnoszenia ciężarów awansowały do II ligi,
- w Serpelicach odbyła się, organizowana przez naszą uczelnię, Ogólnopolska Konferencja Studenckich Kół Naukowych (gościem specjalnym był Krzysztof Zanussi).

### 1977

- zmarła mgr Grażyna Piekut-Nieleszczuk (6.04.),
- rozpoczęto budowę Ośrodka Sportów Wodnych w Rybitwach/Pisza.

### 1978

- zmarł doc. dr Kazimierz Czajkowski (27.08.),
- ukończono budowę hali sportowej (o wym. 32 x 32 m),
- studenci naszej uczelni zajęli I miejsce na Mistrzostwach Polski w skijeringu,
- odbyła się Przeglądowa Konferencja Naukowa (12.05.).

### 1979

- prorektorem AWF ds. Filii został doc. dr hab. Jacek Zieliński,
- odbyła się Przeglądowa Konferencja Naukowa (11-12.04.),
- maj – odbyły się I-sze Juwenalia,
- Waldemar Golanko ustanowił rekord Polski w skoku w dal (w kat. juniorów) wynikiem 8.01 m, zajął III miejsce na Mistrzostwach Europy Juniorów.

### 1980

- funkcję dziekana ds. Filii objęła na rok doc. dr Teresa Raczkowska-Bekiesińska, została także prezesem KS AZS,
- pod koniec roku prorektorem ds. Filii został doc. dr Erazm Wasilewski,
- żeńska drużyna siatkówki awansowała do II ligi.



## 1981

- zmarł doc. dr Jerzy Szczepański (14.02.),
- zmarł doc. dr Mirosław Chicewicz (28.02.),
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Rekreacja fizyczna jako czynnik warunkujący zdrowie i efektywną pracę załóg (18.-19.05.),
- Zespół Pieśni i Tańca „Podlasie” zdobył nagrodę i wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym na Cyprze (4.07.),
- na pewien czas w akademikach, zamiast studentów, zamieszkali funkcjonariusze ZOMO (to był stan wojenny).

## 1982

- dyrektorem administracyjnym został mgr Ryszard Pyrka (11.02.),
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Warsztat pracy nauczyciela wychowania fizycznego – stan i perspektywy (11-12.04.),
- zmarł doc. dr Lucjan Bukała (17.05.),
- awans drużyny lekkiej atletyki do I ligi,
- prezesem KS AZS został doc. dr Juliusz Czaplicki.

## 1983

- zmarł mgr Grzegorz Tarantowicz (11.09.).

## 1984

- Filia AWF została przekształcona w Wydział Zamiejscowy Wychowania Fizycznego AWF w Warszawie z siedzibą w Białej Podlaskiej,
- dziekanem ZWWF została doc. dr hab. Maria Mańkowska,
- prezesem KS AZS został mgr Mieczysław Krajewski,
- odbyły się konferencje nt.:
  - Sporty walki w procesie przygotowania studentów uczelni wychowania fizycznego do pracy zawodowej (26-27.03. – ogólnopolska),
  - Wychowanie fizyczne – tendencje a dzień dzisiejszy (21-22.09. – ogólnopolska),
- stadion lekkoatletyczny wyposażono w sztuczną nawierzchnię (tartan).

### 1985

- dziekanem ZWWF został doc. dr Erazm Wasilewski,
- zmarł doc. dr Czesław Borejsza (24.07.),
- lipiec – ZPiT „Podlasie” zdobył nagrodę Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Essex (Anglia),
- student Waldemar Golanko zdobył złoty medal w trójskoku na Halowych Mistrzostwach Polski.

### 1986

- prezesem KS AZS AWF został doc. dr E. Wasilewski,
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Sytuacja życiowa ludzi niepełnosprawnych (23-24.05.),
- ZPiT „Podlasie” zdobył główną nagrodę (statuetkę Złotej Artemidy) na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym w Efezie (Turcja).

### 1988

- zmarł mgr Henryk Górniak (21.03.),
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Rok 1918 na Podlasiu,
- na Młodzieżowych Mistrzostwach Polski Jolanta Merklinger zdobyła złoty medal w chodzie na 5 km,

### 1989

- wrzesień – zmarł doc. dr Tadeusz Dobrzański,
- odbyły się konferencje nt.:
  - Realizacja funkcji zdrowotnych kultury fizycznej w praktyce pedagogicznej (15-16.09. – ogólnopolska),
  - 17 września 1939 na Podlasiu (28.10. – ogólnopolska),
- odbył się Zjazd Absolwentów z okazji XX-lecia uczelni.

### 1990

- Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego przekształcono w Instytut Wychowania Fizycznego i Sportu (12.04.),
- prodziekanem ds. IWF i S został wybrany dr Jerzy Sadowski,





- wznowiono budowę krytej pływalni,
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Rok 1920 na Podlasiu (10.11.)

### 1991

- dyrektorem administracyjnym został dr Michał Bajbak (1.02.),
- zmarł mgr Adolf Mironiuk,
- prezesem KS AZS AWF został mgr Włodzimierz Denkiewicz,
- odbyły się konferencje nt.:
  - Podlasie a Konstytucja 3 Maja (6.05. – ogólnopolska),
  - Aspekty kultury fizycznej dzieci i młodzieży ze wschodnich regionów kraju 16.12. – ogólnopolska),
- ukończono budowę krytej pływalni,
- oddano do użytku nową siedzibę biblioteki przy ul. Kopernika,
- wrzesień – reaktywowano sekcję koszykówki mężczyzn,
- drużyna piłkarzy ręcznych awansowała do II ligi.

### 1992

- drużyna siatkarzy awansowała do II ligi,
- na Akademickich Mistrzostwach Polski Barbara Roczeń zdobyła złoty medal na dystansie 1500 m.

### 1993

- prezesem AZS AWF został dr Mieczysław Bytniewski,
- otwarto nowy klub studencki „Night”,
- odbyły się konferencje nt.:
  - W 130 rocznicę powstania styczniowego (20.01. – ogólnopolska),
  - Wieś a kultura fizyczna (31.05. – ogólnopolska),
  - Aktualne problemy szkolenia młodych piłkarzy (18-19.12. – ogólnopolska),
- złoty medal na MMP LA w skoku wzwyż zdobył Kazimierz Zięcina.

### 1994

- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt.: Kultura fizyczna a rodzina (11-12.11.),
- na AMP w LA Hubert Makaruk zdobył złote medale w skoku w dal i w trójskoku.

### 1995

- rozpoczęto rozbudowę hali sportowej z zapleczem,
- prezesem KS AZS AWF został mgr Andrzej Nowowiejski,
- odbyła się Międzynarodowa Konferencja nt.: Nauka w sportowych grach zespołowych (25-27.05),
- drużyna lekkoatletyczna awansowała do I ligi,
- po kilkuletniej przerwie drużyna podnoszenia ciężarów, jako jedyny zespół akademicki, powróciła do I ligi,
- na MMP w PC złote medale wywalczyli Piotr Konowalski i Krzysztof Głąb,
- odbył się Zjazd Absolwentów z okazji XXV-lecia uczelni,
- drużyna piłkarzy ręcznych zdobyła tytuł akademickiego mistrza Polski, który utrzymała do roku 2000.

### 1996

- prorektorem ds. IWFis został dr hab. prof. AWF Ryszard Cieśliński,
- dyrektorem Instytutu został dr Jerzy Sadowski,
- zmarł mgr Janusz Charytoniuk,
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt.: Korektywa w przedszkolu (28-29.05.),
- oddano do użytku halę sportową (wym. 32 x 48 m z widownią na 500 miejsc),
- rozpoczęto budowę hali lekkoatletycznej,
- Krystian Ciemala zdobył złoty medal w trójskoku na Mistrzostwach Polski Seniorów (21-23.06.).



## 1997

- zmarł mgr Tadeusz Żmirek (21.05),
- odbyły się konferencje nt.:
  - Agroturystyka w społeczno-ekonomicznym rozwoju środowiska wiejskiego (23-24.05. – ogólnopolska),
  - Piłka nożna – teoria i praktyka (6-7. 06. – ogólnopolska),
  - Kultura fizyczna dzieci i młodzieży (18-19.09. – ogólnopolska),
- oddano do użytku rozbudowaną i zmodernizowaną salę gimnastyczną,
- na Mistrzostwach Polski Seniorów złoty medal zdobył Mariusz Wałach (taekwon-do),
- na Mistrzostwach Polski Seniorów złoty medal w trójskoku zdobył Krystian Ciemała,
- drużyna siatkarki ponownie weszła do II ligi,

## 1998

- ukończono budowę hali lekkoatletycznej,
- odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa nt.: Zdolności koordynacyjne w grach zespołowych i sportach walki (24-26. 09.),
- awans piłkarzy ręcznych do I ligi,
- Andrzej Krawczyk zdobył złoty medal w rzucie dyskiem na Mistrzostwach Polski Seniorów (24-28.06).

## 1999

- zginęli tragicznie dr Michał Bajbak i kierowca (długoletni pracownik uczelni) Mieczysław Piwoni (24.02.),
- zmarła mgr Donata Wilczyńska-Stolarczuk (29.04.),
- oddano do użytku stadion piłkarski i rozpoczęto budowę pawilonu dydaktycznego przy ul. Warszawskiej,
- po generalnym remoncie otwarto stadion lekkoatletyczny (spełniający normy IAF),
- odbyły się konferencje nt.:
  - Uwarunkowania rozwoju fizycznego dzieci i młodzieży wiejskiej (9-11.09. – ogólnopolska),
  - Optymalizacja struktury treningu i współzawodnictwa w sportach walki (24-25. 09. – ogólnopolska),

- na Mistrzostwach Europy M. Steckiewicz zdobył złoty medal (taekwon-do),
- na MP Seniorów złote medale zdobyli M. Steckiewicz i M. Wołosz (taekwon-do),
- na MP Seniorów w LA Olgierd Stański zdobył złoty medal w rzucie dyskiem.

### **2000**

- zmarł doc. dr Juliusz Czaplicki (13.05.),
- zmarł mgr Eugeniusz Szostak (10.10.),
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt: Sport dzieci i młodzieży na przełomie wieków (30.11.-1.12.),
- studenci Olgierd Stański oraz Mariusz Steckiewicz i Marcin Wołosz powtórzyli swoje sukcesy sprzed roku,
- Olgierd Stański wystąpił na Igrzyskach Olimpijskich w Sydney,
- odbył się Zjazd Absolwentów okazji XXX-lecia uczelni,

### **2001**

- Instytut Wychowania Fizycznego i Sportu przekształcono w Zamiejscowy Wydział Wychowania Fizycznego,
- dziekanem ZWWF został dr hab. prof. AWF Jerzy Sadowski,
- dyrektorem administracyjnym został inż. Tadeusz Paczowski,
- ukończono budowę pawilonu dydaktycznego przy stadionie piłkarskim,
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt.: Zabawy i gry ruchowe w wychowaniu fizycznym (21.04.),
- przeprowadzono generalny remont studenckiego klubu „Meta”,
- na MP Seniorów Marzena Wysocka i Olgierd Stański zdobyli złote medale w rzucie dyskiem.

### **2002**

- prorektorem AWF ds. kształcenia zamiejscowego został dr hab. prof. AWF Jerzy Sadowski,
- dziekanem ZWWF został dr hab. prof. AWF Ryszard Cieśliński,
- zmarł doc. dr Antoni Olszowski (5.10.),



- odbyły się konferencje nt.:
  - Uwarunkowania rozwoju dzieci i młodzieży wiejskiej (16-18.05. – ogólnopolska),
  - Miejsce i rola turystyki w strategii społeczno-gospodarczej województw wschodniej Polski (19-21.11. – międzynarodowa),
  - Zabawy i gry ruchowe w sporcie dla wszystkich (26-27.04. – ogólnopolska),
- oddano do użytku zmodernizowaną halę do sportów siłowych oraz gabinet odnowy biologicznej/fizjoterapii z nowoczesnym wyposażeniem,
- w Ośrodku Sportów Wodnych w Rybitwach zbudowano pawilon mieszkalny dla studentów,
- na MP Seniorów w podnoszeniu ciężarów złoty medal zdobyła Marta Kleszczyńska,
- na MMP w LA złoty medal w biegu na 100 m zdobyła Beata Szkudlarz, a Joanna Baj w chodzie na 10 km,
- na MP Seniorów złote medale zdobyli: Beata Szkudlarz – na 100 m i Andrzej Krawczyk w rzucie dyskiem (20-21.07),
- w Indywidualnych Mistrzostwach Polski w gimnastyce sportowej I miejsce w ćwiczeniach wolnych i na poręczach zajęła Joanna Skowrońska (14-16.06),
- w drużynowych MP w klasie mistrzowskiej drużyna AZS-AWF zajęła I miejsce oraz w łącznej punktacji zwyciężyła Joanna Skowrońska,

## 2003

- zmarł mgr Mieczysław Krajewski (5.10.),
- zmarła Danuta Jakubowicz (długoletnia kierowniczka działu żywienia (28.09),
- oddano do użytku nowy akademik, przy ul. Makaruka,
- prezesem KS AZS-AWF został dr Adam Wilczewski,
- odbyła się Ogólnopolska Konferencja nt. : Zabawy i gry ruchowe w sporcie dla wszystkich (25-26.04),
- w pomieszczeniach dawnej kotłowni urządzono klub studencki „Kawiarenka u Bochenka”,
- na X MP kobiet w podnoszeniu ciężarów Marta Kleszczyńska ustanowiła rekordy Polski w dwuboju, podrzucie i rwaniu,
- drużyna koszykarzy ASZ-AWF awansowała do I ligi akademickiej,

- w Pucharze Polski w akrobatyce sportowej Anna Sztetner zajęła I miejsce w skoku na ścieżce (29-30.03),
- w Indywidualnych MP w gimnastyce sportowej I miejsce w wieloboju i ćwiczeniach wolnych zajęła Joanna Skowrońska, a w skoku – Małgorzata Skowrońska (10-13.04),
- na MP Seniorów w LA złote medale wywalczyli: Marzena Wysocka i Andrzej Krawczyk w rzucie dyskiem (4-6.07),

### **2004**

- na mocy zarządzenia MENiS (z dnia 9.07.) utworzono Zamiejscowy Ośrodek Dydaktyczny Wydziału Rehabilitacji macierzystej uczelni, który kształcić będzie przyszłych fizjoterapeutów,
- rozpoczęto rozbudowę krytej pływalni,
- odbyły się konferencje nt.:
  - Zabawy i gry ruchowe w sporcie dla wszystkich (29-30.04 – ogólnopolska),
  - Uwarunkowania rozwoju dzieci i młodzieży wiejskiej (2-4.06. – międzynarodowa) ,
  - Obserwacja i ocena działań zawodników w zespołowych grach sportowych (17-18.09. – międzynarodowa)
- na MP Seniorów złoty medal w rzucie dyskiem zdobył A. Krawczyk,
- na Indywidualnych MP w gimnastyce sportowej i artystycznej I miejsce w skoku zajęła Małgorzata Skowrońska, a w ćwiczeniach na poręczach Joanna Skowrońska,
- w Międzynarodowych MP seniorów w akrobatyce sportowej Anna Sztetner zajęła I miejsce w skoku na ścieżce.

### **2005**

- władze uczelni pozyskały środki unijne (11 mln PLN) na rozbudowę pływalni i akademika,
- rozpoczęto adaptację budynku przy ulicy 34 Pułku Piechoty na nowoczesny akademik i bazę dydaktyczną,
- odbyło się seminarium naukowe z pokazem praktycznym nt. Gier i zabaw ruchowych z udziałem prof. Gerarda Schmidta z Uniwersytetu Wiedeńskiego z Austrii (9-10.05.),
- odbyły się konferencje nt.:
  - Korektywa i kompensacja zaburzeń w rozwoju fizycznym dzieci i młodzieży” (20-21.05 – międzynarodowa),



- Koordynacja w badaniach naukowych (30-31.05. – międzynarodowa),
- w kwietniu odbyły się wybory władz uczelni na kadencję 2005-2008:
  - prorektorem AWF ds. rozwoju i kształcenia zamiejscowego został dr hab. prof. AWF **Jerzy Sadowski**,
  - dziekanem ZWWF został dr hab. prof. AWF **Ryszard Cieśliński**,
  - prodziekanem ds. dydaktyki – dr **Stefan Litwiniuk**,
  - prodziekanem ds. nauki – dr **Adam Wilczewski**,
  - prodziekanem ds. studenckich – dr **Krystyna Kałuża**,
  - prodziekanem ds. studiów zaocznych – dr **Janusz Jaszczuk**,
- w dniach 24- 26.06. odbędą się po raz pierwszy w Białej Podlaskiej indywidualne MP seniorów w lekkiej atletyce organizowane przez Klub Sportowy AZS AWF.

*Opracowali: dr Zofia Cicirko,  
dr Tomasz Demidowicz*

# *Zachowane w pamięci...*

(wspomnienia pracowników i absolwentów)





Danuta Nałęcka



## WSPOMNIENIA PIERWSZYCH LAT BIAŁSKIEJ UCZELNI WYCHOWANIA FIZYCZNEGO

**J**UBILEUSZE, uroczyste obchody sprzyjają nie tylko podsumowaniu dorobku, tworzeniu wizji przyszłości, ale skłaniają też do refleksji nad przeszłością.

Przy okazji jubileuszu 35-lecia białskiej Akademii Wychowania Fizycznego, chciałabym również przywołać kilka wspomnień z pierwszych lat jej funkcjonowania.

Pamiętam majowy dzień 1969 r., kiedy mąż (Władysław Romanowski) po powrocie z Lublina przekazał mi zaskakującą wiadomość. Rektor prof. dr hab. Seidler zaproponował mi organizację Wyższego Studium Nauczycielskiego jako Filii UMCS, w Białej Podlaskiej oraz kierowanie tą nową placówką oświatową.

Nie byłam zachwycona perspektywą opuszczania Zamościa, do którego zdażyłam się już przyzwyczać, zaprzyjaźnić z wieloma ludźmi, odnaleźć się w pracy zawodowej, ułożyć sobie życie osobiste. Zaczynanie wszystkiego od początku przerażało mnie. Widząc jednak entuzjazm męża, duże zainteresowanie tą propozycją, nie mówiłam o swoich wątpliwościach i odczuciach.

Zaczął się okres intensywnej pracy, ciągłe wyjazdy, wizyty w Ministerstwie, wyższych uczelniach, urzędach – najważniejsze zadanie to pozyskanie kadry dydaktyczno-naukowej.

Pod koniec czerwca 1969 r. – pierwsza wizyta w Białej Podlaskiej, 2 lipca miały się odbyć egzaminy wstępne na I rok studiów. Z przerażeniem patrzyłam na teren przyszłej uczelni, nie było ani jednego wykończonego obiektu, wszystko w budowie. Trudno było uwierzyć, że za trzy miesiące rozpoczną tu naukę studenci.

To pierwsze spotkanie z Białą Podlaską pozostawiło jednak niezatarte wspomnienia, szczerych, gościnnych ludzi – mieszkańców tego miasta i dyrektora Technikum Ekonomicznego Tadeusza Misiaka, przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Ryszarda Pyrki i wielu innych, którzy swą serdecznością, otwartością od razu pozyskali moją sympatię. Nie miałam już wątpliwości, co do rozpoczęcia nowego etapu życia w Białej Podlaskiej.





Pierwsza inauguracja roku akademickiego 1969/70 odbyła się 10 października w sali Technikum Ekonomicznego (uczelnia nie miała jeszcze auli).



Było to niezwykle wydarzenie w życiu miasta. Przemarsz senatu ulicami – profesorów w togach, łańcuchach, rektorów w sobolach, pracowników i studentów, prowadzony przez dwóch pedli, m.in. przez Pana Piotra Białousa, wzbudził ogromne zainteresowanie i zdziwienie mieszkańców. Niektórzy myśląc, że to procesja religijna klękali, inni z ciekawości przyłączyli się do pochodu. I rok rozpoczęło 120 studentów i 17 pracowników naukowo-dydaktycznych.

W pierwszych latach funkcjonowania bialskiej uczelni koncentrowano wysiłki na zabezpieczeniu warunków do prowadzenia zajęć – na budowie obiektów i urządzeń sportowych oraz pozyskiwanie nauczycieli akademickich.

W dniu rozpoczęcia działalności wykończony był tylko parter głównego gmachu uczelni i blok „B” Domu Akademickiego, w którym mieszkali studenci i pracownicy.

Większość zajęć praktycznych prowadzono w naturalnych warunkach, na boiskach, stadionie miejskim, łąkach, które ciągnęły się tuż za budującym się domem dla pracowników (asystenckim) wzdłuż ulicy Akademickiej.

Zajęcia teoretyczne odbywały się na parterze głównego gmachu, na wyższych kondygnacjach trwała budowa.

Te trudne warunki nikogo nie zniechęcały, ale jednoczyły, wyzwalały energię, poczucie humoru i zapał całej społeczności akademickiej. Pracownicy i studenci pomagali przy budowie, porządkowali teren, urządzali pomieszczenia dydaktyczne i cieszyli się każdą nową salą, każdym nowo posadzonym drzewkiem.

Po I roku działalności decyzją Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki Filię UMCS przekształcono na Filię Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie.

1 sierpnia 1970 roku odbyło się przekazanie WSN – AWF. W uroczystości tej ze strony UMCS uczestniczyli między innymi prorektor prof. dr hab. Stanisław Krzykała i dr Władysław Romanowski, z AWF rektor prof. dr Stefan Wołoszyn i dr Erazm Wasilewski.

Inauguracja roku akademickiego w nowo powołanej uczelni odbyła się 2 października 1970 r. Już w ukończonej sali sportowych gier zespołowych.

Rektor AWF prof. dr S. Wołoszyn – wielki przyjaciel bialskiej uczelni – podkreślił wtedy, że Filia AWF w Białej Podlaskiej wpisuje się w najpiękniejsze kulturalne i oświatowe tradycje Podlasia.

Prorektorem do spraw Filii w Białej Podlaskiej został dr E. Wasilewski, dziekanem dr W. Romanowski.

Mimo że nie łatwe były te pierwsze lata działalności – niedostatek pomieszczeń dydaktycznych, obiektów sportowych, szczupła kadra dydaktyczna, w większości dojeżdżająca z Warszawy, Lublina i innych miast – Uczelnia tętniła życiem. Rozpoczęły działalność młodzieżowe organizacje, AZS, Koła naukowe, Zespół Pieśni i Tańca, chór, kabaret i inne.

Uczelnia stawała się ośrodkiem życia sportowego i kulturalnego. Z każdym miesiącem, rokiem piękniała, przybywały nowe obiekty i urządzenia.

Pamiętam radość po oddaniu trzeciego bloku Domu Studenta, w którym mogli już zamieszkać prawie wszyscy studenci. Odyła się uroczystość chrztu akademika, któremu nadano imię „Spartanin”. Rodzicami chrzestnymi zostali doc. dr hab. Kazimierz Czajkowski i ja.

Rozpoczął się również trudny i złożony proces kształcenia własnych kadr naukowych. Podjęto uczelniane, zespołowe badania naukowe, organizowano konferencje, otworzono pierwsze przewody doktorskie.

Nie mogę nie wspomnieć tu osoby dziekana doc. Kazimierz Czajkowskiego – doświadczonego, pełnego pomysłów i temperamentu pedagoga. Jego twórcza osobowość, aktywność zapalała i wyzwalała inicjatywę pracowników i studentów. Ciepły, serdeczny, a zarazem wymagający konsekwentny tworzył wspaniałą atmosferę współpartnerstwa.

Spośród pierwszych pracowników jego osoba szczególnie jest mi bliska. On zachęcił mnie i mobilizował do pracy naukowej, pomagał w pracy zawodowej. Powierzył mi funkcje kierownika Pracowni Obozownictwa i Rekreacji Ruchowej, która w następnych latach przekształcona została w Zakład Rekreacji i Turystyki.

Dzięki jego inicjatywie rozpoczęliśmy w Zakładzie, przy udziale studentów, badania eksperymentalne dotyczące funkcji rekreacji kolonii letnich, efektem, których była moja praca doktorska napisana pod kierunkiem doc. dra hab. K. Czajkowskiego.

Spoglądając wstecz wspominam pierwszą funkcję – opiekuna grupy, wspaniałych, pełnych fantazji studentów, między innymi Iwonę Dzienbicką, Halinę Zdybel, Elżbietę Kończyńską, Krystynę Sułot, Jana Rybaka, Janusza Sklepika, Albina Kwiecińskiego, Jacka Kalwińskiego i innych. Łączyła mnie z nimi silna więź emocjonalna. Z niektórymi do dziś utrzymuję kontakty.

Spośród wielu funkcji, jakie pełniłam w Uczelni najwięcej satysfakcji dawało mi jednak kierowanie Zakładem Rekreacji, w którym panowała wspaniała, rodzinna atmosfera.

Poza dydaktyką realizowaliśmy badania naukowe w ramach problemów resortowych, węzłowych i własnych, dotyczące rekreacji ruchowej różnych środowisk społecznych.

Zakład Rekreacji – podobnie jak cała uczelnia – wiązał zarówno badania naukowe jak i działalność rekreacyjno-sportową i kulturalną z życiem i potrzebami środowiska bialskiego.

Wprowadziliśmy po raz pierwszy w największych zakładach pracy – w Biawenie, Fabryce Mebli, Zakładach Mechaniki Precyzyjnej – nową wówczas w Polsce formę rekreacji ruchowej – ćwiczenia rekreacyjne podczas przerw w pracy, popularnie nazywane „dziesięciominutówkami”. Były to ćwiczenia gimnastyczne przy muzyce.

Inicjatywa nasza spotkała się z aprobatą i dużym zainteresowaniem dyrekcji, związków zawodowych, a także pracowników.

Początkowo studenci pełnili funkcję demonstratorów, pracownicy Zakładu Rekreacji prowadzili zajęcia. Zaczęliśmy również w obiektach Uczelni szkolić demonstratorów spośród załogi zakładów. Zajęcia odbywały się codziennie, pracownicy bardzo je lubili i chętnie w nich uczestniczyli.

Dużym zainteresowaniem społeczeństwa Białej Podlaskiej cieszyły się również organizowane przez pracowników Zakładu Rekreacji i studentów imprezy rekreacyjno-sportowe i kulturalne. Wśród nich spartakiady zakładowe, festyny osiedlowe, imprezy mikołajkowe, karnawałowe bale na lodowisku itp. Na tę działalność było duże zapotrzebowanie ze strony środowiska.

Po 35 latach funkcjonowania Uczelni częściej mówi się o teraźniejszości i przyszłości, ja sięgnęłam w tych luźnych, nieco chaotycznych wspomnieniach do jej początku.

Dziś radości związanej z jubileuszem białskiej uczelni wychowania fizycznego towarzyszy mi nie tylko zaduma nad jej przeszłością, ale też duma z jej teraźniejszości, rozwoju i osiągnięć.



**Maria Ujma**



## **WSPOMNIENIA O BIBLIOTECE, LUDZIACH I ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO**

**M**OJE wspomnienia z konieczności mają charakter nieco subiektywny, typowy dla tej formy wypowiedzi. Zawarte są w nich zdarzenia i ludzie, którzy współpracowali ze mną, tworzyli historię Uczelni. Obserwowałam i przeżywałam wszystko, co działo się wokół mnie. Jako świadek włączony w życie społeczności akademickiej upubliczniam to, co wydaje się znajome i bliskie.

*Najpierw pragnę podziękować mgr Teresie Jaślikowskiej-Sadowskiej za zaproszenie mnie do napisania tych wspomnień.*

*Przez swoje uczestnictwo w życiu uczelnianym, upoważniona jestem do mówienia o tym, co sama robiłam lub wspólnie z innymi osobami. Stąd moja uwaga skupiona jest wokół Biblioteki, jej przyjaciół i Związku Nauczycielstwa Polskiego, któremu poświęciłam znaczną część swojego zawodowego życia. Mówiąc o tych sprawach, zmuszona jestem do przedstawienia niektórych osobistych doświadczeń, aby pomogły one odzwierciedlić panujące wtedy tendencje.*

### **BIBLIOTEKA**

W pamięci odtwarzam obrazy pierwszego mojego spotkania z Uczelnią. We wrześniu 1969 r. wybrałam się do niej po piasku, ceglach, deskach, wtedy nie było jeszcze ulicy Akademickiej. Szłam – raczej byłam pewna, że moje podanie o pracę w bibliotece uczelnianej będzie pozytywnie załatwione. Wydawało mi się, że mam wystarczające kompetencje zawodowe i intelektualne do jej podjęcia. Poza sobą miałam wieloletni staż pracy w bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz odpowiednie studia: na KUL-u i UMCS. Niestety – okazało się, że wielka życzliwość, jaką okazywał Pan Rektor doc. dr Władysław Romanowski, jak i referencje profesorów UMCS (prof. Tadeusza Mencla i prof. Stanisława Krzykały) były niewystarczające. Komitet Powiatowy PZPR w Białej Podlaskiej, który miał decydujący głos

w sprawie naboru pracowników do Uczelni, dopatrzył się u mnie braku kompetencji ideologicznych. Pochodziłam ze środowiska kulowskiego i nie rokowałam nadziei na zmianę swojego światopoglądu na światopogląd naukowy – marksistowski.

Pan Rektor – człowiek o wielkiej kulturze – negatywną odpowiedź przekazał mi w sposób bardzo taktowny, a równocześnie z pewną dozą optymizmu. Powiedział mi, abym nie traciła nadziei, kierownictwo Uczelni mnie popiera, a ludzi, którzy mają inne zdanie w tej sprawie, postaramy się wspólnie przekonać. Miałam uzyskać dodatkowe referencje od Profesorów UMCS; pójść na rozmowę do I sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Białej Podlaskiej oraz mieć poparcie od miejscowych władz oświatowych i związkowych.

Piękną opinię otrzymałam od p. prof. Grzędzielskiej i prof. Aleksandrowicz, a Sekretarz Eugeniusz Okoń przyjął mnie bardzo sympatycznie. Powiedział, że zapozna się z tą sprawą. Popierał mnie także Wydział Oświaty i Związek Nauczycielstwa Polskiego.

15 marca 1970 r. kierownictwo uczelni podpisało ze mną umowę o pracę z dyskretnym zaznaczeniem, aby uważać, bo „będą mi się przyglądać”. Tak to zaczynało się moje nowe życie zawodowe w Wyższej Szkole Nauczycielskiej.

Biblioteka, do której zostałam wprowadzona przez doc. K. Czajkowskiego, mieściła się w gmachu głównym na dole w dwóch pokojach (jeden większy, drugi mały, przeznaczony na magazyn książek). Od początku pracowała w niej mgr Barbara Kiryczyńska, pełniła ona obowiązki kierownika biblioteki. Księgozbiór składał się z daru przyjętego ze Studium Nauczycielskiego w Leśnej Podlaskiej oraz kupna, którego również dokonywali pracownicy naukowo-dydaktyczni, dojeżdżający do Białej z Warszawy i Lublina.

W chwili przemianowania WSN Filii UMCS, na Filię AWF w Warszawie, księgozbiór liczył ok. 4100 woluminów. W tym czasie praca w bibliotece obejmowała czynności gromadzenia, opracowania i wypożyczenia.

W 1971 roku p. doc. W. Romanowski i doc. E. Wasilewski w sposób uroczysty wręczyli mi nominację na stanowisko kierownika biblioteki i informacji naukowej (mgr B. Kiryczyńska zrezygnowała z tej funkcji).

Wraz z uczelnią rozwijała się biblioteka. Powiększył się jej personel, do pracy sukcesywnie przyjmowano kompetentne osoby, jak: mgr Czesław Arasymowicz, mgr Marię Nekandę-Trepkę, mgr Jadwigę Zaradkiewicz, mgr Kazimierę Kędzierską, Teresę Krasuską, Iwonę Andrusiewicz, mgr Annę Artyszuk, mgr Janinę Iwaniuk, mgr Barbarę Kudelską, mgr Alicję Kulawiec.

Wymienione osoby pracowały na pełnym etacie i od podjęcia swej pracy pozostały w niej na stałe.

Ponieważ panie były młode, niektóre z nich zakładały swoje rodziny, dlatego korzystały z przysługujących im urlopów macierzyńskich i wychowawczych. Wynikłe z tego tytułu przerwy w pracy starałam się wypełniać zastępstwami. Przewinęło się przez bibliotekę kilkanaście osób zatrudnionych na określony czas pracy. Byli też bibliotekarze zaangażowani na stałe, ale po krótkim, rocznym czy paroletnim okresie zwalniali się z pracy na własne życzenie. Do nich należały: Maria Białous, mgr Halina Korgul, mgr Zbigniew Burczak, mgr Anna Sacharuk, Teresa Kałmykow, Tadeusz Siłuch, mgr Ewa Litwiniuk, mgr Krystyna Sosnowska.

Personel biblioteki podnosił również swoje kwalifikacje zawodowe. Z tego tytułu stopień magistra uzyskały trzy osoby. Studium Podyplomowe z bibliotekarstwa – dwie osoby oraz staż w bibliotekach naukowych odbyły także dwie osoby. Nie wymieniam tu przeróżnych kursów i innych form kształcenia. Ogólnie kadra biblioteczna była bardzo dobrze przygotowana do realizacji swoich zadań, wykazywała wysoki poziom intelektualny i kulturalny.

Moja współpraca z paniami – jak to w życiu – układała się różnie. Płace były niskie, a moje możliwości w tym względzie, żadne. Często wnioski o awanse, podwyżki były odkładane, wyraźnie było to widoczne w latach osiemdziesiątych i późniejszych i z tego tytułu często wnoszono do mnie usprawiedliwione pretensje. Na ogół atmosfera w bibliotece była koleżeńska i sympatyczna.

Pan Rektor doc. dr W. Romanowski życzył sobie, aby biblioteka miała charakter uniwersytecki, organizowana była z rozmachem. Jako pedagog i nauczyciel akademicki doskonale zdawał sobie sprawę ze znaczenia biblioteki. Powtarzał studentom: „bez nawyku czytania, bez umiejętności korzystania z książki, nie można być nauczycielem i naukowcem, prawdziwie kulturalnym człowiekiem”. Mawiał: „biblioteka to warsztat naukowy każdego studenta i uczonego” (notatki własne). Koncepcję pana Rektora popierało całe grono profesorskie.

Aby zrealizować wizję biblioteki naukowo-dydaktycznej, należało nadać jej odpowiednie formy organizacyjne. Dla prawidłowego funkcjonowania biblioteki w 1971 r. powołano Komisję Biblioteczną, później nazwaną Radą Biblioteczną. Funkcję przewodniczących Komisji pełnili kolejno dziekani do spraw nauki. Byli nimi: doc. dr Władysław Romanowski 1970–72, doc. dr hab. Kazimierz Czajkowski 1972–73, doc. dr med. Jerzy Szczepański 1973–77, doc. dr Teresa Raczkowska-Bekiesińska 1978–79, doc. dr Seweryn Sulisz

1979–1980, doc. dr Jan Franciszek Lis 1980-85, doc. dr hab. Henryk Mierziński od 1985 r. do mojego odejścia z uczelni (1996).

Komisja wypowiadała się we wszystkich istotnych sprawach bibliotecznych. W 1973 roku Biblioteka przyjęła nową strukturę organizacyjną.

Szłała się z działów:

- gromadzenia i opracowywania zbiorów,
- udostępniania zbiorów,
- informacji naukowej.

Na przestrzeni lat zmieniano nazwy tych jednostek, poszerzano lub łączyły ich funkcje.

Kierownikami oddziałów były panie: mgr Barbara Kiryczyńska – odpowiadała za gromadzenie i opracowanie zbiorów, mgr Jadwiga Zaradkiewicz – odpowiadała za udostępnianie zbiorów, a mgr Katarzyna Kędziarska za informację naukową.

Mgr Czesława Arasymowicz zajmowała samodzielne stanowisko, prowadząc zakupy. Wszystkie wymienione osoby otrzymywały dodatki funkcyjne. W 1974 r. wyodrębniono z biblioteki informację naukową, tworząc Ośrodek Informacji Naukowej i ośrodkiem tym kierowała mgr Maria Nekanda-Trepka.

W 1980 r. ponownie przyłączono informację do biblioteki. Obowiązki po p. Trepczynie przejęła mgr Katarzyna Kędziarska. Wobec zwiększających się zadań biblioteki, wzrostem liczby czytelników, różnorodności ukazującej się literatury, zachodziła potrzeba opracowania „Wytycznych Gromadzenia Zbiorów”, odpowiadających na pytanie; co mamy gromadzić, w jakim zakresie i zasięgu. Należało też ustalić tytuły prenumerowanych czasopism, aby ich zestaw tematyczny miał charakter stały, archiwalny. Przy systemie studiów stacjonarnych i zaocznych trzeba było gromadzić odpowiednią liczbę podręczników.

Ustalono, że kupujemy jeden podręcznik na dwóch studentów. Wytyczne gromadzenia zbiorów porządkowały też zbiory specjalne, do których zaliczono prace magisterskie. Opracowano też, „Instrukcje dla czytelników” AWF w Białej Podlaskiej.

Z tymi dokumentami, które mają dla biblioteki charakter prawny – wszystkie były zatwierdzone przez Komisję Biblioteczną i władze Uczelni – przypominają się pewne sytuacje.

Po opracowaniu każdego z nich, przedstawiałam go przewodniczącemu Komisji Bibliotecznej, a ten opiniował i dawał Rektorowi do zatwierdzenia. Każdy projekt aktu prawnego był wstrzymany. Pewne zasady w nim ujęte

były wprowadzone w życie, a dokumentu nie było. Zapytałam docenta K. Czajkowskiego, co to wszystko znaczy. Odesłał mnie do radcy prawnego. Był nim mecenas Ludwik Bałut. Bardzo kulturalny, mądry człowiek. Po przyjacielsku poradził mi, abym częściej używała słowa „socjalistyczny”: socjalistyczna ojczyzna, socjalistyczna literatura, a nawet socjalistyczny regał (pisałam regulamin przetargu na wykonanie regału). Uwaga powyższa świadczyła o wielkiej życzliwości władz Uczelni w stosunku do mnie. Dla swojego dobra musiałam być poprawna politycznie.

Poza sprawami personalnymi i organizacyjnymi ważnym problemem było gromadzenie zbiorów. Dokonywało się ono drogą zakupu, wymiany i darów. Zakupów dokonywano na podstawie „Zapowiedzi Wydawniczych”, „Przewodnika Bibliotecznego” i innych informatorów. W księgarni sportowej przy ulicy Kasprowicza w Warszawie mieliśmy swoje półki, na które odkładano wybrane przez nas nowości wydawnicze. Raz w miesiącu sprawdzaliśmy celowość wyboru książek. Czynności te wykonywały: H. Korgul. Cz. Arasymowicz, B. Kiryczyńska i ja.

Zbiory biblioteki wzbogacały się również księgozbiorami, przejmowanymi ze Studiów Nauczycielskich z: Chełma, Lublina i Zamościa, wcześniej z Lesnej Podlaskiej. To, co w 1971 i 1972 roku było dla nas radością, za dwa lata było wielkim zmartwieniem. Koncepcja biblioteki Pana W. Romanowskiego nie znalazła akceptacji u późniejszych szefów Akademii. Trzeba było wielokrotnie bibliotekę przenosić (4 razy), zmniejszać lokal, zgromadzone książki ze Studiów Nauczycielskich musieliśmy oddać bibliotece KUL-u (inne biblioteki nie wyraziły zgody na ich przyjęcie).

W 1971-72, za zgodą kierownictwa Uczelni podjęto akcję profesorską (powieloną z biblioteki KUL). Polegała ona na powiadamianiu poszczególnych profesorów o profilu Uczelni, księgozbioru i ewentualnej prośbie przesłania nam swoich materiałów. Odpowiedziało pozytywnie wielu profesorów. Korzyść z tej akcji była taka, że nawiązaliśmy kontakty z osobistościami nauki, uczelniami ośrodkami naukowymi.

Szybko rozwijająca się młoda kadra naukowa wymagała uaktywnienia biblioteki w zakresie informacyjnym. Ważnym źródłem informacji były katalogi: alfabetyczny i tematyczny, druków zwartych i ciągłych.

Moje wspomnienia z pracy w bibliotece na pewno nie odzwierciedlają całokształtu spraw i zagadnień. Ujmują jedynie niektóre problemy związane z Uczelnią, czasami, w których wypadło mi żyć i ludźmi, z którymi tworzyliśmy zespół.

Dzisiaj pragnę podziękować całemu personelowi biblioteki, z którym współpracowałam. Wszystkie panie zachowałam w jak najlepszej pamięci. Wdzięczna jestem kierownictwu Uczelni za zaufanie i zrozumienie. Szczególne podziękowanie kieruję do Przewodniczącego Komisji Bibliotecznej Pana Profesora Henryka Mierzwińskiego.

Moja wypowiedź obejmowała lata 1970–1996.

## PIOTR BIAŁOUS

Pan Piotr, romantyk, pasjonat astronomii, a w Uczelni od samego jej początku pełniący funkcję starszego pedla, według nas raczej starszego listonosza z wdziękiem i kulturą wręczającego nam korespondencję (pedel – dozorca, portier, stróż; *przyp. red.*).

Codziennie w godzinach rannych (ok. 10.00) przynosił z poczty wszelkie przesyłki i zaraz roznosił je po wszystkich działach. Ubrany był w urzędowy, ciemny garnitur. Zmieniał go w zależności od pory roku. Zawsze swoje obowiązki spełniał z wielką starannością i odpowiedzialnością. Dzięki osobistemu urokowi, zwłaszcza gładkiemu i pięknemu wypowiedaniu się, zaprawianemu akcentem wileńskim, rozmowa z nim była zawsze interesująca i miła. Ożywiały ją jego wspomnienia z czasu II Wojny Światowej, aktualne wszelkie przeżycia, a przede wszystkim astronomia, także gra na skrzypkach.

Pan Białous z pasją wpatrywał się w harmonijny i niezmienny ruch niebieskich ciał: Słońce, Księżyc, Venus, Jowisz, Saturn, itd. Niejednokrotnie, w piękną, gwiazdzistą noc, zapraszał Białczan do wpatrywania się w niebo, bo dzieją się na nim niezwykle wydarzenia. Z odpowiednimi instrumentami stał na Placu Wolności i patrzył w górę. Samochody przejeżdżające przez ulicę Warszawską i Brzeską zatrzymywały się, kierowcy pytali p. Piotra, co on robi i oni obserwowali niebo. Mówili, że pierwszy raz w życiu przeżywają takie zjawisko (z opowiadań p. Białousa).

Pan Piotr Białous patrzył na niebo, gwiazdy. Starał się wyjaśnić tajemnice wszechświata. Mówił, że przestrzeń międzygwiazdna wypełniona jest gazem rozrzedzonym. Gwiazdy i materia międzygwiazdna tworzą układy zwane galaktykami. Mówił, że układów podobnych do galaktyk zaobserwowano bardzo wiele (mgławica pozagalaktyczna).

Po powrocie z posiedzenia polskiego Towarzystwa Astronomicznego, które odbyło się w Toruniu (1975 r.) z zachwytem relacjonował nam, że nasza Droga Mleczna nie różni się od innych galaktyk, a więc nie jest szczególnie uprzywilejowana. Ponadto, żadna galaktyka nie zajmuje we

wszechświecie centralnego położenia, co wyklucza istnienie środka wszechświata.

Jego nieustanny zachwyt nad tym, co dzieje się wśród gwiazd i materii rozproszonej we wszechświecie wpisały Go w moją – i myślę, że innych koleżanek i kolegów pamięć.

Przypominam sobie pewne, piękne wydarzenie. Była wiosna 1970 roku, początek maja. Pan Piotr wpadł do Uczelni bardzo ożywiony, szczęśliwy. Witając się z nim, pytam co się stało. Opowiedział mi następujące wydarzenie. Na rogu ul. Brzeskiej i Placu Wolności on z p. Krzyżanowskim wręczyli dyplom i kwiaty nieznannej pani za wiosenny wygląd. Pytam na czym „polegał” ten wygląd...? Pan Piotr zrobił mi wykład na temat rytmiki chodu i ruchu, studium twarzy, z której bije radość, zachwyt, nad tym zielonym, ukwieconym światem, na końcu podkreślił elegancki, skromny jej wygląd. Podobne takie wyróżnienia z różnych okazji, zależnych od fantazji pomysłodawców, miały dość częste miejsce na ulicach Białej Podlaskiej.

Pan Piotr – mający piękną rodzinę – żonę i czworo dzieci, czuł się jednak samotny. Sam siebie nazywał samotnikiem. Nosił w sobie historię swojego życia, bogatego w niezwykle wydarzenia, zwłaszcza z okresu lat wileńskich, miał swoją wizję świata, zarysowaną wielką wrażliwością, odmiennością widzenia, która nie pasowała do rzeczywistości. Wszystko to oddalało go od ludzi, brutalności życia. Stale szukał pokrewnych sobie dusz. Rozczarowywał się, ale ufał ludziom i kochał ich...

## PAN DOC. DR HAB. KAZIMIERZ CZAJKOWSKI

Pana docenta Czajkowskiego poznałam 15 marca 1970 r. – w dniu rozpoczęcia pracy w Wyższej Szkole Nauczycielskiej. Pan Rektor dr Władysław Romanowski przedstawił mnie p. Dziekanowi, a on powiedział: „Witam panią w naszej Uczelni, bardzo się cieszę. Życzę koleżance, aby wśród nas czuła się dobrze”. Potem przedstawił mnie pracownikom, w końcu zaprowadził mnie do biblioteki. Często otwierał do nas drzwi i uśmiechał się. Uśmiech ten towarzyszył mu całe życie. W związku z jego wesołym usposobieniem przypomniła mi się zabawna historia. Ktoś z prowadzących zajęcia dydaktyczne zażartował, mówiąc: „... jak powiedział „Pan Tarej” (*pantarhei gr., wszystko płynie, Heraklit*). Studenci w błyskawiczny sposób upowszechnili to powiedzenie. Niektórzy czytelnicy przychodzili do biblioteki i sprawdzali w katalogu alfabetycznym, czy figuruje w nim autor „Pan Tarej”. Dotarło to również i do Pana Czajkowskiego, przez dłuższy czas pytał, czy

już nabyliśmy „PanTareja”. Studentów pytał, jak się czuje „Pan Tarej”, proszę go ode mnie pozdrowić i śmiał się serdecznie.

Pan doc. Czajkowski, w sposób twórczy i entuzjastyczny, realizował swoje powołanie pedagogiczne. Można go nazwać usposobieniem dobrego nauczyciela. Miał w sobie nie tyle z intelektualisty, ile był człowiekiem przejętym odpowiedzialnością za młodych ludzi, za ich postawy, za kształtowanie ich charakterów, za wszechstronny ich rozwój.

Praca naukowo-dydaktyczna pochłaniała go bez reszty. Posiadał wielką łatwość formułowania myśli, tak w tekście, jak i w mowie. Napisał wiele artykułów, wiele książek. Niektóre z nich tworzył w ciągu kilkunastu dni, czy miesiąca.

W drodze z Warszawy do Białej, jadąc pociągiem z domu do Uczelni, kładł maszynę do pisania i pisał. Zawsze pisał. Kiedyś zachorował, załatwiając mu sanatorium w Nałęczowie. Przysłał mi pozdrowienia z dopiskiem: „Zabrali mi maszynę. Wracam”. Z wielkim talentem tworzył książki, jedna po drugiej.

Jego stosunek do studentów był ojcowski. Rozmawiał z nimi o wszystkim. Interesowały go ich osobiste problemy i związane ze studiami. Starał się każdemu – w miarę swoich możliwości – jakoś pomóc. Dlatego mnie również włączał w krąg osób wspierających.

Bibliotekę wysoko oceniał, szczególnie interesował się czytelnictwem studentów. Bywał bardzo często w czytelni, patrzył co studenci czytają. Prosił, byśmy co pewien czas opracowywały analizę czytelnictwa studentów, podawały mu ich imienny wykaz z nazwiskiem studenta, częstotliwością odwiedzin w bibliotece, wypożyczenia do domu i na miejscu.

Dokument ten był pomocny panu docentowi przy wystawianiu ocen.

Wykłady Pana Czajkowskiego cieszyły się największą frekwencją. W plebiscytach na najlepszego nauczyciela zajmował pierwsze miejsce (odbyły się trzy plebiscyty). Prowadził seminaria dyplomowe. Zapraszał mnie na te zajęcia, aby omawiać nowości wydawnicze, zwłaszcza artykuły z czasopism. Zauważyłam, że Pan Docent zawsze wykazywał troskę o porządne analizy i właśnie dlatego próbował również swym dyplomantom pomóc dostrzegać słabości argumentacji. Opiekował się każdym z osobna, a co tydzień wszyscy zbierali się razem i około dwóch godzin wspólnie pracowali. Potem każdy po kolei przedstawiał wyniki badań i poddawał je pod dyskusję. Obecność moja na tych zajęciach stała się dla mnie bardzo ważnym i bardzo ludzkim doświadczeniem. Myślę, że każdy z nas wyniósł z tego korzyść. Potem formuła ta, szybko się poszerzyła, bo zaczęliśmy jeździć z wizytą do różnych uczelni.



Był to bardzo żywy krąg. Wiedzieliśmy, że wzajemnie sobie pomagamy, zgłębiając i poszerzając swoją wiedzę.

Wszyscy szanowaliśmy Pana Docenta. Był on więcej nauczycielem z epoki Aleksandra Kamińskiego, aniżeli Makarenki, którym musiał tyle lat się zajmować. Wiedzę nabytą umiał powiązać z teraźniejszością i naszymi zmaganiem. Ostatni raz spotkałam p. Profesora na krótko przed jego śmiercią. Wracał z sanatorium. Wraz z żoną wstąpił do Białej. Zmęczony, schorowany usiadł jeszcze do fortepianu w auli i zagrał harcerską piosenkę: „Jak długo w sercach naszych”. Żona go ponaglała, ponieważ mieli wracać swoim samochodem do Warszawy. Pożegnał się ze mną i uśmiechnął. Za miesiąc już nie żył...

## **PAN DOC. DR BOGDAN TUROS**

Pan Docent Tuross pojawił się na Uczelni w 1972 r. i pracował do 1978 roku. Przez ten cały czas pełnił – poza innymi obowiązkami – funkcję kierownika pracowni Medycyny Wychowania Fizycznego i Sportu. Prowadził wykłady z medycyny sportu, koło naukowe zajmujące się tematyką nałogów, które, niestety, dotyczyły także naszego środowiska. Tematyka ta miała swoje odzwierciedlenie w dezyderatach zgłaszanych kierownictwu Uczelni. Co jakiś czas ukazywały się zarządzenia Rektora wyznaczające miejsca na palarnię. Powszechnie dalej palono wszędzie, nawet i na zebraniach. Pan Docent nie zniechęcał się, „mężnie walczył” z pijaństwem i palaczami.

Miałam szczęście być zapraszana przez Niego na posiedzenie koła naukowego, czy inne spotkania ze studentami. Obowiązkiem moim było zapoznanie studentów z nowościami wydawniczymi oraz omówieniem interesującej ich publikacji. Spotkania zasadniczo odbywały się raz w tygodniu, w godzinach wieczorowych, po pracy. Przed zajęciami Pan Tuross odwiedzał mnie, rozmawialiśmy na różne tematy. Zanotowałam go w pamięci jako człowieka, poszukującego prawdy, przeżywającego niepokój intelektualny, szukającego ludzi, którzy - jak mawiał: „mają śwędzenie mózgu”, których przepelnia pasja, którzy stawiają pytania, z którymi można się utożsamiać.

Stąd fascynowała Go postać ks. prof. Włodzimierza Sedlaka, twórcy bioelektroniki, teorii, która może dopomóc w znalezieniu odpowiedzi na najistotniejsze pytania o naturę życia i świadomości. Kiedyś zaprosił ks. Profesora na spotkanie ze studentami. Pamiętam, jak czcigodny prelegent mocno akcentował, że najpierw trzeba być myślącym, a potem uczonym.

A cykl naukowców jest odwrotny, magazynują przyswojone bity, a potem nie mają czasu na myślenie, więc eksperymentalnie produkują nowe bity. Pan Tuross w pełni utożsamiał się z poglądami księdza. Uważał on, że mądrość polega na rozeznaniu specyficznej kondycji człowieka. Stąd następną postacią, która go urzekła był Pascal.

Za nim powtarzał:

*„Trzeba umieć wątpić, tam gdzie trzeba,  
twierdzić, tam gdzie trzeba,  
poddąć się, tam gdzie trzeba,  
kto czyni inaczej nie pojmuje siły rozumu”.*  
(B. Pascal, *Myśli* Warszawa 1972, s. 201-202).

Dla Pana Docenta siła rozumu, była siłą jego argumentów. Młodzi, inteligentni ludzie skupiali się wokół swego Mistrza. Fascynowała ich żywotność i świeżość jego myślenia. Każdy dzień zaczynał On od spaceru. Najchętniej chodził obwodnicą. Ubierał się w ciemnozielony ortalion. Nosił go i w listopadzie i w lutym, głowy nie nakrywał. Miał ciemne, gęste, kręcone włosy. Po spacerze spotykał mnie przy portierni i przychodził do mnie na lipową herbatkę. Marzył o domku z ogródkiem i kwitnącymi malwami, piwoniami, jaśminem. W rzeczywistości mógł mieć kwiaty tylko w doniczkach.

Pan doc. Bogdan Tuross, podobnie jak p. Piotr Białous, czy p. doc. Kazimierz Czajkowski współtworzyli wokół siebie niepowtarzalny, sympatyczny klimat...

## **PAN DOC. DR HAB. TADEUSZ DOBRZAŃSKI**

Pan Docent zjawił się na Uczelni z początkiem roku akademickiego 1981/82. Wykładał medycynę sportu i zajmował się wieloma różnymi sprawami. Chyba wiedział o wszystkim, co działo się w Uczelni. Ludzie go unikali – ja też. Prowadził rozmowy w tonie dziwnym. Zadawał pytanie, odpowiedź miała być „tak” lub „nie”. Komentarz rozmówcy niby go nie interesował. Jeżeli odpowiadało się „tak”, w zależności od sprawy oczekiwał dokładnego jej wypełnienia, ściśle według jego planów i intencji.

Odpowiedź na „nie” również była problematyczna, ponieważ Pan Docent często pytał o przyczyny odmowy, czy nie zmieniło się zdania, czy się jest świadomym konsekwencji swojego „nie”.

Wydał podręcznik do medycyny sportu. Cieszył się bardzo, że studenci nareszcie otrzymają właściwy podręcznik. Na egzaminie wymagał pamięć-

ciowego opanowania materiału. Robił „kartkówki”, a później opowiadał mi kogo przylapał na ściąganiu.

Dwa dni po ogłoszeniu stanu wojennego, w grudniu 1981 r. odwiedził mnie Pan Dobrzański. Zaraz z progu zaczął mi gratulować: „gratuluję mężusia” – powtórzył kilka razy. Mówił: „cały dzień zbierałem informacje o pani, wypytywałem o panią ludzi, przeglądałem wszelkie dostępne dokumenty i nic nie znalazłem... Wręcz przeciwnie, wszyscy moi rozmówcy z wielkim szacunkiem i serdecznością odnosili się do pani mężusia”. Zapytałam, jakie imię ma mężuś. Pan Docent odpowiedział: Franciszek. Odpowiedziałam mu, że to jest mój teść, Franciszek Ujma, nauczyciel, harcmistrz, którego większość życia zawodowego przypadła na okres przedwojenny. Zdziwił się, że po tylu latach zapamiętali go uczniowie i kiedy o nim mówili, zdejmowali z głów czapki. Od tej pory Pan Dobrzański pytał mnie, na czym polega fenomen pedagogiczny, że trzy pokolenia wychowanków darzą swojego nauczyciela pamięcią i czcią. Efektem tego wydarzenia było przez niego podjęcie tematu: „O istotnych i pożądanym cechach osobowościowych nauczyciela w opinii studentów kierunku nauczycielskiego”, („Akademia Wychowania Fizycznego na Podlasiu”. Biała Podlaska, 1990, s. 91).

Wkrótce sama przekonałam się, jak opatrnościowy był dla mnie ten wywiad, a przede wszystkim jego pozytywny wynik. Pan Docent w rozmowach ze mną z pozycji atakującej przeszedł na partnerską. Kiedy potrzebowałam pomocy, udzielił mi jej. Stosowne poręczenie złożył w prokuraturze (w 1982 r.).

Obserwując p. Dobrzańskiego zauważało się pozornie cynicznego, zimnego człowieka, uznającego ideę antyautorytatywną, ideę autonomii. Człowieka ujmował On czysto indywidualistycznie – jest on tylko sobą samym i niczym więcej. Zostaje wyzuty z relacji, dzięki którym naprawdę może stać się sobą. Mimo takiej dominacji światopoglądowej, ukrywał się w nim inny człowiek, normalny człowiek, który w ostatecznym rachunku pytał: „dzięki czemu człowiek, osiąga szczęście?, kiedy należycie postępuje ze swym życiem?, czy rzeczywiście on sam może być dla siebie miarą szczęścia?”.

O tym wszystkim rozmawiał ze mną.

Wspomnienia moje o p. Dobrzańskim mają również charakter wdzięcznościowy.

W stosunku do mnie okazał się wielkodusznym, wspaniałym człowiekiem...

## GARŚĆ WSPOMNIENI O ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Opowiadając o Uczelni pragnę nakreślić w sposób ogólny atmosferę z lat siedemdziesiątych i ożywić wspomnienia. Od 1969 r. ludzie stanowiący wspólnotę akademicką charakteryzowali się wzajemną życzliwością, troską o rozwój szkoły, nadzieją, że jest coraz lepiej i będzie lepiej. Nauczycielami byli ludzie młodzi. Niektórzy mieli już swoje rodziny, a inni zakładali swoje „gniazda”. Byliśmy świadkami ich ślubu, narodzin dzieci i ich dorastania. Stąd nasze wspólne życie zawodowe łączyło się z radością i troską życia rodzinnego. Nad nami wszystkimi czuwał i z wielką pieczołowitością opiekował się Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Pierwszym prezesem i założycielem związku w Uczelni był doc. dr hab. Kazimierz Czajkowski. Sprawował On ten urząd od 1969 do 1970 roku. Następnie została wybrana na to stanowisko dr Danuta Żbikowska-Nałęcka. Kadencja jej trwała od 1970 do 1975 roku. Od 1975 r. do 1981 przez dwie kadencje przewodniczyłam ja.

Stan wojenny zawiesił działalność Związku. Później utworzono nowy Związek Nauczycielstwa Polskiego, moja w nim rola była już minimalna (z własnego wyboru).

W latach osiemdziesiątych ZNP przejawiał wszechstronną działalność. Zajmował się wszystkim: bronił pracowników, reprezentował ich przed władzami Uczelni, załatwiał sprawy socjalno-bytowe, zdrowotne, organizował pracownikom czas wolny.

Realizacji tych zamierzeń sprzyjały różnego rodzaju imprezy.

W czasie wolnym, np. po pracy Rada zapraszała wszystkich zatrudnionych w Uczelni ze swoimi rodzinami na jagody, na grzyby, do lasu, aby podziwiać kwitnące zawilce lub zobaczyć kwitnące sady, szczególnie jabłonie. Każda okazja była dobra, aby wyjechać poza miasto, np., aby ujrzeć bajecznie kolorowe jesienne drzewa. Korzystaliśmy z autokaru uczelnianego. Wycieczkowiec nie płacili nic, Rada Zakładowa ZNP pokrywała ze swojego budżetu część kosztów za nadgodziny dla kierowcy. Zimą organizowane były kuligi i zabawy na śniegu.

Dla dzieci przygotowywaliśmy upominki: słodycze, zabawki, często przy ognisku, gdzieś na polanie, w lesie kijowieckim piekliśmy kiełbaski. Zabawy dla dzieci przygotowawali państwo Sabina i Bogdan Troszczyńscy, pomagał im p. Józef Gryc, później studenci specjalizujący się w rekreacji. Gry zespołowe prowadzili nauczyciele tych dyscyplin.

Poza kilkugodzinnymi wypadami, organizowane były wycieczki parodniowe, albo jednodniowe. Byliśmy w Puszczy Białowieskiej, na Roztoczu. Organizował tę wycieczkę dr St. Arasymowicz. Z tego wypadu upamiętnił mi się pewien epizod. Szliśmy przez jesienny roztoczański barwny las, przez który przepływała rzeczka. Panowie doc. T. Jakubowski, dr St. Arasymowicz i inni przenosili na plecach wystraszone panie, sami z podwiniętymi nogawkami spodni forsowali rzekę.

Bywaliśmy nad J. Białym k/Włodawy, nad Bugiem, a odkąd powstał Ośrodek Sportów Wodnych w Rybitwach k/Pisza, jeździliśmy tam. Niezapomniane były wyprawy do teatru. Raz w miesiącu jeździliśmy do Warszawy na różne przedstawienia. Mieliśmy swój abonament w Teatrze Dramatycznym i oglądaliśmy premierowe wystawienia sztuki – wtedy wystawiane były dramaty Gombrowicza. Z tą sztuką i wielką literaturą łączy się inne wspomnienie. Każda obecność w Warszawie była powodem zrobienia zakupów, zwłaszcza wędlin. Niektóre osoby zgłaszały się na spektakl w ostatniej chwili. Światła były już pogaszone, a one wchodziły do sali teatralnej z zakupami. Zapach kiełbasy towarzyszył zapachowi ruskich perfum, powodując śpiączkę w części widowni. Odwiedziliśmy wszystkie teatry i estrady w Warszawie, Lublinie, a nawet w Krakowie i Poznaniu. Kontakty ze sztuką, wielką literaturą wyciszały nas, uszlachetniały, kazały spojrzeć na siebie odświeżenie, bardziej uroczyście. Upoważniał do tego i zewnętrzny wygląd każdej osoby. W miłej pamięci zapisały się również spotkania towarzyskie z okazji Dnia Kobiet, Dnia Matki, Dnia Dziecka, Dnia Nauczyciela, inauguracja Roku Akademickiego, Andrzejek, Balu Sylwestrowego, choinki dla dzieci, itd.

Wymienione imprezy organizowała Rada Zakładowa ZNP przy pomocy wielu ofiarnych ludzi. Całe działy, np. kwestura, biblioteka włączały się, aby przygotować salę na spotkanie, udekorować ją, a później posprzątać, umyć naczynia.

Ze wzruszeniem wspominam, jak gotowałyśmy bigos, smażyły frytki, przygotowywały kiełbasę na ognisko, piekły ciasto itd. Chodziło nam o to, aby wydać jak najmniej pieniędzy, a najsmaczniej i najbogaciej zastawić stół. Ludzie byli zadowoleni, śmiali się, bawili, to były inne twarze.

Spośród członków związku należy wymienić osoby, na które zawsze można było liczyć. Były oddane całym sercem i duszą sprawie społecznej i do nich zaliczam koleżanki: Krystynę Bebko, Janinę Pełkę, Jadwigę Jaczynowską, dr Danutę Żbikowską, mgr Sławomirę Suchożebrską i inne – oraz kolegę Stanisława Mazura, Zdzisława Czerniaka, Stefana Sosidkę, dr Zbigniewa Danilkiewicza, dr Władysława Kudelskiego, mgr Józefa Gryca, mgr Mariana Szypra, mgr Andrzeja Piaseckiego, mgr Mariana Rzędzickiego,

mgr Józefa Starzyńskiego, mgr Kazimierza Zająca, mgr Eugeniusza Szostaka, dr Elżbietę Troszczyńską, Sabinę i Bogdana Troszczyńskich itd.

Współ z kierownictwem Uczelni, rada organizowała wycieczki naukowe, „po doświadczenia”. Z tego tytułu odwiedziliśmy AWF w Krakowie, Katowicach i w Poznaniu. Również zapraszane były wybitne osobistości do Białej. Zaszczycili nas swoją obecnością: prof. Witold Doroszewski, prof. Władysław Lorent, ks. prof. Włodzimierz Sedlak, prof. Stefan Wołoszyn i inni.

Do krajów sąsiednich jeździliśmy autokarem lub pociągiem. Byliśmy w NRD, na Węgrzech i Związku Radzieckim. Wycieczki te pilotowali: mgr Maria Zydlewska, Barbara Kapica i Leon Trzeciak – albo ktoś z Rady.

Rada Zakładowa cieszyła się zaufaniem członków związku. W czasie trwania mojej kadencji, nie było dnia, w którym nie powierzono mi swoich zmartwień zawodowych, osobistych. Staralam się, jak to było możliwe, aby te wszystkie problemy pozytywnie rozwiązać i powiadomić osobę zainteresowaną o toku jej załatwienia.

Opiniowaliśmy również sprawy pracownicze. Na tym polu najczęściej występowała różnica zdań, pomiędzy Kierownictwem a Radą. Staraliśmy się, jako związkowcy, zawsze trzymać stronę pracownika. To była nasza stała zasada przy podejmowaniu decyzji.

Pamiętam, że każdy nowy szef Uczelni zaczynał swoje rządy od redukcji etatów i zmian lokalowych. Jednym działom umniejszano lokal, innym dawano, a już na pewno zmieniano przeznaczenie.

W roku akademickim 1975/76 przedstawiono mi listę 14 pracowników, kwalifikujących się do zwolnienia. Wszystkie osoby pozostały w Uczelni i uzyskiwały bardzo dobrą opinię od swoich przełożonych. Prawdopodobnie nie wiedziały o tym, co ich czeka. Powtarzała się ta akcja i w następnych latach, np. w 1980 roku usiłowano zwolnić część pracowników. Najbardziej zabawna była sprawa z personelem budowlanym. Pan Dyrektor Z. Jobda podpisywał zwolnienia i w tym samym czasie przychodził do mnie prosząc o ich obronę. Do kompetencji Rady Zakładowej należały sprawy mieszkaniowe. Asystenci mieszkali w Domu Studenta i Domu Pracownika. Mieli już swoje rodziny i swoją przyszłość wiązali z Uczelnią. Musieli mieć własne mieszkanie. Aby wyjść naprzeciw oczekiwaniom Kadry, Kierownictwo Filii zawarło umowę na mieszkania z Prezydentem Miasta. Prezydent zobowiązał się do przydzielenia AWF-owi 25 mieszkań w czasie od 1977 r. do 1980 r. Umowa ta została zrealizowana. Wypełnienia jej strzegłam osobiście. Zresztą byłam autorką tej umowy. Pamiętam, jak zachęcałam młodych nauczycieli do wzięcia mieszkania. Były to lokale typu spółdzielczego.

Do zaszczytnych obowiązków moich należał kontakt z duchowieństwem, specjalnie nikt mi go nie zlecał, ale poszczególni Rektorzy zainteresowane tą sprawą osoby, odsyłali do mnie. Wiedzieli, że utrzymuję kontakty z księżmi. Również pracownicy swoje religijne problemy, w wielkiej dyskrecji, powierzyli mi, celem ich załatwienia. Pomagał mi w tym ks. kanonik Roman Soszyński.

Wtedy duszpasterstwo akademickie prowadzili Ojcowie Kapucyni. Najpierw O. Pacyfik Dydycz, ówczesny gwardian Kapucynów, później O. dr Maksymilian Macioszek, O. dr Kazimierz Tuszyński i inni. W latach osiemdziesiątych opiekę duszpasterską przejęli księża diecezjalni. Na początku każdego roku akademickiego, od 1970 r. w intencji pracowników i studentów u oo. Kapucynów odprawiana była msza święta. Uczestniczyła w niej kadra i studenci. Z wiadomych przyczyn nie ogłaszaliśmy mszy św., ale „pocztą szeptaną” i bardzo dyskretna wieść rozchodziła się błyskawicznie. W kościele byli studenci i kadra profesorska.

W kościele systematycznie odbywały się katechezy dla młodzieży akademickiej. Idąc do Kapucynów, studenci po drodze grali w piłkę. Patrząc na nich nikt im przypisywał intencji modlitewnej, a oni w ten sposób wchodzili do kościoła. To była wspaniała kadra i wspaniali studenci. Ja z tytułu załatwiania spraw kościelnych nie miałam kłopotu. Nikt nigdy nie robił mi żadnej uwagi, a przecież sytuacja nie była najlepsza, dalej byłam obserwowana przez moich „dobrodziejów”.

Po sierpniu 1980 r. Rada Zakładowa ZNP, w październiku tego roku podała się do dymisji. Na Walnym Zebraniu wszystkich pracowników Uczelni – członków ZNP – ponownie opowiedziano się za Związkiem Nauczycielstwa Polskiego i jednomyślnie potwierdzono cały skład Rady Zakładowej. Podając się do dymisji mieliśmy na uwadze „Solidarność” i to, aby ludzie mieli możliwość wyboru właściwego dla siebie Związku. Zebraniu przewodniczył mgr Andrzej Piasecki. W 1979 roku i początkach lat osiemdziesiątych z Uczelni odeszła znaczna liczba osób. Nie było już p. doc. A. Olszowskiego, doc. K. Czajkowskiego, doc. B. Turosa, doc. W. Starosty, doc. J. Szczepańskiego, państwa Troszczyńskich, mgr F. Gryca i wielu innych. To jednorodne i zgrane środowisko przyjęło do siebie nowych ludzi. Często o innej mentalności, odmiennych upodobaniach i nawykach. Atmosfera wśród pracowników była już odmienna od tej z lat siedemdziesiątych. W roku akademickim 1980/81 powstał nowy związek „Solidarność”. Wstąpiło do niego wielu nowych pracowników, członków ZNP, a nawet niektóre osoby spośród rady zakładowej. W grudniu 1981 r. ogłoszono stan wojenny i zawieszono, czy rozwiązano wszystkie organizacje społeczne, również i nasz Związek.

Muszę wspomnieć o pewnym incydentalnym wydarzeniu. Otóż z okazji roku akademickiego otrzymaliśmy z Cieleśnicy wino. Wystarczyło go po lampce dla każdego uczestnika uroczystości akademickiej. W 1981 nie organizowaliśmy już spotkania towarzyskiego. Były dwa Związki. Jednak wino, Cieleśnica w późniejszym terminie przysłała. Dla formalności trzeba było złożyć zamówienie i rozliczyć się z niego. Zamówienie na wino podpisał pracownik socjalny i ja. Przed tym konsultowałam tę sprawę z Komisją Zakładową „Solidarności” i władzami Uczelni. Wspólnie nie widzieliśmy w tej sprawie nic złego. Za miesiąc miały być święta Bożego Narodzenia. Wszyscy pracownicy, bez wyjątku za pokwitowaniem wzięli po butelce wina. Rozprowadzono je w ciągu dwóch godzin. Jakież było moje zdziwienie, gdy za tydzień p. rektor E. Wasilewski zwołał zebranie, na którym omawiana była sprawa wina. Do Rektoratu wpłynęła skarga, że rozpija się pracowników. Kiedy zebranych pokazałam listy rozprowadzenia wina, podpisane pismem czytelnym przez wszystkich bez wyjątku i tych uczestniczących w zebraniu, sprawę wykreślono z porządku obrad. Jednak oskarżyciele poszli dalej. W tej sprawie wysłano anonim do milicji i prokuratora. Anonim oskarżał mnie, jako główną sprawczynię tego zajścia. Stan wojenny został ogłoszony 13 grudnia 1981 r., a 17 grudnia tego roku zjawił się u mnie milicjant. Przesłuchiowano mnie cztery razy. Dwa razy byłam wzywana do prokuratury przy ulicy Prostej.

W 1982 r. w połowie stycznia prokurator odczytał mi wyrok skazujący, do trzech lat w zawieszeniu. Równocześnie powiedział mi, że kara może być cofnięta, jeśli ktoś znaczący w Uczelni złoży w mojej sprawie poręczenie.

Ku mojemu zaskoczeniu i zdziwieniu deklarację poręczenia za mnie złożył p. doc. dr hab. Tadeusz Dobrzański. Jestem mu bardzo wdzięczna za ten gest przychylności.

W zaufanych kręgach szeptano wierszyk na ten temat:

*Oj dana ! Oj dana !  
Maria ukarana.  
Wszyscy wzięli wino,  
wszyscy podpisali,  
na niej jednej psy wieszali !  
Oj Anonimie, kara Cię nie minie.  
Niby wszystko dobrze,  
niby wszystko fest.  
A tu stan wojenny jest.  
Oj Anonimie, kara Cię nie mnie.*





## AWF w mojej pamięci.....

(...) Zupełnie niespodziewanie zostałem zaproszony przez prorektora Filii Akademii Wychowania Fizycznego, doc. dr. Antoniego Olszowskiego, na rozmowę. Po grzecznościowej wymianie zdań i krótkim przedstawieniu przez prorektora problemów filii, wyraziłem zgodę na przejście do pracy w wyższej uczelni. Doc. Olszowski zobowiązał się załatwić mi zmianę pracodawcy na zasadach oddelegowania służbowego z kuratorium do filii. Takie pismo z kuratorium otrzymałem z dnia 12 listopada 1975. Niezależnie od tego, na jakiej podstawie prawnej było one oparte, uważam, że nigdy nie zostałem zwolniony z pracy w szkole.

Niestety, inne zdanie mieli na mój temat kolejni dyrektorzy szkoły. Ze strachu byli gotowi własną żyletką wykrobać mnie nie tylko z ewidencji, ale i z pamięci. W taki sposób moje kontakty ze szkołą zawodową zostały całkowicie przerwane. Nie muszę dodawać, jak byłem mile zaskoczony, kiedy po 23 latach usłyszałem w słuchawce telefonu głos nowego dyrektora. Mariana Iwanowskiego, byłego wychowanka bialskiej AWF. Zaczynam wierzyć, że to młodsze pokolenie, wolne od obciążeń przeszłości, będzie zdolne wyzwolić się ze stereotypów bliższych obłudzie, niż patriotyzmowi i doprowadzi nas do normalności.

Na moje przejście do pracy w FAWF i zaniechanie pracy w zawodzie, wpływ miały dwie okoliczności. Pierwsza to nadaktywność partyjna pani A.C., która wykorzystując swoje stanowisko blokowała dostanie się mojego syna na studia do Filii AWF. Drugi wynikał z niezwykle sympatycznego wrażenia, jakie wywarł na mnie prorektor Olszowski. Nie wiedziałem wówczas, ale czułem, że będzie to najlepszy szef, jakiego miałem kiedykolwiek.

Jak się okazało, na zaangażowanie mnie na stanowisko dyrektora administracyjnego filii potrzebna była zgoda komitetu partii, której – niestety – prorektor nie uzyskał. Filia podlegała bezpośrednio, po linii partyjnej tow. A.C. Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, ponieważ przestałem pracować w szkole zawodowej, a nie mogłem podjąć pracy w Filii Akademii Wychowania Fizycznego. Omijając decyzje Komitetu, zostałem zaangażowany z dniem 17 listopada 1975 na stanowisko kierownika działu inwestycji p.o. dyrektora administracyjnego. To obejście decyzji Komitetu kosztowało doc. A. Olszowskiego bardzo wiele i negatywnie wpływało na karierę naukową i zawodową. Kiedy po trzech miesiącach automatycznie przeszedłem

na stanowisko dyrektora administracyjnego i prowadziłem jako wykładowca zajęcia dydaktyczne, los A. Olszowskiego był już przesądzony, z czego zdawał sobie doskonale sprawę, a mimo to zdania nie zmienił. Ogromnie wiele dobrego dla mnie zrobiono, wyjmując stanowisko dyrektora administracyjnego z nomenklatury partyjnej, tworząc azyl chroniący przed tow. A. C.

Dla porządku chcę dodać, że niezwykle dobrze układały mi się stosunki służbowe ze wszystkimi kolejnymi sekretarzami uczelnianymi partii, którzy oceniali mnie na podstawie wyników mojej pracy, a nie donosów dostarczanych przez przyjaciół do Służby Bezpieczeństwa. Piszę o tym dlatego, że nie wszyscy, co byli w partii, zasługują na negatywne oceny, co dzisiaj stało się regułą. Dzięki wielu ludziom mądrym, którzy znaleźli się w partii nie tylko można było przetrwać, ale w dużym stopniu dokonać zmian ustrojowych. Najgorsi są ci, co zawsze płyną z prądem. Zbigniew Herbert zwykł mawiać, że z prądem płyną śmieci, a płynąc pod prąd przynajmniej wyrabia się mięśnie.

## Inauguracja

(...) W filii AWF inaugurację roku akademickiego 1976/77 przeżyłem jeszcze w auli, ponieważ na halę sportową trzeba było poczekać. Atmosfera do pracy była w uczelni doskonała, natomiast byłem zupełnie zaskoczony bazą materialną i naukowo-dydaktyczną. To, co zastałem w AWF było nieporównywalne z tym, co zostawiłem w Zespole Szkół Zawodowych przy ul. Brzeskiej. Były to przecież nowe obiekty wykonywane w ramach inwestycji



z planu centralnego i wyższa uczelnia. Z budową obiektów, które zajmowała, byłem częściowo związany dużo lat wcześniej. Przez komisję oświaty Powiatowej Rady Narodowej, gdzie byłem zastępcą przewodniczącego dyr. Kempki, forsowaliśmy budowę wymienionych obiektów w Białej Podlaskiej, początkowo na będące na fali Studium Nauczycielskie. Przekazanie obiektów i powołanie Filii Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie w roku 1968 było następnym etapem nobilitacji miasta Biała Podlaska. Przeglądając, wraz z doc. Olszowskim, poszczególne obiekty zastałem następujący stan rzeczowy. Hala sportowa składała się z kilku słupów metalowych oraz niewielkiej ilości konstrukcji dachowej, leżącej w trawie. Stadion lekkoatletyczny to bieżnia asfaltowa o zewn. zbieżności na łukach i oświetleniu ulicznym, czego w swoim życiu nie widziałem na żadnym stadionie. Korty tenisowe przedstawiał plac wielkości czterech kortów, ogrodzony murem z kamienia, nad którym dyndało na wietrze umocowane na linach wzdłuż kortów oświetlenie. To, co nazywa się kortem tenisowym, było zwykłą ziemią, na której rosło ziele wysokości około 2 m. Żadnego odwodnienia, stabilizacji ani nawierzchni nie było.

Pływalnia składała się z betonowego basenu przeciwpożarowego i kilku słupów stalowych leżących w trawie, przeznaczonych pod przyszłą konstrukcję krytej pływalni, na którą nie było żadnej dokumentacji technicznej.

Trzy sale wykładowe wyposażone były w stoliki z blatami oklejonymi laminatami i stołki na nogach z metalowych prętów, oraz standardowe tablice. Sale gimnastyczne posiadały typowe wyposażenie przewidziane dla szkół. O sanitariatach nie piszę szczegółowo, ponieważ niczym nie odbiegały od polskiej normy. Jak się siusiało do pisuaru, to najpewniej było stać w kaloszach.

Wracając do spraw Filii AWF, przysłowiowe wiadro zimnej wody na otrzeźwienie wylała nam kwesor uczelni, I. Patkowska, oświadczając, że pod względem finansowym wszystkie inwestycje są zakończone. Środków finansowych zarówno na inwestycje jak i na remonty nie ma i nie będzie. Na razie istnieje poważny problem zapłacenia za pomalowanie sali gimnastycznej. Sytuacja, przynajmniej w zakresie finansów, była jasna. Jeszcze nie zdążyłem dokładniej popatrzeć co zastałem w biurku, a już otrzymałem wiele poważnych postulatów. Najzabawniejsze były dwa. Pierwszy dotyczył pływalni krytej, którą postulowano wybudować za trzy miesiące, a najwyżej za sześć. Drugi dotyczył Ośrodka Sportów Wodnych, gdyż korzystanie z ośrodka uczelni macierzystej, jakim jest AWF w Warszawie, uważano za niewystarczające. Ośrodek warszawski był w Giżycku. Dla nas zaproponowano nad jeziorem Roś koło Pizsa. Propozycje można było przyjąć jako ciekawe, ale jak zawsze w PRL i teraz, mało kto myśli – skąd wziąć na to pieniądze.

W bardzo krótkim okresie poznałem realia i zdałem sobie sprawę, że jedyną drogą do poprawy materialnej bazy dydaktycznej może być tylko utworzenie nielegalnej grupy wykonawczej w ramach istniejących etatów

zatrudnienia i funduszu płac. Formalna grupa remontowo-budowlana nie mogła wchodzić w rachubę, gdyż nie można tworzyć grupy do prowadzenia remontów kapitalnych obiektów, które praktycznie nie istniały, bądź były niedawno oddane do użytku. Swoje zamierzenia mogłem urealniać tylko przy bardzo dobrej współpracy z kwestorem uczelni, który jest odpowiednikiem głównego księgowego przedsiębiorstwa, oraz przy pełnej zgodzie prorektora odpowiedzialnego za całość. Współpraca układała się lepiej niż przypuszczałem, zdając sobie sprawę, że ciągle z mojego powodu balansujemy na pograniczu prawa. Przeprowadzane kontrole nigdy nie wykazały rażących uchybień.

### Budowa hali

Dzięki dobrej współpracy i wytworzonej atmosferze, działając bez środków finansowych, stworzyliśmy szeroki front robót i w bardzo krótkim czasie oddaliśmy do użytku halę sportową, której montaż przedstawia fotografia. Niezwykle cennym pracownikiem i bardzo przydatnym w tym trudnym okresie był kierownik inwestycji i remontów Tadeusz Kaźmierczak, z uwagi na to, iż znał na pamięć wszystkie obiekty. W czasie budowy, w Przedsiębiorstwie Budowlanym zajmował stanowisko kierownika budowy.



Funkcję brygadzysty pełnił Stanisław Mazur, który doskonale uzupełniał Tadeusza Kaźmierczaka. Był człowiekiem niezwykle szlachetnym, prawym i bezkonfliktowym. Największym zagrożeniem przedsięwziętych działań modernizacyjnych uczelni były rosnące apetyty na więcej. Prawdą jest, że apetyt rośnie w miarę jedzenia, ale przy zupełnym braku środków finansowych ciągle rozszerzanie zadań groziło katastrofą. Wystarczającą ilość problemów dla nielicznej grupy konserwatorów stwarzała bieżąca konserwacja uczelni, akademików, źle zaprojektowanej kotłowni i kuchni w stołówce akademickiej. Oddzielnym problemem był transport, którym kierował Stanisław Sienkiewicz. Zwiększona ilość przewozów wynikała z braku pływalni i konieczności wożenia studentów na zajęcia z pływania do Puław lub innych miast.

Utrzymanie w pełnej sprawności mocno wyeksploatowanego taboru samochodowego wymagało wiele pracy przekraczającej normalne obowiązki służbowe. Trzeba przyznać, że S. Sienkiewicz z jednym mechanikiem Czesławem Bokwą radzili sobie dobrze. Każde, nawet niewielkie osiągnięcie cieszyło, jak chociażby otrzymany Meleks.

Przewidując wiele robót stolarskich, jak boazerie, podłoga w hali sportowej, zacząłem rozglądać się za pozyskaniem podstawowych maszyn stolarskich. Pierwsze maszyny stolarskie przywoziłem ze szkoły zawodowej w Radzynie Podlaskim z upłynnienia maszyn zużytych i zbędnych, za które uczelnia nie płaciła jednego grosza. Remont maszyn wykonaliśmy we własnym zakresie.

Nie mniejszym problemem było wykonanie prowizorycznych pomieszczeń na jakiś warsztat i magazyn materiałów. Tą drogą stworzyliśmy grupę, która oprócz konserwacji i napraw bieżących wykonywała roboty inwestycyjne i kapitalne remonty.

Oprócz hali sportowej, w której roboty wykończeniowe łącznie – z trybunami – robiliśmy systemem gospodarczym, przystąpiliśmy do adaptacji klas lekcyjnych na sale wykładowe. Dokumentację techniczną robiliśmy na bieżąco we własnym zakresie, za co nikt z nas nie pobrał nigdy żadnej zapłaty. Traktowaliśmy to jako nasz obowiązek moralny i zapłatą najwyższą była satysfakcja, że coś się pożytecznego robiło.

Dzisiaj mam pełną świadomość, iż jedyną osobą w uczelni, która dokładnie wiedziała co robimy i dlaczego, był prorektor Antoni Olszowski. Nie tylko wiedział, ale był głównym inspiratorem działań i brał na siebie całkowitą odpowiedzialność. Niezależnie od tego, co myślą na ten temat dawni i obecni przedstawiciele władzy uczelni, jestem całkowicie przekonany po 6-letniej pracy na stanowisku dyrektora administracyjnego, że gdyby nie Antoni Olszowski, Filia przestałaby istnieć w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i przeszłaby do Lublina lub Białegostoku, co nie jest tajemnicą.

(...) Początkowo w ramach utworzonej spec-grupy, umownie nazywanej grupą remontową, utworzyłem 3-osobową sekcję z Januszem Skutnickim z myślą o telewizji kablowej. Ponieważ tworzyłem schematy organizacyjne nieznanne w macierzystej uczelni, a potrzebne do wykonania określonych zadań, powyższa sekcja, po radiofonizacji uczelni i wykonaniu telewizji kablowej, przeszła do obsługi dydaktyki.



*Melex; od lewej siedzi mechanik Czesław Bokwa, stoi autor i Stanisław Sienkiewicz*

(...) W mojej pracy niezwykle pomocny był fakt posiadania wychowanków z okresu pracy w szkole zawodowej, w każdym zakładzie pracy. Były to okoliczności sprzyjające do kontaktów w celu wykonania różnych prac często w kooperacji. Ponieważ nie posiadaliśmy właściwej bazy warsztatowej, często sprawy drobne urastały do problemu. Najlepszym przykładem, który zapamiętałem, jest przebudowa sali wykładowej nr 3. Niektóre roboty musieliśmy wykonać poza uczelnią, a część elementów we własnym warsztacie i razem montować na sali. Nie miałem koncepcji na czym umocować pulpit dla wykładowcy. Zupełnie przypadkowo znalazłem gilzę od pocisku artyleryjskiego, na której ustawiłem pulpit. W tej sali nie byłem wiele lat. Jeżeli gilzy nie wyrzuconoby w ramach prowadzonych remontów, ponieważ uczelnia wspaniale się rozbudowuje, to na pewno dobrze służy sprawie i zapewniam, że nie wybuchnie. Wspomniałem ten przykład, gdyż jest bardzo charakterystyczny, do jakich metod należało się uciekać, aby coś zrobić, przy bardzo ograniczonych środkach finansowych. O zakusach przeniesienia Filii do Lublina lub Białegostoku wspominałem. Dodam jedynie, że miałem okazję słyszeć, co proponował Lublin a co Białystok przy naszych skromnych prowincjonalnych możliwościach. W każdym bądź razie mieliśmy bardzo poważny bodziec do rozszerzania frontu robót bazy materialnej Filii, nie licząc się zupełnie z ewentualnymi konsekwencjami. Szczęściem w nieszczęściu był na pewno fakt, że Biała Podlaska została miastem wojewódzkim i nie podlegała pod Lublin. W innym przypadku los Filii AWF w Białej Podlaskiej byłby przesądzony.

Jeszcze nie była całkowicie zakończona jedna hala sportowa, opracowano dokumentację techniczną i kontynuowano budowę pływalni krytej. Wykonano dokumentację techniczną i zlecono wykonanie konstrukcji stalowej do Mostostalu w Siedlcach na halę sportową o module 24 m. Hala całkowicie podpiwniczona o długości 100 m była zlokalizowana wzdłuż ulicy Kopernika (do jej losów powrócę). Ponadto rozpoczęto budowę Ośrodka Sportów Wodnych w Piszcu. Nie wspominam prac modernizacyjnych w uczelni i akademikach, które były wykonywane w ramach remontów bieżących.

Tak szeroki wachlarz robót w uczelni, której losy ciągle się ważyły, wywoływał wiele kontrowersji. Ponieważ dość często pukaliśmy do drzwi zarówno AWF w Warszawie, jak i Głównego Komitetu Kultury Fizycznej przy ul. Litewskiej, dało to poważny pretekst do wizytowania uczelni przez władze zwierzchnie, oraz kontroli.

(...) Załączona fotografia przedstawia jedną z wizyt szczebla centralnego. Na pierwszym planie Anna Ciesielczuk, obok sekretarza POP Mieczysława Krajewskiego i rektora AWF prof. Macieja Składa. Następna postać to przedstawiciel KC PZPR, oraz moja skromna osoba i prorektor Antoni Olszowski. Ponieważ dzisiaj w każdym miejscu i na każdym kroku potępia się w czambuł wszystko, bez wyjątku, co miało miejsce w PRL, a szczegó-



nie działaczy partyjnych, pomimo że mógłbym mieć wiele negatywnych skojarzeń z własnych przeżyć, to muszę wyraźnie podkreślić, że się z tym nie zgadzam. Najgłośniejsi w oskarżeniach najczęściej są ci, dla których głównym celem jest jakaś władza poprzez przypodobanie się prominentom będącym na fali dziejów Rzeczypospolitej. Nadzieja tkwi w tym, że w niedługim czasie zaczną wchodzić na arenę polityczną młode pokolenie. Na pewno lepiej wykształcone, mające większą świadomość, że największym darem, jakim Bóg obdarzył człowieka, jest jego rozum.

Wracając do spraw Filii pragnę przypomnieć, że ciągle szukaliśmy sposobów na to, jak przyspieszyć, nie mając środków finansowych inwestycje, szczególnie krytą pływalnię. W październiku 1976 roku zorganizowaliśmy przy Białskim Przedsiębiorstwie Budowlanym Studencki Hufiec Pracy. W swoim założeniu junacy, nie tylko studenci, pod nadzorem Białskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, mieli budować pływalnię. Przez rok działalności hufca wykonano gros robót budowlanych, ale – niestety – mniej niż oczekiwano. Przyczyn było kilka ze względu na bardzo trudną inwestycję, uwarunkowaną niecką basenu przeciwpożarowego.



W trakcie budowy Biuro Projektów z Warszawy, wykonując dokumentację techniczną, ciągle dokonywało zmian projektu, przy bardzo słabym zaangażowaniu Biańskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Nasze możliwości finansowe i wykonawcze były minimalne, zupełnie nie przystające do potrzeb. Uznaję za krok rozpaczy zatrudnienie przy budowie pływalni więźniów. Ale innej możliwości nie było. Ta decyzja pomogła zamknąć obiekt i wykończenie rozłożyć w czasie możliwym do zrealizowania wszystkich niezbędnych prac.

Budowa pływalni w Filii AWF w Białej Podlaskiej doskonale charakteryzuje okres Gierka. Jedni mogli zakładać złote klamki, gdy inni musieli pełnić dla równowagi rolę Syzyfa, toczącego kamień pod górę. Oddzielny rozdział może stanowić budowa własnego Ośrodka Sportów Wodnych i Rekreacji w Piszcu. Znając częściowo motywację prorektora na rozszerzanie inwestycji pomimo braku środków, udałem się w towarzystwie przedstawicieli Rady Wydziału, na czele z prorektorem, do Piszca, aby poczynić wstępne rozeznanie sytuacji. Nie byłem zaskoczony gościnnością i dobrym przyjęciem przez miejscową władzę, jak również miejscem położonym na kilku hektarach w lesie z dostępem do jeziora Roś. Przerazała mnie odległość ponad 200 km od Białej Podlaskiej, przy kompletnym braku jakichkolwiek środków finansowych i rzeczowych w postaci normalnego własnego wykonawstwa. Niestety, od losu uciec się nie da i najczęściej trzeba się z nim zmierzyć. Dość szybko przystąpiliśmy do roboty, załatwiając równocześnie sprawy formalno-prawne. W namiocie zakwaterowaliśmy pierwszą kilkusobową grupę pracowników Filii, która rozpoczęła od wybitcia studni i wykonania prostych urządzeń sanitarnych. Grzegorz Tarantowicz i Marian Troszczyński zorganizowali na polecenie prorektora obóz studencki. Po tygodniowym pobycie, przy niesamowitym zimnie na przełomie kwietnia i maja, w strugach deszczu, nastąpiło załamanie, które przyjść musiało. Pojechaliśmy z doc. A. Olszowskim, aby być razem i przynajmniej podtrzymać na duchu zarówno studentów jak i pracowników. Zakupiliśmy pierwsze 3 domki campingowe w Łomiankach z własnym montażem. W uczelni wybieraliśmy z trawy leżące ceowniki, kątowniki, oraz inną stal profilową, pozostałą najprawdopodobniej po zakończonej budowie i z tego zaczęliśmy kleić w Piszcu wiatę o konstrukcji stalowej z przeznaczeniem na kuchnię i stołówkę. Dużym bodźcem do podejmowania takich działań była dobra atmosfera i przychylność pani kwestor.

Pomimo że minęło wiele lat od zakończenia wojny, to jeszcze w latach 70-tych czas na Mazurach jakby się zatrzymał. Ciągle ktoś do kogoś strzelał, wpadał w sidła zastawione nie tylko na zwierzyne. Nam dużą pomocą służył leśniczy Nerkowski znający doskonale teren i ludzi, chociaż nie zawsze przychylnych. O każdej porze dnia i nocy leśnicówka, leżąca przy drodze z Piszca, była dla nas otwarta i bardzo gościnna. Dla mnie miało to znaczenie, gdyż często musiałem przebywać w budującym się ośrodku.



Pomimo że nie brałem udziału w bezpośrednim wykonawstwie, to jednak często zajmowałem się gotowaniem, z czego wszyscy byli najbardziej zadowoleni. Często w żartach przypominałem, że jestem dyrektorem, a nie kucharzem. Najbardziej rozbrajał mnie Stasio Makaruk, którego uczyłem w ZSZ i Technikum Mechanicznym. Pomimo że lubił popijać, przyjąłem go jako spawacza. Niewiele osób wiedziało, że był po maturze i to zdanej bardzo dobrze. Mówił zawsze: – *Lubię robić, jak pan jest z nami. Nigdy, nawet w snach nie myślałem, że za pomocnika będę miał inżyniera i to swojego profesora.*

Roboty było wiele. Oprócz montażu domków, robót hydraulicznych, elektrycznych, montażu kotłów w kuchni trzeba było zrobić pomosty i przystań dla łodzi. Po konsultacji z Marianem Troszczyńskim i Grzesiem Tarantowiczem zrobiłem uproszczony projekt i przystąpiliśmy do realizacji.

Budowy nie były okazałe, szczególnie dla malkontentów, którym wszystko spadało z nieba z woli partii, ale w tamtym czasie – bez środków, były to osiągnięcia całego zespołu, nie mające precedensu.

Z pobytu w ośrodku w Piszcz zapamiętałem pewien fragment związany z burzą. Mieszkałem wówczas w jednym z dwóch barakowozów, które udało mi się wypożyczyć. W drugim wraz z żoną mieszkał czasowy kierownik ośrodka, na którego robotnicy mówili „Mrówka”. Bliżej jeziora w dużym namiocie mieszkali Troszczyńscy. Nie pamiętam, czy to były Igrzyska Olimpijskie, czy jakieś mistrzostwa świata, ale pamiętam, że na prośbę Troszczyńskich ustawiłem im dużą prowizoryczną antenę na zewnątrz i w namiocie telewizor.

Burza przyszła niespodziewanie w czasie oglądania transmisji, podczas gdy ja byłem w barakowozie, który na skutek wyładowań zaczął podskakiwać. Była ciemna noc, kiedy po którymś wyładowaniu usłyszałem wołanie o pomoc. Piorun uderzył tak blisko nas, że poraził żonę „Mrówki”. Podczas, gdy moja żona udzielała pomocy „Mrówkom”, ja pobiegłem w ulewie w stronę namiotu Troszczyńskich. Pan Troszczyński nie mógł uświadomić sobie, w którym momencie został wyrzucony z namiotu, a żona doznała porażenia nóg. Telewizor, oczywiście, spłonął.

(...) W grupie pracowników budujących ośrodek był między innymi bardzo sympatyczny młody człowiek, zawsze bardzo pogodny, wesoły, jednym słowem ciekawy gość. Otóż ten młody człowiek, nudząc się w lesie i nie znosząc samotności, na pocieszenie znalazł sobie dziewczynę w Piszcz. Jak wszyscy szkwali się do snu, on cichaczem wsiadał do łódki i płynął około 10 km do Piszcz. Dbając o dobro społeczne, jakim była łódka, brał ją na plecy i szedł pod blok, w którym mieszkała wybranka. Rano, kiedy jeszcze wszyscy spali, wracał do ośrodka. Takich i podobnych zdarzeń było sporo, jak w życiu. Tym razem, przed wypłynięciem do Piszcz wybrał się na środek jeziora na ryby z kolegą. Nie prowadziłem dochodzenia, ponieważ do tego się nie nadaję, i dlatego nigdy nie dowiedziałem się, kto był tym drugim

w łódce. Wszystko skończyło się szczęśliwie. Po kilku latach główny bohater przeżyć na łódce podczas burzy opowiadał mi, że nigdy tego nie zapomni i głęboko uwierzył w opatrzność Bożą. Po rozpoczęciu robót w ośrodku w Piszcu trzeba było skromne środki dzielić pomiędzy roboty prowadzone w uczelni i na Mazurach. Muszę przyznać, że chętnych na wyjazdy do pracy w Piszcu nie było, ponieważ każdy miał na miejscu rodzinę i wynikające stąd obowiązki. Wyjazdy były traktowane jako zło konieczne. Zawsze szukaliśmy do pomocy ludzi dobrej woli, „dobrodziejów” i bardzo często znajdowaliśmy życzliwych. Bardzo dużą pomoc otrzymaliśmy od kierownika robót firmy budującej pasy startowe na lotnisku. Po zakończeniu robót na lotnisku przekazał Filii około 3 wagony tłucznia ze żwirem i dostarczył własnym transportem na wykonanie podbudowy pod wspomniane korty tenisowe.

Z rozpoczętych robót wielu nie udało nam się zakończyć z różnych przyczyn. Wykonanie bieżni tartanowej na wspomnianym asfalcie przeciągało się w czasie, ponieważ wyznaczone przez GKkFiT przedsiębiorstwo bardzo długo nie mogło opanować technologii wylewania tworzywa. Wyszukiwano najróżniejszych przyczyn, aby usprawiedliwić swoją niewiedzę w tym zakresie.

O trudnościach w zakończeniu pływalni krytej już wspominałem. Poczyniliśmy również wstępne starania o sztuczne lodowisko, które miało być zlokalizowane za obecną halą sportową. Najpoważniejszym problemem okazał się brak mocy i konieczność przebudowy całego zasilenia, łącznie z transformatorem. Nie oznacza to, że zrezygnowaliśmy z lodowiska, a jedynie sprawę odłożyliśmy na czas późniejszy.

Jeszcze za czasów kierowania uczelnią przez prorektora doc. dr. Antoniego Olszowskiego, uzyskaliśmy wstępną lokalizację na halę sportową przy ul. Kopernika. Na tej podstawie zleciliśmy do Biura Projektów w Warszawie opracowanie pełnej dokumentacji na nią i to, całkowicie podpiwniczoną. Hala miała posiadać 100 m bieżnię oraz, w podpiwniczeniu, gabinety odnowy.

Po wykonaniu dokumentacji zleciliśmy wykonanie konstrukcji do Mostostalu w Siedlcach. Ponieważ był to okres pełnej reglamentacji stali, na całą konstrukcję otrzymaliśmy przydział z GKkFiT. Pragnę przypomnieć, że w ocenie GKkFiT, Filia AWF w Białej Podlaskiej w tym czasie należała do najprężniej rozwijających się uczelni sportowych w Polsce. Właśnie dlatego GKkFiT cały przydział stali, jakim dysponował, kosztem innych uczelni z ośrodka w Zakopanem przydzielił Białej Podlaskiej.

Z pracy w Filii odszedłem 1 stycznia 1982. Wracając do lat minionych, mam wrażenie, że wszyscy, zarówno studenci jak i pracownicy, niezwykle radośnie przeżywali pierwszą inaugurację roku akademickiego w nowej hali sportowej, którą prawie sami budowaliśmy w trudzie i znoju. Na fotografii inauguracja roku akademickiego we wspomnianej hali. Przemawia prorektor Antoni Olszowski..



Cieszę się ogromnie z tego, że bardzo dużo się buduje, modernizuje, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Obecnie jest zupełnie inne młode kierownictwo i mam nadzieję, że jako białczanin od urodzenia, będę miał satysfakcję z istnienia uczelni w Białej Podlaskiej, która dobrze służy miastu i je nobilituje. Jeżeli w jakiś sposób przyczyniłem się do położenia cegiełki, szczególnie w czasach prorektora Olszowskiego, którego niezwykle wysoko cenię, tym większą będę miał satysfakcję.



## WSPOMNIENIA

Ukończyłem AWF w Warszawie, pracowałem jako nauczyciel wf w Szkole Podstawowej w Terespolu, byłem także trenerem piłki nożnej w klubie „Kolejarz” w Małaszewiczach. We wrześniu 1969 zostałem nauczycielem akademickim w Filii UMCS, a od 1970 r. w Filii AWF w Białej Podlaskiej. Początki pracy były urozmaicone, prowadziłem (asystowałem) zajęcia jako przysłowiowy *Kowalski* – specjalista od wszystkiego: gimnastykę z mgr H. Wyciszkwiczem, gry zespołowe – koszykówkę i piłkę siatkową (w sali gimnastycznej Technikum Ekonomicznego) z mgr E. Szostakiem, piłkę nożną z mgr J. Złomańczukiem, piłkę ręczną z mgr W. Jankowskim, zabawy i gry ruchowe z doc. Cz. Borejszą, tańce z mgr R. Kapicą. Moją specjalność i hobby – pływanie – powadziłem z małżeństwem mgr. Sabiną i Marianem („Bolem”) Troszczyńskimi.

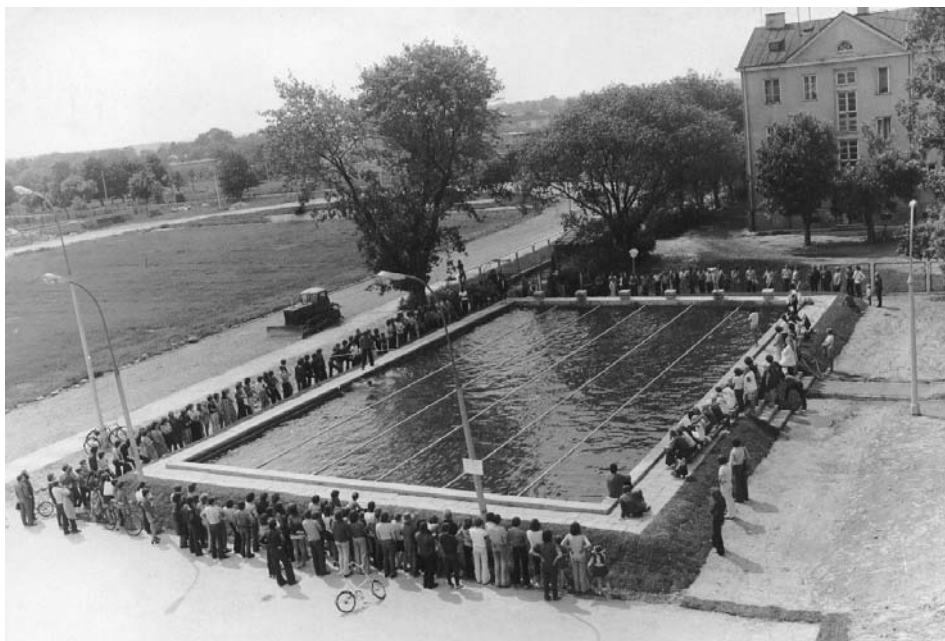
Pierwsze egzaminy z pływania odbywały się w Janowie Podlaskim na jeziorze Szczerbacz. Komisja w składzie: Sabina Troszczyńska, „Bolo” i ja. Sprzęt do przeprowadzenia egzaminu (poza sprzętem specjalistycznym), stanowiła ściana wykonana z drewna przez stolarzy. Była umocowana na brzegu, po przeciwnej, stronie jeziora w celu wykonywania nawrotu i odbicia. Odległość od startu do nawrotu ok. 20 m. Wymagany styl dowolny (kto jakim potrafi-najczęściej prezentowany był „piesek”). Obserwowano ogólny blady strach. Przed wejściem do wody kandydaci byli pytani „umiesz pływać?”. Jeden z kandydatów zapytany przed startem odpowiedział – „umiem”. Wszedł do wody złożył ręce jak do modlitwy i dał nura w głębinę. Po minucie nie wypłynął, zaniepokojony mgr M. Troszczyński błyskawicznie wskoczył i nurkując wyłowił „odważnego pływaka”, wyciągając na brzeg doprowadził do przytomności i ponownie zapytał o umiejętność pływania. Odpowiedź, zdumiewająca obecnych brzmiała: „Urodziłem się i wychowałem nad Bugiem, myślałem, że umiem pływać”. Chęć studiowania pokonała ryzyko utonięcia.

Zajęcia z pływania prowadzone były poza Białą Podlaską, ponieważ w powiecie nie było pływalni, odbywały się one w: Puławach, Świdniku, Ostrołęce, Dęblinie, Piszcu, Mińsku Mazowieckim. Do Puław wyjazdy karosą (autobus marki Jelcz) dwa razy w tygodniu o godz. 5<sup>00</sup> z parkingu przy Uczelni. Trzeba było zdążyć na zajęcia o godz. 8<sup>00</sup>. Studenci z kocami, jaškami, prowiantem, mgr S. Troszczyńska z dwójką małych dzieci i nie-

małym bagażem: garnuszki, talerzyki, buteleczki z kaszką smoczkami, soczkami itp. W czasie jednego z wyjazdów awaria karosy – urwany tłumik, obowiązkowy postój w szczerym polu. Kierowca wyłącza silnik – (oszczędność paliwa) idzie na widok światła do gospodarstwa, przynosi drut mocuje tłumik i zziębnięci jedziemy do naszego celu. W czasie zajęć była możliwość dodatkowego zagrzenia się, przeskakując z pływalni, gdzie temperatura była 25°C do brodzika dla przedszkolaków o temperaturze 36°C. Było to możliwe do momentu zauważenia przez prowadzących wystających dorosłych nosów na powierzchni wody.

Zajęcia w Piszcu na pływalni odbywały się dwa razy dziennie o godz. 6<sup>00</sup>–7<sup>30</sup> i 20<sup>00</sup>–21<sup>30</sup>. Studenci mieszkali w hotelu. Budzeni byli przez recepcjonistów o godz. 4<sup>30</sup>. Wymarsz na zajęcia o godz. 5<sup>00</sup>. W związku z wczesnym wstawaniem dochodziły odgłosy różnego typu komentarzy i epitetów. Jedna z grup żeńskich idąc na zajęcia stwierdziła, że nie ma na świecie drugiej takiej Uczelni, aby o godz. 5<sup>00</sup> rano przy mrozie minus 15°C, skrzyjącym śniegu iść po nauki z pływania (epitety nie do druku).

W Białej Podlaskiej pierwsze zajęcia odbyły się w odkrytym przeciwpożarowym zbiorniku wodnym – oczywiście zaakceptowanym przez sanepid. W późniejszych latach zbiornik został zmodernizowany, służył jako piękna kryta pływalnia do jesieni roku 2004 (*obecnie w rozbudowie*).



Nie sposób zapomnieć zajęć z pływania na wodach otwartych w Ośrodku Sportów Wodnych w Piszcu. Prowadzący na podestach w kurtkach i butach gumowych. Przed zajęciami, mierzenie temperatury wody – słyszę komentarz z grupy, oczekującej na pływanie: „Włożył, błyskawicznie wyjął i odczytał z pamięci plus osiemnaście, pływamy, to jest artysta”.

Trzeba wiedzieć, że szkolenie na obozach to nie były wczasy, musiało być realizowane bez względu na pogodę, temperaturę zgodnie z obowiązującym programem. Rzeczywiście były to warunki spartańskie: mycie w jeziorku, spanie w byle jakich namiotach, jedzenie posiłków pod sosną, często ze spadającymi igłami, szyszkami, liśćmi.

Ale mimo tych niedogodności były to przepiękne niezapomniane chwile, dni, lata, które niestety już nigdy nie wrócą – ogromny żal.

Na spotkaniu z absolwentami z okazji 35-lecia Uczelni z pewnością wiele faktów przypomnę sobie i być może uzupełnię skromne zapiski. Pani Tereso, bardzo proszę dokonać korekty i ewentualnie uzupełnić moje, niestety, już emerytalne wspomnienia, bo z pamięcią już coraz gorzej.

*Z wyrazami szacunku*  
*Józef Starzyński*

**Krystyna Kałuża**  
Rok 1973. Wakacje



## WSPOMNIENIA MŁODEGO ASYSTENTA

**M**AM w kieszeni dyplom magistra biologii UMCS i wiem, że w Białej Podlaskiej jest uczelnia wyższa, a w niej pracuje, jako asystent, moja koleżanka ze szkoły średniej i studiów Felicja Tarantowicz. Postanowiłam Ją odwiedzić. Siedzimy obie na ławce, między uczelnią a akademikami, a w stronę bloku asystenta podąża profesor mojej Uczelni Mirosław Chicewicz.

Wita się z nami i po krótkiej rozmowie namawia mnie, żebym złożyła podanie o pracę, ponieważ do Jego katedry jest potrzebny asystent.

Ucieszyłam się z jego propozycji i złożyłam podanie. Zostałam przyjęta, po rozmowie z rektorem doc. Antonim Olszowskim i dziekanem doc. Kazimierzem Czajkowskim, na staż do Zakładu Nauk Biomedycznych.

Zamieszkałam w akademiku w bloku B pok. 204. Pokój skromny, szafa, a raczej zabudowana wnęka, 2 tapczany, stolik, 3 krzesła, dywan na podłodze i lustro. Łazienki wspólne, koedukacyjne, wspólna pralka i lodówka. Na piętrze świetlica z telewizorem czarno-białym. W łazienkach woda ciepła w określonych godzinach. Od czasu do czasu asystenci przekupują „napojami” kotłowego Pana Bochenka i zażywają przyjemności przez kilka minut pod prysznicem, tym razem z ciepłą wodą.

Informacje o życiu uczelni codziennie są podawane przez studencki radiowęzeł. Najbardziej utkwiły mi w pamięci niespodziewane wejścia – przerywniki, zaczynające się od: „Halo, halo mówi przyjaciel młodzieży, wasz Dziekan. Uwaga – podam pięć komunikatów; 3 wesołe i dwa smutne” – po czym następowało przekazywanie komunikatów. Dziekan Czajkowski był człowiekiem ciepłym, z dużą dozą poczucia humoru, osobą, umiejącą integrować środowisko nauczycieli akademickich. Dostałam zaproszenie na Radę Wydziału i zostałam przedstawiona pozostałym nauczycielom. Na tym posiedzeniu okazało się, że liczne jest towarzystwo nowoprzyjętych osób, a wśród nich: młode małżeństwo Jadwiga i Tadeusz Zaradkiewiczowie, Maria Danilkiewicz, Barbara

Hajbos, Kazimierz Rybak i liczna grupa przystojnych kawalerów Marian Rzędzicki, Tadeusz Makaruk, Stefan czytaj Leszek Litwiniuk, Jerzy Jackowski.

Po stażu przyjęto mnie na asystenta do Zakładu Medycyny, którego kierownikiem był doc. Bogdan Tuross z wykształcenia lekarz neurolog, pasjonat medycyny niekonwencjonalnej a szczególnie parapsychologii, o dużym doświadczeniu pedagogicznym. Prowadził Studenckie Koło Naukowe Młodych Medyków, z nietuzinkowymi studentami: Krzysztofem Siedleckim ksywa „Małpa”, Krzysztofem Zimnickim, Włodkiem Świątkiem. Wymienieni studenci, w nagrodę za wyróżniającą się pracę w kole, dostąpili zaszczytu pracy w rekrutacyjnej komisji lekarskiej i mieli za zadanie pomoc przy próbach czynnościowych. Ja byłam sekretarzem w tej komisji, a doc. Tuross przewodniczącym.

Czerwiec, pierwszy dzień badań lekarskich, na które przychodzą kandydatki. Przy rejestracji pomagają w/w studenci ubrani w białe fartuchy. Szczególnie poważnie wyglądał Włodzio Świątek z tym swoim „wysokim” czołem. Jedna z kandydatek zwróciła się do niego „panie doktorze” na co odpowiedział, że recepty i zwolnienia wypisuje w pokoju 201 A.

Próby czynnościowe odbywały się w pokoju nr 2 w bloku C, które przeprowadzałam razem ze studentami. Zdarzyło się, że musieli sami przeprowadzić test. Miałam do nich zaufanie, że zrobią to poprawnie. Wracam, wchodzę do gabinetu, a tu co widzę – kandydatka siedzi na krzeselku, obok Krzysiek i Włodzio pochyleni nad nią dopingują: „mocniej, mocniej”, a biedne dziewczę dmucha w wężyk od manometru rtęciowego, by słupek rtęci uniół się jak najwyżej. Oczy jej wychodzą z orbit, a Ci dwaj z diabelskim uśmiechem mówią: „Jeszcze trochę, bo Pani nie zaliczymy”. Była to ostatnia na badaniach lekarskich próba Valsalvy na mierzenie ciśnienia w śródpiersiu. Na badaniach mężczyzn Panowie Studenci, pod moją nieobecność, znowu splełali psikusa kandydatom i test Harvardzki polegał nie na wchodzeniu na stopień. Odwrócili skrzynie (stopień), której wymiary były: wysokość 45 cm, szerokość 50 cm i długość 70 cm i kazali „składać” się kandydatowi do jej wnętrza. Do wyrównywania poziomu złożonego kandydata wykorzystywali linijkę tak, by żadna część jego ciała nie wystawała ponad skrzynię. Kandydat musiał to zrobić także w określonym czasie. I znowu wpadka – obiecali mi, że więcej takich numerów nie będą robili.

Następnego dnia wzywa mnie przewodniczący komisji i pyta: „Pani Krysiu, co się dzieje, że kandydaci przychodzą z jedna nogą wybrudzoną atramentem?”. Okazało się, że przed akademikiem na ławce siedzi student Pszczółka, ubrany w biały fartuch a obok stoi miednica z atra-



mentem. Kandydat musiał zanurzyć stopę w atramencie i odbić na kartonie. Pan „doktor” Pszczółka podpisuje ten karton jako przepustkę do dalszych badań lekarskich.

Oprócz tych zabawnych historyjek, grupa młodych naukowców robiła badania, występowała na konferencjach studenckich kół naukowych. Krzysztof Siedlecki i Krzysztof Zimnicki po ukończeniu studiów, pracowali przez kilka lat w naszej uczelni jako asystenci, a Włodzimierz Świątek odszedł wraz z doc. Turosem do Warszawy i również tam naukowo się realizował.

W latach 1973–75 studiował też nader oryginalny, z racji swoich zainteresowań, student Leszek Mojsiejczyk, miłośnik psów i właściciel championki suczki bokserki, kilkakrotnej medalistki, o której mógł opowiadać godzinami niesamowite historie. Kolega Grzegorz Taranowicz po jego opowieściach, jakie mądre są psy tej rasy, zamówił szczeniaka. Ponieważ był to okres obozów letnich w Pieszku obowiązek przysposobienia do nowych warunków tego pieska spadł na barki Leszka. Leszek wpada do mojego pokoju i prosi o pomoc w przygotowaniu jedzenia dla psa. Idę z nim, piesek biega i gryzie wszystkie kapcie i buty, jakie po drodze spotka. Kasza manna ugotowana, ja w kuchni myję garnki i słyszę jak coś głośno chłepcze. Myślę „taki mały piesek, a tak głośno je”, zaglądam do pokoju, a Leszek trzyma pieska za kark nad miską, sam klęczy obok i głośno chłepcząc uczy go jedzenia kaszy. Takie rzeczy może robić tylko pasjonat psów.

Na zakończenie jedna historyjka – wpadka nauczyciela na zajęciach. Grupa męska na zajęciach z fizjologii wysiłku sportowego uczy się pomiaru ciśnienia tętniczego. Student Latoszek komunikuje mi, iż u „Kijka” nic nie słychać. (Kijek to student Filipowicz, który po obozie zimowym otrzymał taką ksywę od magistra Wyciszkievicza). Podchodzę do nich, zakładam słuchawki na uszy i mierzę ciśnienie, a w myślach powtarzam sobie, iż student nazywa się Filipowicz a nie Kijek. Trwa to przez chwilę, wyjmuję słuchawki z uszu i mówię: „Faktycznie panie Patyk, ma pan słaby puls i trudno go wysłuchać”.



## CZŁOWIECZEŃSTWO JAKO ISTOTNA WARTOŚĆ W RELACJI NAUCZYCIEL – UCZEŃ

*„Prawda to bowiem wiecznie żywa,  
że poza przygotowaniem zawodowym  
człowieka, poza jego wykształceniem  
najistotniejszą, najbardziej podstawową  
i decydującą wartością w jego pracy  
jest jego CZŁOWIECZEŃSTWO.”*

(M. Grzegorzewska,  
Listy do młodego nauczyciela)

**P**RACĘ w Uczelni „na etacie” podjęłam w październiku 1983 roku. W roku akademickim 1971/72 prowadziłam ćwiczenia z psychologii na II roku studiów, a podstawowym miejscem mojej pracy była szkoła średnia – obecnie ZSZ nr 1 w Białej Podlaskiej. W tej szkole zostałam zatrudniona w 1963 r. „po maturze” jako nauczycielka przedmiotów zawodowych i języka niemieckiego. Podstawowe kwalifikacje pedagogiczne zdobyłam po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w Warszawie. W latach 1967-71 studiowałam zaocznie w UW na Wydziale Pedagogiki i Psychologii. W roku 1975 ukończyłam Studium Przedmiotowo-Metodyczne dla nauczycieli języka niemieckiego w Kielcach, a w 1976 roku Studium Przedmiotowo-Metodyczne z zakresu „Przygotowania do życia w rodzinie”.

Od roku 1983 do 2004 realizowałam program z pedagogiki prowadząc ćwiczenia i wykłady, a także dwukrotnie, przez okres semestru, zastępowałam koleżankę lektorkę języka niemieckiego – bardzo dziękuję Pani mgr Annie Tyszkiewicz za życzliwą pomoc w przygotowywaniu się do zajęć.

Po omówieniu programu nauczania z pedagogiki przekazywałam studentom cytowane wyżej słowa Marii Grzegorzewskiej (1888-1967), uczonej o złotym sercu, prekursorce pedagogiki specjalnej w Polsce, która w roku 1922 doprowadziła do otwarcia Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej i została jego dyrektorem.

Przybliżałam studentom (II roku) charakterystykę nauczycielskiej osobowości zawartą w listach M. Grzegorzewskiej do młodego nauczyciela. Ta wybitna pedagog, nawiązując do innych autorów, głównie Dawida i Szumana największy nacisk położyła na bogactwo osobowości nauczyciela, na jego płynącą z miłości do innego człowieka dobroć, która polega na stałym niesieniu pomocy innym, na wierności własnym przekonaniom, jak również na poczuciu odpowiedzialności przed sobą, przed społeczeństwem, przed narodem. W charakterystyce osobowości kładła nacisk na sprawę kształtowania się stosunku wychowawczego między nauczycielem i uczniem. Wyróżniała ona dwa rodzaje tych relacji. *Stosunek wyzwalający* prowadzi do wzajemnego zbliżenia i w dalszym etapie rozwoju – do duchowej wspólnoty. *Stosunek hamujący* – odwrotnie – prowadzi do zamknięcia się w sobie i w dalszym etapie – do oddalenia.

Nawiązanie stosunku wyzwalającego dokonuje się poprzez wzajemną chęć pomocy, sympatię bądź miłość, a więc przez czynniki, które wyzwalają w wychowankach zaufanie, chęć do wysiłku i do pracy oraz czynną postawę wobec życia.

Wszystko to służy kształtowaniu się autorytetu nauczyciela oraz duchowego porozumienia między nauczycielem i wychowankami, a tym samym sprzyja wewnętrznemu wpływowi na nich oraz doskonaleniu ich osobowości. Stosunek hamujący opiera się na stosowaniu takich środków, jak: rozkaz, przymus czy sankcje karne. Osłabiają one bądź likwidują zainteresowanie i chęć do pracy, powodują znużenie, bierność oraz wywołują poczucie obcości i niechęć uczniów do nauczyciela. Oddziaływanie wychowawcze przyjmuje tu postać czysto zewnętrzną, jego skutki są nietrwałe. Pod wpływem braku porozumienia z nauczycielem i działania pod przymusem następuje zamknięcie się w sobie wychowanka i zupełne „oddalenie” od wychowawcy (*M. Grzegorzewska, Wybór pism. Warszawa 1964*).

Podkreślałam, że nauczyciel wychowania fizycznego, z uwagi na praktyczny charakter swojego przedmiotu, posiada specyficzne i atrakcyjne możliwości oddziaływania na uczniów, wywierając wpływ nie tylko na ich rozwój fizyczny i intelektualny, ale – wprowadzając ich w świat wartości – może przyczyniać się do ukształtowania ich życia duchowego. Ponadto, będąc zobowiązanym do stwarzania wychowankom możliwości optymalnego rozwoju, musi być w pełni za ten rozwój odpowiedzialny.

Przekonana o potrzebie wzbogacenia przygotowania absolwentów AWF do pełnienia funkcji wychowawczo-opiekuńczej w przyszłej pracy nauczycielskiej, zachęcałam studentów do współpracy z opiekunami

dzieci objętych socjoterapią. Studenci zrzeszeni w Studenckim Kole Naukowym Młodych Pedagogów (którego byłam opiekunką w latach 1984-2004) uczestniczyli w zajęciach z dziećmi w świetlicy środowiskowej „Eureka”, przy Szkole Podstawowej Nr 1 a, w ostatnich 6 latach w świetlicy socjoterapeutycznej przy Szkole Podstawowej Nr 4, gdzie pod kierunkiem nauczycielek mgr Małgorzaty Cieślickiej i mgr Anny Pyrki organizowali gry i zabawy ruchowe, pomagali dzieciom przy odrabianiu lekcji.







Za zgodą Pana Profesora dr hab. Jerzego Sadowskiego studenci organizowali i prowadzili zajęcia z dziećmi w Uczelni: na pływalni, sali gimnastycznej i siłowni. Dużym doświadczeniem pedagogicznym było organizowanie i udział studentów w imprezach okolicznościowych na terenie szkoły takich jak: dyskoteki, Andrzejki, Mikołajki, Wigilia, Dzień Dziecka. Studenci zainteresowani pisaniem pracy licencjackiej czy magisterskiej znajdowali w świetlicy interesujący materiał do pogłębionych obserwacji dzieci i poszerzali wiedzę dotyczącą opieki i socjoterapii.

Członkowie SKN „Młodych Pedagogów” reprezentowali (wraz z opiekunką) Uczelnię na wielu konferencjach krajowych (Kraków, Gdańsk, Warszawa, Katowice) i międzynarodowych (dwukrotnie Sofia i Praga) zdobywając nagrody i wyróżnienia.

Praca ze studentami zrzeszonymi w kole była moją wielką pasją. Zainteresowanie studentów (w pierwszych latach mojej pracy) problematyką „przygotowania do życia w rodzinie” było inspiracją do podjęcia przeze mnie badań w kilku uczelniach AWF (Warszawa, Gdańsk, Kraków i Białą Podlaska) na potrzeby mojej rozprawy doktorskiej na temat: „Małżeństwo i życie rodzinne w świadomości studentów uczelni wychowania fizycznego”. Jestem bardzo wdzięczna mojemu promotrowi Panu prof. dr hab. Zygmuntowi Jaworskiemu za życzliwość i pomoc w doprowadzeniu tej pracy do obrony w 1994 roku.



Opracowane przeze mnie narzędzie badawcze (kwestionariusz ankiety) było wykorzystywane przez wielu dyplomantów i magistrantów .

Przeżywałam ogromną satysfakcję, kiedy została zatwierdzona specjalizacja „przygotowanie do życia w rodzinie”, którą ukończyło 87 absolwentów.

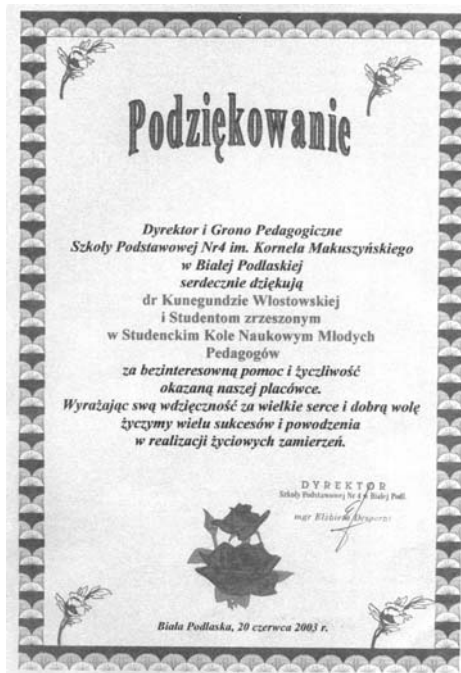
W programie SKN Młodych Pedagogów podejmowałam również problematykę dotyczącą zdrowia psychicznego, sensu życia i postaw prozdrowotnych.

Zainteresowani studenci pisali na ten temat prace dyplomowe i magisterskie, a ja prezentowałam referaty na trzydziestu konferencjach: II Europejskiej Konferencji Oświaty Zdrowotnej, Międzynarodowych i Krajowych Konferencjach dla pracowników AWF i publikowałam wyniki badań w Rocznikach Naukowych i czasopismach takich jak: Problemy Rodziny, Problemy Opiekuńczo-Wychowawcze, Wychowanie Fizyczne i Zdrowotne, Kultura Fizyczna – łącznie 64.

Jestem wdzięczna moim Koleżankom i Kolegom, głównie z Katedry Nauk Humanistycznych i Pracownikom Administracji za wieloletnią miłą współpracę.



Okres aktywności zawodowej daje dużo satysfakcji, zaspakaja ważne potrzeby jak: potrzebę uznania, samorealizacji i inne. Zachowam te lata w pamięci i w sercu.







## WSPOMNIENIA

*„Łatwiej czynić dobro jeżeli pomaga wielu”*  
Hermann Gmeiner

**B**YŁ kwiecień 1993 roku. Studenci w świątecznych nastrojach, wrócili z wiosennych ferii. Zbliżały się zaliczenia, egzaminy i letnie obozy sportowe.

W przerwie między zajęciami podzieliłam się z młodzieżą wrażeniami z akcji charytatywnej „Cichy gość” – zorganizowanej przez stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięcej w Polsce.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. Jeden ze studentów wspominał, że w Biłgoraju na Zamojszczyźnie funkcjonuje od kilku już lat wioska dziecięca, inny że wkrótce będzie Dzień Dziecka, ktoś przypomniał, że poprzedza go Dzień Matki.

I tak postanowiono zorganizować 29 maja wielkie święto w Wiosce Dziecięcej w Biłgoraju. Spontanicznie wyłonił się Komitet Organizacyjny, w skład którego weszli studenci I roku: Kinga Czarosław, Paweł Sołtys, Jarek Gogacz, Tomek Olszewski, Janusz Zarębski i inni.





Przygotowano program i plakaty informujące o imprezie, zorganizowano zbiórkę darów dla dzieci.

Znaleźli się sponsorzy, którzy pokryli koszt wynajęcia dwóch autokarów. Do pracy włączyli się nauczyciele akademicy, studenci stacjonarni i zaoczeni.

Wreszcie nastąpił oczekiwany dzień wyjazdu. Trzeba było wstać wcześniej rano, by pokonać 250 km dzielące Białą i Biłgoraj. Choć program został bardzo starannie przygotowany, organizatorom towarzyszyła trema, niepokój, jak zostanie on przyjęty przez dzieci i ich mamy.

W Wiosce powitano nas bardzo serdecznie. Dzieci nie mogły się wprost doczekać zapowiadanych spotkań. Po krótkim powitaniu przez opiekuna placówki, w szczelnie wypełnionej sali rozpoczęła się uroczystość.



Studenci podziękowali Matkom za ich trud, wręczając symboliczny kosz kwiatów i laurkę, a dzieciom prezenty – dary serca. Został też odczytany okolicznościowy list J.M. Rektora Jerzego Sadowskiego adresowany do Matek i Dzieci.



W części artystycznej nie zabrakło wierszy, piosenek i muzyki. Program bardzo się podobał, szczególnie Matkom, którym nikt do tej pory tak nie wyrażał szacunku.

Do niezapomnianych wspomnień zaliczyć należy niecodzienny widok, gdy mały Rysio (dziecko z porażeniem mózgu) raz po raz całował w policzek swoją mamę, dziękując jej za to, że jest...

Dzieciom bardzo podobało się przedstawienie „Kot w butach” wyreżyserowane przez studentkę studiów zaocznych – Joannę Dargiewicz z udziałem dzieci ze szkoły Podstawowej Nr 5 w Białej Podlaskiej. Dla starszych szczególnie atrakcyjny był festyn sportowo-rekreacyjny. Studenci zademonstrowali swoje sportowe umiejętności, a później wszystkich chętnych nauczyli gry w korfball i unihokej.

To była wspaniała lekcja sportu, pełna zaangażowania i pięknej sportowej rywalizacji.



Ukoronowaniem uroczystości był występ studenckiego Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie”, który odbył się w gościnnie udostępnionej sali Technikum Leśnego. Dzieci wraz z zespołem, na czele z kapelą grającą skoczne takty melodii ludowych, w pięknych strojach przemaszerowały ulicami miasta, zapraszając na występ.

Wśród gości znaleźli się rodzice studentów z Biłgoraja, Zamościa, Lublina i okolic. Tańce góralskie, podlaskie i lubelskie bardzo się podobały, wszystkich wprowadzając w zachwyt. Oklaskom i bisom nie było końca.



Dzieci pięknie podziękowały studentom za zorganizowane święto. Żal było odjeżdżać... Obiecaliśmy, że jeszcze nie raz się spotkamy.

Wracaliśmy zmęczeni, ale w pełni usatysfakcjonowani i szczęśliwi, że sprawiliśmy dzieciom tyle radości.

Wychowanek Wioski, dziś mgr wychowania fizycznego wspominał po latach, że w roku 1993 mając 10 lat pod wpływem spotkania ze studentami z Białej, postanowił zostać nauczycielem. W ślad za nim poszła Ania Deręgowska obecnie studentka II roku turystyki i rekreacji.

Przyjaźń między studentami i dziećmi z Biłgoraja trwa do dziś. Corocznie organizowane są tradycyjne już imprezy świąteczno-noworoczne z Mikołajem, okolicznościową częścią artystyczną, wspólnym śpiewaniem kołęd, konkursami i innymi atrakcjami.



W kolejnych latach organizowali je studenci stacjonarni i zaoczeni wychowania fizycznego, a ostatnio także fizjoterapii z Białej Podlaskiej i Lubelszczyzny, także ze Zduńskiej Woli, Kolbuszowej, Jarosławia, a nawet Łodzi i wielu innych miejscowości.

Akcja „Biłgoraj” – bo tak ją w skrócie nazywano – na trwałe zapisała się w kalendarzu imprez, organizowanych dla dzieci przez studentów. Ślad nieprzerwanej, dwunastoletniej współpracy i przyjaźni znalazł odbicie w prowadzonej przez studentów kronice, którą w czerwcu 2004 roku, podczas uroczystości XX-lecia, przekazano społeczności Wioski Dziecięcej w Biłgoraju.





*Wszystkim prawdziwym  
przyjaciółom dzieci, szczególnie  
tych osieroconych i osamotnio-  
nych, którym pomoc ta jest  
najbardziej potrzebna, składam  
serdeczne podziękowania.*





Janusz Wyciszkievicz



## Wspomnienia „Wujka”

**K**AŻDA rocznica, a tym bardziej jubileusz, skłania do wspomnień, refleksji... A tych, przez lata, nazbierało się sporo. Przecież moja zawodowa przygoda, tak na stałe, z FAWF w Białej Podlaskiej rozpoczęła się 30 lat temu, w sierpniu 1975 roku. Od samego początku związany byłem, przede wszystkim, z organizacją i pracą na obozach letnich, zimowych i wędrownkach żeglarskich, a więc z tym fragmentem studiów, które najbardziej i chyba najmniej się wspomina.

Trudno też nie przypomnieć początków Ośrodka Sportów Wodnych w Rybitwach k. Pizsa, który również współtworzyłem.



We wrześniu 1975 r. pod wodzą JM Rektora doc. dr Antoniego Olszowskiego i dyr. administracyjnego inż. Zdzisława Jobdy, wraz z mgr Marianem Troszczyńskim i mgr Grzegorzem Tarantowiczem, udaliśmy się do Pizy z zamiarem wyboru lokalizacji na obozy letnie.

Nadleśniczy z Pizy, pan Krakowiński, zaproponował dwa miejsca na skraju Puszczy Piskiej nad Jeziorem Roś. Jedno o powierzchni 1,6 ha i kiepskim dojściu do jeziora i drugie o pow. blisko 5 ha porośnięte 60–70 letnimi sosnami, 150 m linii brzegowej zarośniętej krzakami i trzcina. Wybór padł na to drugie miejsce. Był to teren dziewiczy; suchy, sosnowy las z dużą ilością jałowca.

Żeby postawić hangary na sprzęt wodny i zrobić dojście do jeziora, należało wykarczować krzaki na brzegu, wykopać i wyrwać trzcinę, wytyczyć i utwardzić drogi dojazdu na skarpe. To była prawdziwa orka. W rezultacie, przez dwa lata, wszystkie obozy wędrownie poświęcone były pracy na rzecz urządzania ośrodka, a jednak już w 1976 r. odbyły się tutaj pierwsze obozy letnie.



Niestety, warunki bytowe były wówczas bardzo prymitywne. Toalety – to latryny budowane przez studentów, łazienka – mycie w jeziorze, stołówka – to kuchnia wojskowa, a spożywanie posiłków odbywało się na mchu, pod sosną. Podobozы męskie i żeńskie kwaterowano w harcer-

skich namiotach. Kadra także mieszkała w namiotach. Pierwsze drewniane domki dla kadry zaczęły powstawać w 1977 r. W następnych latach wybudowano kuchnię ze stołówką, domek dozorca, sanitariaty, suszarnie.

Dopiero w czerwcu 2002 r. w miejsce wysłużonych i przeciekających namiotów wojskowych, oddano drewniane bungalowy dla studentów na około 130 osób, które służą do dzisiejszego dnia.

W ciągu tych lat, jak to zwykle bywa, niektóre obozy były na pewno lepsze, inne gorsze, wydarzyło się setki najrozmaitszych historii, które obrosły anegdotami. Dla mnie jednak takim wydarzeniem, które najbardziej wyryło mi się w pamięci, był pewien letni dzień, porównywalny do prawdziwej Apokalipsy.

Otóż – rzecz niesamowita – nad jeziorem, portem, całym ośrodkiem, przeszła...

### **Trąba powietrzna**

Piękny ranek 4 lipca 2002 r. Zajęcia z żeglarstwa – jak zwykle – zaczęły się o 8<sup>50</sup>. Słoneczny dzień, wiatr z południa około 2-3°B i nic nie wskazywało, że ten dzień będzie się znacząco różnił od innych dni tego lata.

Prowadziłem zajęcia na naszym pocziwym jachcie Venus. Będąc w połowie szerokości jeziora, około 11<sup>15</sup> zauważyłem wyłaniającą się spoza lasu, od strony południowej czarną, rozległą chmurę. Wiatr ucichł do 1°B. Czulem, że coś niepokojącego wisi w powietrzu. Zaczęliśmy się halsować w kierunku portu. Płynący jachtem Tango 780 na silniku wziął nas na hol. Po drodze zrzuciliśmy i zmarłowaliśmy żagle. Na jeziorze halsowały się jeszcze trzy nasze Omegi. Pozostałe łodzie pływające bliżej brzegu, zdążyły zawinąć do bezpiecznej przystani. Około 100 m od wejścia do portu, gdzie i my mogliśmy poczuć się bezpiecznie, wiatr gwałtownie zaczął się wzmacniać. Artur oddał cumę dziobową naszej łodzi, ponieważ nie był w stanie utrzymać kursu. Była 11<sup>40</sup>. Zrobiło się ciemno. Uderzył potężny wiatr z deszczem, niebo poprzecinały zygzaki błyskawic. Trzcina położyła się na wodzie. Widoczność spadła do kilku metrów, tak że siedząc przy sterze nie widziałem dziobu swojej łodzi. Próbowaliśmy dopłynąć do brzegu na pagajach. Niestety, zabrakło nam około 40 metrów. Widząc, co się święci, chcieliśmy wyrzucić z dziobu kotwicę, aby pracowała w charakterze dryfkotwy. Jednak w tym czasie nastąpiła wywrotka (grzybek). Pół tony balastu poszło do góry.

Sprawdziłem stan załogi. Byliśmy wszyscy. Do tej pory uważałem, że położenie Venuski na żaglach jest prawie niemożliwe – okazało się to możliwe nawet bez żagli.

Przez około 20 minut wiatr z deszczem, gradem i piorunami szalał z niebywałą siłą. Huraganowy wiatr i ponad dwumetrowa fala nie dały szansy żadnej jednostce pływać masztem do góry. Wszystko, co było na wodzie w tym rejonie – leżało. Venus nadal pływała, tyle tylko że dnem do góry. Staliśmy na sztormrelingach, a palce rąk białe były w szczelinę skrzyni mieczowej. Załogę ustawiłem po stronie zawietrznej, a sam umiejscowiłem się po stronie nawietrznej. Fala tłukąca o listwę odbojową, poobijała mi nogi aż do krwi. Mogliśmy tylko tak trwać i oczekiwać, że ktoś przyjdzie z pomocą...

Stopniowo wiatr i fala zaczęły słabnąć. Dryfowaliśmy około godziny na północny-wschód, aż zauważyłem płynącą w naszym kierunku pomoc. Była to niewielka motorówka Camaro z małym pięciokonnym silnikiem, ponieważ duży ponton ratowniczy z silnikiem 25 KM, został zerwany z pomostu, wyniesiony w górę i rzucony w jezioro. Jedyne jacht, który cudem ocalał (nie wywrócił się), ale 2 metrowa fala wyniosła go ponad 20 m w głąb cypla, była to drewniana Omega SW 1622 dr. Artura Litwiniuka wraz załogą koszykarzy.

Z trudem udało się postawić Venus masztem do góry. Motorówka zabrała załogę do portu i w tym czasie przyplłynął na silniku Makiem 707 dr Florian Parnicki. Wychłodzonego, poobijanego i trzęsącego się z zimna, zabrano mnie do kabiny Maka i tak dotarliśmy do przystani.

Motorówka i Mak po raz kolejny wypłynęły w jezioro zbierać załogi z Omeg i ściągać pozostawione na wodzie łodzie. Wyszedłem po skarpie na górę i to, co ujrzałem, ścisnęło mnie za gardło.

Ten widok niesamowitych zniszczeń przeszedł moje najgorsze wyobrażenia. Z trudem dotarłem do mojego domku przez powywracane i połamane 90-cio i 100-letnie sosny. Przebrałem się w suche ubranie a później poszedłem w kierunku stołówki. Po drodze widziałem zniszczone namioty studentów, domki kadry i sprasowane przez padające drzewa samochody.

W rejonie stołówki odbywało się już sprawdzanie list uczestników obozu i poszukiwanie zaginionych. Studenci, którzy w tym czasie mieli zajęcia nad wodą, schronili się w hangarze żeglarskim, zaś ci, którzy przebywali na terenie ośrodka, ukryli się w stołówce i sanitariatach.

O 14<sup>30</sup> zapadła decyzja o rozwiązaniu turnusu i ewakuacji studentów. Pół godziny później studenci, pod opieką trzech prowadzących, opuścili ośrodek. Przedzierając się przez powalone drzewa, po około 2,5 godz. dotarli do Łupek. Tam czekały na nich trzy autokary sprowa-





dzione przez Prorektora ZWWF prof. Jerzego Sadowskiego i Dziekana prof. Ryszarda Cieślińskiego, którzy akurat tego dnia przebywali w Ośrodku AWF Piękna Góra k. Giżycka.

Polnymi drogami dojechali do Pizsa, a następnie do Warszawy i Białej Podlaskiej. Droga z Pizsa do Ośrodka była zatarasowana. Powywracane z korzeniami i wyłamane drzewa, wywrócone słupy, zerwane linie elektryczne i telefoniczne usłały drogę na całej trasie.

W czasie huraganu w ośrodku przebywało około 170 osób. To, że nikomu nic się nie stało (poza złamaną nogą mgr Elżbiety Rzędzickiej) można rozpatrywać w kategoriach cudu. Tylko w naszym ośrodku naliczono około 400 powywracanych i połamanych drzew.

W nocy przed godz. 24.00, od strony Pizsa dotarła do ośrodka grupa strażaków, odcinając piłami i usuwając na pobocze tarasujące drogę drzewa. Usuwanie połamanych drzew trwało około trzech tygodni, a innych szkód znacznie dłużej. Z informacji strażaków wynikało, że siła wiatru podczas huraganu dochodziła do 250 km/h (przykładowo 12<sup>o</sup>B to 117 km/h).

Las „liże” swoje rany. Posadzono około 700 nowych drzewek. Obozy odbywają się nadal, wszystko funkcjonuje normalnie, choć las jakby trochę rzadszy...







**Janusz Gałęcki**  
absolwent 1975



## **KRÓTKIE REMINISCENCJE MIESZKAŃCA AKADEMII**

**B**IAŁA PODLASKA należała do nielicznych miast powiatowych, które w latach 1971-75 mogły poszczycić się posiadaniem wyższej uczelni i to jeszcze w dodatku o charakterze sportowym. Dzięki porozumieniu władz UMCS Lublin z władzami AWF w Warszawie powstała uczelnia, kształcąca nauczycieli wychowania fizycznego, których w latach siedemdziesiątych brakowało ok. 12 tysięcy. Nowa uczelnia cieszyła się ogromnym zainteresowaniem młodych ludzi z całej Polski. Aż trudno uwierzyć, że uczelnia nie prowadziła żadnej kampanii reklamowej w postaci „otwartych drzwi”, folderów, stron internetowych (internetu naprawdę wtedy nie było), a i tak na egzaminach wstępnych o jedno miejsce ubiegało się 5-6 kandydatów. Miałem to szczęście, że na wymarzony kierunek dostałem się za pierwszym podejściem i mogłem od 1 października 1971 roku rozpocząć swoją edukację na poziomie wyższym. Ponieważ przez cztery lata studiów mieszkałem w Domu Studenta, bardzo wiele wspomnień wiąże się z tym miejscem. I o tamtych wydarzeniach z życia naukowego, sportowego i towarzyskiego, przez pryzmat akademika, chciałbym napisać kilka słów.

W tamtych czasach akademik to był prawdziwy drugi dom, w którym niejednokrotnie mieszkało się przez niemalże cały rok. Wyjazdy do rodziców nie były tak częste jak dzisiaj. Wtedy szkoda było czasu i pieniędzy na wyjazdy do domu, gdyż w akademiku ciągle coś się działo i każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Nie pamiętam, żeby ktoś narzekał, że w Białej jest nudno, że życie kulturalne, sportowe czy towarzyskie jest uboższe niż w dużych ośrodkach akademickich. Jeśli tylko student miał ochotę i predyspozycje mógł się realizować na różnych płaszczyznach działalności (sekcje sportowe, zespół tańca, kabaret, chór, udział w pracach samorządu). Nawet pieniądze mogliśmy zarabiać przez tzw. studencką spółdzielnię pracy (akurat pod tym względem nie było tak dobrze jak w Warszawie czy Lublinie, ale czasami trafiały się bardzo intratne propozycje).



W akademiku mieszkali w tym okresie prawie wszyscy studenci zamiejscowi w pokojach 4-osobowych (nie licząc waletów).

Pomoc materialna państwa przewidywała stypendium mieszkaniowe, socjalne i naukowe. Toteż student, który otrzymywał stypendium socjalne i osiągał co najmniej dobre wyniki w nauce i jeszcze czasami dorobił w spółdzielni studenckiej nie musiał liczyć na pieniądze od rodziców, mógł utrzymać się sam. Dlatego też byli i tacy studenci, którym nie bardzo opłacało się kończyć studia. Za powtarzanie roku nie było kar finansowych, stąd rekordziści w tamtych latach zaliczali nawet 8 lat i więcej pobytu na studiach.



Wracając do życia w akademiku, to oczywiście nie można zapomnieć o ścisłym podziale mieszkańców ze względu na płeć, rok studiów, status społeczny i miejsce zamieszkania. W bloku A mieszkali mężczyźni, w bloku C kobiety, a w bloku B studenci starszych roczników, młodzi asystenci i mieściły się w nim również pokoje gościnne dla dojeżdżających, spoza Białej, pracowników naukowych. Wspominam dlatego o podziale, gdyż w tamtych czasach obowiązywał surowy regulamin odwiedzin. Szczególnie legitymowano odwiedzających mieszkanki bloku C. W pamięci zachowała się szczególnie jedna z pań portierek, powszechnie zwana przez studentów „Globulką” – kiedy ona miała dyżur to raczej nie udawały się żadne sztuczki na przedłużenie odwiedzin. Nie wiele łatwiej było odwiedzić mieszkańców bloku A, a koleżanki i znajome z miasta miały duże kłopoty, gdy zapomniały, że czas odwiedzin się skończył.

Trudno nie odnotować ciągłych problemów z ciepłą wodą, a raczej jej brakiem. Głównym palaczem i „królem kotłowni” był pan Bochenek, kto miał z nim dobre układy mógł korzystać z jego służbowej kabiny w kotłowni, ale wymagało to nie lada zręczności, aby do niej wejść.

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że jedna z podstawowych wartości wychowania fizycznego jaką jest hartowanie i uodpornianie organizmu na zmieniające się bodźce środowiskowe realizowana była doskonale, aczkolwiek metodami zbyt surowymi, jak na potrzeby wygodnego życia studenckiego. Najczęściej bywało tak, że rozpoczęta kąpiel w ciepłej wodzie kończyła się w zimnej, gdyż ta pierwsza przestała lecieć po pięciu minutach.

Charakterystyczne zjawisko, zasługujące na wspomnienie, miało miejsce w stołówce studenckiej. Po zakończeniu wydawania posiłków ustawiała się barwna kolejka „głodomorów”, liczących na dodatkową porcję zupy, chleba czy ziemniaków z surówką. Oczywiście panie kucharki nie zawsze miały dobry humor i altruistyczną postawę, ale zawsze jakieś resztki łądowały na blacie okienka (ten rodzaj dożywiania, w gwarze studenckiej nosił nazwę „na sępa” – przyp. red.).

Do dziś niektórzy mówią, że akademik kojarzy im się z ciągłymi balangami, że na prawdziwą naukę nie ma w nim warunków i miejsca. Jest to tylko częściowa prawda, kto chciał się uczyć znalazł możliwości i w akademiku. Pamiętam niektórych moich kolegów, którzy nie potrafili się uczyć w czytelni i pokoju cichej nauki, natomiast w sposób fenomenalny przyswajali wiedzę w tzw. podgrupach. Szczególnie utkwiły mi w pamięci zaliczenia z anatomii na I roku – do późnej nocy, na korytarzu w bloku B, trwały dyskusje i podejścia po kolejne zaliczenie. Radosne okrzyki szczęśliwców, którym udało się zaliczyć wymaganą część

materiału, słychać było we wszystkich blokach akademika (asystentka, która prowadziła ćwiczenia z anatomii, mieszkała w pokoju gościnnym).

Nie można nie wspomnieć również o życiu sportowym, jakie toczyło się w akademiku wieczorami, a często i nocą. Bardzo popularną „dyscypliną sportu” był brydż. Mam wrażenie, że prawie wszyscy w niego grali. W klubie studenckim odbywały się turnieje, a „mecze” pomiędzy pokojami trwały do białego rana. Częste były sytuacje, że od stolika brydżowego szło się prosto na zajęcia. Dość popularna była również „liga pokerowa”, ale raczej dla wtajemniczonych, ponieważ była to gra nielegalna.

Ciekawostką była nocna liga hokejowa, może trudno w to uwierzyć, ale 35 lat temu były takie zimy, że lodowisko uczelniane, nie topiło się przez trzy miesiące. Należy dodać, że w tamtych czasach wiele prac, chociażby przy zrobieniu lodowiska, chętnie wykonywali sami studenci.



Już nie pamiętam, kto wpadł na pomysł, aby prowadzić rozgrywki w hokeja pomiędzy pokojami, ale faktem jest, że bardzo zacięte pojedynki toczyły się do późnej nocy. Aż trudno uwierzyć, jak wielu było wtedy entuzjastów spontanicznej aktywności ruchowej i tak zwanego sportowania, wynikającego z kreatywnej postawy samych studentów. Jednak najbardziej emocjonalnie zachowywali się mieszkańcy akademika na zawodach międzyrocznikowych.

Ogromną rolę w życiu mieszkańców akademika spełniał radiowęzeł. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach był tylko jeden telefon na portierni. Przez radiowęzeł przesyłane były wezwania do telefonów od tęskniących rodzin, wezwania pod portiernię na spotkanie ogłaszane charakterystycznym głosem ze wschodnim akcentem, przekazywane komunikaty o zajęciach, imprezach.

Przez radiowęzeł przesyłane były również życzenia, prośby i apele, a do historii przeszedł ten o treści: „Kto mi ukradł oszczep uniemożliwiający trening?”.

Nie można pominąć również miejsca spotkań pod kaloryferem. Niektórzy, a szczególnie koleżanki, nazywały to zgromadzenie „łożą szyderców”, gdyż stojąca tam prawie zawsze grupa studentów, sprawnym okiem „szacowała walory” przechodzących do bloku C studentek.

Mam świadomość, że wiele charakterystycznych i ciekawych momentów uciekło mi z pamięci, ale może inni autorzy zechcą je przypomnieć i w ten sposób powstanie pełniejszy obraz życia w akademiku.

*Mieszkaniec pokojów: 4A, 101A, 111A, 211A, 207B*

Zofia Serafin-Cicirko  
absolwentka 1976



## ZATRZYMANE WE WSPOMNIENIACH

*Powyższe wspomnienia dedykuję koleżankom  
i kolegom z rocznika oraz wspaniałym nauczycielom,  
którzy z poświęceniem kształtowali nasze ciała i umysły*

**P**RAWIE po 30 latach od ukończenia studiów wychowania fizycznego w FAWF (obecnie ZWWF) w Białej Podlaskiej mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, iż należałam do grona „szczęściarzy”, którym w pewnym okresie dano szansę zdobywania wiedzy i przygotowania się do przyszłego zawodu w tej, a nie innej uczelni. Czasy były trudne, gospodarka państwa „dychała” ostatnim tchem. Kredyty „gierkowskie” przeznaczone na konsumpcję zapełniały lada sklepowe przeróżnymi artykułami. Nasze brzuchy były pełniejsze, mogliśmy się w końcu też zająć owocami cytrusowymi, ale w grudniu. Z drugiej strony tu i ówdzie rodziły się konflikty społeczne w różnych środowiskach, pragnęliśmy wolności słowa, wyznania, marzyliśmy o podróży, nie tylko do krajów „bloku wschodniego”. Tęskniliśmy za „rajem” dla nas jeszcze niedostępnym, przedstawianym nam przez radio „Wolna Europa” czy „Głos Ameryki”.

Sądzę, jestem wręcz przekonana, że ta trudna sytuacja wyzwalała w nas energię do działania, zdobywania wiedzy. Kształtowała romantyczne postawy, chcieliśmy zmieniać własne otoczenie i świat na lepsze, widzieliśmy sens własnego istnienia. Czuliśmy się potrzebni. Nauka takie szanse nam stwarzała. Przede wszystkim była bezpłatna. Zostały stworzone określone mechanizmy pomocy studenckiej, zapewniono nam optymalne warunki docierania do wiedzy zakładając biblioteki, czytelnie, laboratoria. Mogliśmy się realizować w organizacjach młodzieżowych i klubach sportowych. Dla nas studentów było to tak bardzo naturalne, oczywiste, sami pragnęliśmy studiowania. Takie warunki stworzyła nam młoda, powołana na „Kresach Wschodnich” uczelnia sportowa FAWF w Białej Podlaskiej.

Przybywając do tego miasta w 1972 r. wydawało mi się, że tak wygląda koniec świata. Plac Wolności, przy którym zatrzymał się mój autobus zrobił na mnie przerażające wrażenie. Kawalek skweru otoczony pożydowskimi, zaniedbanymi „chałupami”, z byle jak utwardzonymi ulicami, z których jedna wiodła do mojej wymarzonej uczelni, mieszczącej się wówczas na obrzeżach miasta. Stanowił ją gmach główny, dwa skrzydła Domu Studenta (DS), trzeci w budowie, stołówka studencka i blok asystencki. Wokół zaś roztaczały się łany zbóż i kartofli. Z okien bloku „C” spoglądaliśmy czasami na koszary wojsk radzieckich, odgradzonych wysokim płotem. Oni mieli do spełnienia ważną misję pokojową, to oni „rzekomo” czuwali nad naszym spokojnym snem.

Warunki zamieszkania w DS znacznie odbiegały od współczesnych; pokoje 4-osobowe, tapczaniki, szafki, stolik z krzesłami i głośnik, przez który umilano nam życie muzyką puszczaną z „radiolki”, bądź ogłaszano komunikaty, informujące nas o bieżących sprawach braci studenckiej. Częstość, zwłaszcza te komunikaty, które ogłaszane były przez panią portierkę zaciągającą z lekka językiem rosyjskim rozbawiały nas do łez, bo jak można obojętnie wysłuchać: „*Pan ‘penis’ prosiony do tieliefona*” („penis” – to ksywa jednego z kolegów na roku). Nie trzeba było oczekiwać na przybycie żadnego kabaretu. Nasze życie w DS było jednym z najlepszych kabaretów świata. Któż z nas, absolwentów, z rozrzewnieniem nie wspomina p. Bochenka (palacza z kotłowni), bardzo ważnej postaci, odpowiadającej za dozowanie ciepłej wody, którą raczono nas 3 razy dziennie po pół godziny. Mając znajomości z tak ważną personą, po cichu mogliśmy korzystać z kąpieli w kotłowni, bądź dodatkowo „szefunio” puścił nam wodę na 5–10 min.

W tym miejscu chce się powiedzieć, iż kierownictwo Uczelni i Samorząd Studencki, który miał silną pozycję w życiu akademickim, wyjątkowo dbały o moralność studenta. Pijaństwo, rozpusta, rozluźnienie obyczajów, które to uważano za naganne w kształceniu przyszłego pedagoga, były natychmiast eliminowane. Niepokornych relegowano z akademika. W tym miejscu z ogromną pokorą i współczuciem czynię ukłon w kierunku „biednych” pań portierek, które dyżurowały przy „pasie cnoty”. Im się naprawdę wiele oberwało, zwłaszcza od kolegów studentów.

Pomimo takich rygorów życie towarzyskie w akademiku kwitło. Świętowaliśmy imieniny, urodziny, zdane lub oblane egzaminy. Potrafiliśmy się cieszyć tym, co mamy, byliśmy nawzajem życzliwi, tworzyliśmy niemalże jedną rodzinę, bo na roczniku było nas 120 osób. Nie wyobrażaliśmy sobie imprezy bez „Kazia” (Śp. Doc. Dr Kazimierza Czajkowskiego), który słysząc śpiewy studentów wpadał nieproszony ze

słynnym upominkiem w rękę – książką z eksperymentu pedagogicznego ze Szkoły Nr 4 w Białej Podlaskiej, której tak na dobrą sprawę nikt z nas nie czytał, ale ważna była dedykacja. Jedną z nich gdzieś w swoim archiwum posiadam. Boże! Z perspektywy lat tęsknię do tych wieczorów: zauroczona dojrzałością studentów i prowadzących zajęcia. „Kazio” nie był wyjątkiem. Z całą kadrą dydaktyczną byliśmy zżyci. Przy „J 23” (najtańsze wino z Cieleśnicy) potrafiliśmy się bawić, kłócić, dyskutować, a o 8.00 rano na zajęciach z ogromnym szacunkiem i dystansem odnosić się do prowadzącego, który wieczór wcześniej z nami się bawił.

Zastanawiam się też często, czy obecnie możliwe byłyby wszelkiego rodzaju akcje, dziś – być może – uznane za archaiczne, w których nam przyszło uczestniczyć. Chociażby konkurs czystości pokoi studenckich. Stroiliśmy nasze cztery kąty na wszystkie możliwe sposoby. Nasze pokoje lśniły czystością i pachniały „Być może” (jedyne perfumy dostępne w tym czasie na naszym rynku). W nagrodę zwycięzcy otrzymywali np. radio, serwetę na stół, serwetki i inne przedmioty, które zawsze nam się przydawały. Warto było brać udział w tych konkursach, nie buntowaliśmy się, wręcz odwrotnie walczyliśmy jak „lwy” o najpiękniejszy pokój w akademiku. Była to doskonała lekcja wychowawcza, która wpajała nam podstawowe zasady estetyki i higieny dnia codziennego, tak niezbędne w życiu.





Byliśmy otwarci na środowisko bialskie. Bez oporów jeździliśmy do PGR Cieleńnica i wspomagaliśmy biednych chłopów przy zbiorach ziemniaków czy też jabłek. Współpraca z FAWF kwitła. My wracaliśmy zmęczeni, ale zadowoleni, napelnieni do syta owocami, a PGR jako przykład doskonałego socjalistycznego gospodarstwa produkcyjno-przetwórczego wykonał plan w 100%, bo plony się nie zniszczyły, nie zamarzyły. To było piękne! Chciało się żyć i wracać na pokoje studenckie i do stołówki, która czekała na nas z gorącym posiłkiem. Karmiono nas, w miarę możliwości, przyzwoicie, bo przecież nad tym czuwała pani dietetyczka. Nadszedł jednak czas, że mieliśmy dosyć „cynaderek” i „pasztetowej”. Był to bodajże miesiąc czerwiec 1973 r. Zbojkotowaliśmy naszą „żywicielkę” stołówkę. Błagalne nawoływania dziekana doc. dr K. Czajkowskiego na nic się zdały. Nasze „cynaderki” zżarły świnię. Po strajku coraz częściej schabowe trafiały do naszych żołądków. Mało tego, po porozumieniu kierownictwa uczelni z miejscową mleczarnią, za marne grosze otrzymywaliśmy mleko, dostarczane do naszych pokoi. Nasz bunt wyszedł nam na dobre.

I pomyśleć – w tym czasie niepokorni studenci?

Mając zapewnione warunki socjalno-bytowe wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, w jakim celu do naszej „Alma Mater” przybyliśmy. Młodzi, energiczni, chłonni wiedzy, pod okiem fachowej kadry, której grono było niewielkie, pragnęliśmy rzeźbić nasze ciała i umysły w myśl starogreckiej „kalokagatii”.

Program nauczania był rozbudowany, nie wprowadzano programów oszczędnościowych, tak jak to się dzieje dzisiaj. Komu na uczelni wyższej pedagogicznej potrzebna jest obecnie: logika, taniec towarzyski, propedeutyka zajęć kulturalno-oświatowych, turystyka szkolna, obrona cywilna, techniczne środki nauczania? Większy wymiar godzin przeznaczano również na przedmioty zawodowe i humanistyczne. Na zajęcia sportowe z różnych dyscyplin również nie żalowano nam czasu. Nie wystarczyło w miarę koordynacyjnie się poruszać, tak jak to czasami się zdarza dzisiaj, by być studentem uczelni sportowej. Sport, zamiłowanie do ćwiczeń fizycznych mieliśmy we krwi. W wyniku intensywnych przygotowań pod kierunkiem naszych pedagogów-trenerów, stawaliśmy się „mistrzami” w swojej klasie. Wybiegane kilometry na strzelnicy (w miejscu tym znajduje się obecnie Szkoła Podstawowa Nr 2), wyplute wręcz płuca sprawiały, że „Wielka Pardubicka” nie była tak straszna. Wylane hektolitry potu, ciężka harówka do późnych godzin nocnych na sali gimnastycznej, nieugięta postawa „ciotki” Zielińskiej (taką ksywę przypisano pani od gimnastyki, kobiecie o wyjątkowym uroku osobistym i fachowcu wysokiej klasy) uczyniły z nas zawodniczki, które

doskonale wykonywały ćwiczenia gimnastyczne na poziomie II klasy sportowej.

Ile wyrzeczeń nas studentów, również prowadzących, kosztowały cotygodniowe wycieczki do Puław po naukę pływania. Poranne wyjazdy, późne powroty stały się normalnością. Ważne w tym wszystkim było to, że coraz lepiej pływamy! Cóż za charyzmatyczne podejście do sprawy. W miejscu tym myślę, iż będę wyraziicielką całego naszego rocznika – czynię głęboki ukłon i kieruję słowa ogromnego podziękowania i wdzięczności do „Saby” i „Bola” Troszczyńskich (tak potocznie przez braci studencką nazywanych). Byliście „klasa” fachowcami. Powiem krótko – brakuje nam Was.



Wychowanie fizyczne idzie w parze z wychowaniem intelektualnym. Zależność tę ustawowo usankcjonowała Komisja Edukacji Narodowej. Na ten temat wypowiadali się, w różnych epokach historycznych, wielcy uczeni. W naszej kochanej uczelni zasada ta była ściśle przestrzegana. Miejscowa kadra wzmacniana była już wówczas popularnymi nazwiskami wybitnych znawców zagadnień kultury fizycznej z AWF Warszawa takimi jak prof. R. Trześniowski, prof. T. Ulatowski, prof. K. Barański, prof. R. Przewęda, doc. K. Hądzelek i inni. Prowadzone przez nich wykłady – to poezja. Aula, wówczas jedyna sala wykładowa, wypełniona była po brzegi. Nikt nas na nie nie zapraszał, nie zmuszał. To było takie normalne usłyszeć, zobaczyć tego, który pisze dla nas mądre książki. Jakież to było cudowne!

Podczas wtłaczania nam wiedzy w nasze „puste” głowy, zdarzały się również sytuacje groteskowe, czasami wykraczające poza dopuszczalne normy zachowania. Do dziś dnia nie potrafię przeprowadzić wywodu logicznego: „Jeśli szczotka stoi w kącie, to Zośka jest cnotliwa”, ale przedmiot i prowadzącego zapamiętam do końca życia.

Nie potrafię też jednoznacznie stwierdzić, czy brak wiedzy na temat przemieszczania się środka ciężkości u narciarza na stoku, czy zbyt długa spódnica i zasłonięty dekolt były winne ocenie niedostatecznej, którą otrzymałam na egzaminie. Z przyjemnością podchodziłyśmy do poprawek, ale już inaczej ubrane, bo wiedziałyśmy, że to połowa sukcesu. Nasz pan docent był bardzo wrażliwy na piękno kobiet. Nam się to udawało, w gorszej sytuacji byli nasi koledzy.

W pamięci mej zachował się wspaniały pedagog, wychowawca młodzieży, „Dziekan od skreślenia ołówkiem” – „Rudy pędzel” bądź „Rudy lis” (wymienione ksywy były mu dobrze znane i nie obrażał się za nie) doc. dr K. Czajkowski. Prowadził wykłady z bardzo ważnego przedmiotu – pedagogiki, która stanowi podstawę kształcenia przyszłego nauczyciela. „Nudne” wykłady o Makarence umiłał dowcipami i grą na pianinie. To nas wszystkich fascynowało.

Poza obowiązkowymi zajęciami sportowymi i teoretycznymi znalazł się również czas na działalność kulturalną i naukową. Nie należeliśmy do biernych konsumentów, nie oczekiwaliśmy na oferty kierownictwa uczelni. Życie kulturalne organizowaliśmy sobie sami. Pod kierownictwem mgr T. Żmirka oddawaliśmy się tzw. „żmirkomanii” – rozśpiewaniu. Dzięki temu poznaliśmy wszystkie piosenki studenckie. To on oczarował nas wieczorami muzyki poważnej przy świecach. Czyż to nie romantyczne i godne naśladowania?

Posiadaliśmy własny kabaret, zespół muzyczny, organizowaliśmy cykliczne spotkania „100 pytań do...” wybranych wykładowców, od-

bywały się dyskoteki, zapraszaliśmy ludzi teatru, filmu, piosenkarzy, sportowców i czuliśmy się z tym dobrze. Nie mieliśmy czasu na nudę.

W ramach kół naukowych pod kierunkiem doc. dr Turossa i dziś prof. dr hab. Wł. Starosty, przy herbatkach zielowych w obecnym klubie pracownika, oddawaliśmy się cyklicznie ucztom intelektualnym. Cóż to były za dyskusje? Jak ciężko było wyteńczyć umysł, by coś mądrego powiedzieć w obecności koleżanek i kolegów oraz „omnibusów” intelektualnych – naszych profesorów. Były to doskonałe lekcje życia, wzbogacały nasze chłonne jeszcze „mózgi” w wiedzę, uczyły logicznego myślenia, taktu, dodawały pewności siebie i umiejętności zabierania głosu. Po prostu były to inne formy kształcenia, które wykraczały poza program.

Cztery lata studiów w FAWF minęły bardzo szybko. Każdy z nas z dyplomem magistra udał się w cztery strony świata, w myśl tak bardzo dobrze znanej nam piosenki: „Szczęśliwej drogi już czas, mapę życia w sercu masz...”. Jedni podjęli z powołania zawód nauczyciela wychowania fizycznego, trenera, inni stali się biznesmenami, jeszcze inni ukończyli dodatkowe kierunki i zostali lekarzami, pozakładali rodziny i wtopili się w szarą rzeczywistość dnia codziennego.

Czar naszego naiwnego romantyzmu prysł jak bańka mydlana. Współczesna brutalna rzeczywistość okrutnie nas potraktowała. Czasami czujemy się oszukani, niedowartościowani wręcz niepotrzebni. Łączy nas jednak czas wspólnie przeżytych chwil w białskiej FAWF. Tego z pamięci i naszych serc nikt nie jest w stanie wydrzeć. Sądzę, że tak proste słowo „dziękuję” i „pamiętam” znaczy dla nas wiele. W imieniu rocznika 1972–1976 dziękuję losowi, że mieliśmy szczęście właśnie w tej Uczelni, a nie innej, przygotowywać się do przyszłych ról zawodowych. Jesteśmy wdzięczni za jej wkład w nasze kształcenie i wychowanie. Pamiętamy o niej i dlatego też wspólnie świętujemy jej kolejne jubileusze.

**Teresa Jaślikowska**  
absolwentka 1979



## **TO BYŁY PIĘKNE DNI...**

**L**ZA się w oku kręci, kiedy myślę, że w tym roku mija 30 lat od chwili, gdy przyjechałam do Białej Podlaskiej. Jak przyjechałam, tak zostałam do dziś, – kto by przypuszczał?

A zaczęło się tak. Na egzaminy wstępne wzięłam swoją (o dwa lata młodszą koleżankę z liceum) „do towarzystwa” i „dla pewności”. Ona trochę знаła Białą, ja – nawet nie wiem skąd dowiedziałam się, że tu jest AWF – jechałam „w ciemno”. W tamtych latach egzaminy trwały kilka dni; zdawało się: język polski, obcy, biologię lub fizykę, „lekką”, gimnastykę, gry („siatka”, „kosz”, ręczna – której, nota bene – nigdy w szkole nie miałam) i pływanie – tu warto zaznaczyć, że moim najpewniejszym środowiskiem jest ład. Wszystko to poprzedzała komisja lekarska (stomatolog, ginekolog, laryngolog, neurolog i chirurg) – do tego tematu jeszcze wrócę.

Skoro w perspektywie miałam przynajmniej tydzień pobytu w akademiku, trzeba było wziąć z domu parę rzeczy. Z wielką torbą dotarłyśmy (ze wspomnianą koleżanką Basią) z dworca PKS do uczelni. Tam, po zgłoszeniu się w komisji rekrutacyjnej i załatwieniu niezbędnych formalności, skierowano nas do akademika. Przy wyjściu głównym z uczelni „zagadnęli” nas dwaj bardzo mili „dżentelmeni” z propozycją, że zaprowadzą nas do DS. Po chwili namysłu przystaliśmy na ich „pomoc”. Byli rozmowni, przyjaźni, a jakże; szliśmy ulicą Akademicką, Literacką, Buczka – chłopcy cały czas zajmowali nas rozmową, a ciężką torbę niosłyśmy same – potem przez bramkę na stadion lekkoatletyczny i wreszcie stanęłyśmy przed wejściem do akademika. Jeszcze wtedy „nie załapałam”, że starsi koledzy po prostu „wycięli” nam numer, prowadząc okrężną drogą. „Misiu” Stęgiński i Piotrusiu Chabroszewski „dziękuję” Wam za tamtą wycieczkę!!!

Po wakacjach miało się okazać, że życie studenckie w FAWF nie będzie nudne.

Rok akademicki 1975/76 październik. Zamieszkałam w bloku C, pokój 13!!!, w następującym składzie: Mańka Żmigrodzka (Warszawa),

Baśka Kowalczyk (Lublin), Majka Rajchenbach (Puławy) i ja (Chełm). Nie jestem do końca pewna tego „składu”, ale chyba się nie mylę. „Docierałyśmy się”, było fajnie.



Przyjacielski krąg

Niech młody czytelnik tych wspomnień nie myśli, że pokoje wówczas wyglądały tak, jak dziś. Cztery żelazne, pomalowane na białe łóżka. Łóżko składało się z: przodu i tyłu, połączonych ramą z metalową siatką i sprężynami, na której „rozciągał się” materac z sianem. Stopień napięcia siatki miał zasadnicze znaczenie, gdyż od tego zależało, czy po zajęciu miejsca na łóżku, odległość materaca od podłogi wynosiła 50 czy 5 centymetrów. W ścianie wbudowane były cztery wąskie szafy (też na białe – taki higieniczny kolor), cztery szafki nocne, jakiś stół i krzesła. Na ścianie „skrzynka radiowa” – źródło wszelkich wewnętrznych informacji (radiowęzeł). Pełen komfort! Nikt nie narzekał.

W Cepelii kupowało się słomiane maty, aby „ustroić” ściany, a na słomiankach każdy wieszał to, co chciał. Na mojej wisiały m.in. zdjęcia Alaina Delona (to mój ulubiony francuski aktor, a i facet „niczego sobie”).

Moje koleżanki wmówiły pani sprzątającej nasze piętro, że to są zdjęcia mojego chłopaka Antka Balona. Kobieta chyba uwierzyła?



Zajęcia odbywały się od poniedziałku do soboty, ale – o ile sobie dobrze przypominam – trwały do obiadu. Czasem pewnie zdarzył się jakiś wykład po południu, ale generalnie było sporo wolnego czasu. Wtedy roczniki były mniej liczne (100 – 120 osób), a tym samym było mniej grup. Zналиśmy się wszyscy, z młodszych i starszych roczników, z niektórymi bliżej. Było swojsko! Do starszych roczników czuło się pewien dystans.

Wolny czas każdy jakoś sobie wypełniał. Jedni trenowali w AZS-ie, inni działali w SZSP, reszta chodziła swoimi drogami. W czasie egzaminów wstępnych spotkałam Antka Pogorzelca, starszego kolegę z LO im. Czarnieckiego w Chełmie. On był wtedy już po III roku. Chyba to za Jego sprawą trafiłam do SZSP, i już na I roku zostałam przewodniczącą komisji organizacyjnej. Byłam jedynym „kotem” w Radzie Uczelnianej, reszta to byli ludzie z III i IV roku. Z sentymentem wspominam: Piotrka Chabroszewskiego – przewodniczącego RU (potem zastąpił Go Stasiak Jachimczuk), Staszka Kozłowskiego (śp), Krzyśka „Małpę” Siedleckiego – szefa komisji zagranicznej, Waldka Nieleszczuka, Włodka Świątka, Krzyśka Zimnickiego i Krzyśka Szychowskiego – liderów studenckich kół naukowych, Olka Ziarko – znał esperanto, Andrzeja Pszczółkę, Czarka Wnuka i wielu innych, których nie sposób wymienić.

W pokoju 1A miała siedzibę Rada Uczelniana; tu spotykaliśmy się na zebrania, ustalaliśmy plany działania. Często do późnych godzin nocnych toczyły się dyskusje – bynajmniej nie ideologiczne. Te były nam jakoś dalekie, mimo że Związek nazywał się *socjalistyczny*.

Cóż, wtedy innych nie było.

Ja, oprócz wielu zdolności manualnych, mogłam się poszczycić umiejętnością pisania na maszynie. Boże, ileż ja kartek w ciągu paru lat za-

писаłam. Przepisywałam prace kolegów na konferencje studenckich kół naukowych, teksty do kabaretu „Chata za wsią”, nawet Panu Dziekanowi Czajkowskiemu przepisałam dwie Jego książki, raz nawet pisałam całą noc, bo sprawa była pilna.

Warto wspomnieć o studenckich kołach naukowych, gdyż nasi studenci odnosili wówczas wiele sukcesów w kraju i za granicą. Opiekunami kół byli m.in.: doc. W. Starosta, doc. B.Turos, doc. J. Czaplicki. W 1976 roku nasza uczelnia organizowała Międzynarodową Konferencję SKN, która odbyła się latem w Serpelicach. W ramach programu kulturalnego zorganizowano spotkanie z Krzysztofem Zanussim – młodym wówczas, ale już znanym reżyserem. Zainspirowany naszą konferencją nakręcił później film „Barwy ochronne”.

Poza ruchem naukowym prężnie działały też: Akademicki Klub Narciarski, Akademicki Klub Żeglarski, Akademicki Klub Jeździecki. Oferta była bogata i chęci do działania ludziom nie brakowało. A gdy trzeba było, to chwytałyśmy za łopaty, grabie i sprzątałyśmy teren wokół uczelni. W modzie były wtedy kalosze.





Praca pracą, ale trzeba było się czasem pouczyć. Na I roku najtrudniej było z anatomią, koszykówką („poczykówką”) i biologią. Z anatomii jakoś poszło, z koszykówką – na luzie, (mimo że wielu ćwiczyło nocami, bo prowadzący nie miał litości). Polegåłam na egzaminie z biologii. Na 120 zdających, ocen pozytywnych było 30 („istna rzeź niewiniątek”). Pierwsza sesja i pierwsza dwójka. Czarna rozpacz! Pakowałam rzeczy i chciałam wyjeżdżać. Koledzy wybili mi ten pomysł z głowy. W terminie poprawkowym zdały cztery osoby – trzech chłopaków i ja. Victoria!!!

Jakby mało było kłopotów, z domu dostałam telefon, że w wyznaczonym dniu mam się stawić w Komendzie Miejskiej MO w Chełmie. Jak się okazało, pewien „pan” z SB przesłuchiwał mnie na okoliczność posiadania przeze mnie taśmy magnetofonowej z nagraniem parodii przemówienia tow. Gomulki, w wykonaniu kabaretu z Wrocławia. Jakieś „gumowe ucho” „wyczaİło”, że ja to mam i doniosło. Trzymali mnie pięć godzin, dochodzili skąd wzięłam to nagranie, a mama umierała ze strachu, że wyrzuci mnie ze studiów. Na szczęście nic złego się nie stało i tylko żalowałam, że siostra skasowała to przemówienie, bo to był naprawdę niezły „numer”.

Ale wracając do studiów trzeba powiedzieć, że na I roku dostawało się w kość. Duża dawka ćwiczeń fizycznych wzmacniała nasze mięśnie. Mnie udało się nawet, raz w życiu, i to w ostatniej, trzeciej próbie pchnąć kulę na odległość 7 m. Potem trzeba było jeszcze rzucać różnymi „dzidami i fajerkami” (generalnie lekka nie była moim ulubionym przedmiotem). Zajęcia odbywały się na miejskim stadionie. Za ogrodzeniem znajdowały się jakieś drewniane zabudowania. W pewnym momencie ktoś (już nie pamiętam kto) rzucił dyskiem, sobie tylko znana techniką, tak, że poszybował on za stadion i przez maleńkie okno wpadł do chlewa. Świnie musiały być mocno zaskoczone tą niespodziewaną „bombą”, co oznajmiły głośnym kwikiem.

Siedzę na poddaszu domu, na jednej szafce stoi telewizor marki „Wela” (biało-czarny, lat 30), który miałam w akademiku i który działa;



na drugiej szafce magnetofon szpulowy „Grundig” – ZK 140 (czteroscieżkowy), który ma 33 lata i słucham nagrań z czasów moich studiów. Zamykam oczy i czuję się tak, jakbym była w akademiku. Gonitwa myśli, obrazy przesuwają się jeden za drugim. Każdy chciałabym zatrzymać w pamięci, opisać. To niemożliwe! Trzeba by napisać kilka tomów wspomnień...

Na drugim roku „awansowałyśmy” na drugie piętro bloku C – pokój 202 – i tak już zostało do końca studiów. Standard trochę wyższy; zamiast żelaznych łóżek – tapczany. Okrzepłyśmy już trochę, poznałyśmy bliżej środowisko, nie było anatomii i biologii, można było rozwijać się w innych, pozanaukowych kierunkach.

Na I roku prawie na każdą niedzielę jeździłam do domu, ale już od II, wszystkie sobotnie dyskoteki w klubie „Meta” były moje. Zabawa do białego rana. Taniec, muzyka i śpiew to mój „narkotyk”. Nie potrzebne mi były żadne „rozweselacze”. Wystarczyła dobra muzyka i dobre towarzystwo. I tak zostało mi do dziś...

Poza dyskotekami zdarzały się różne inne bale (w auli), półmetek, bale „pidżamowe” itp.

Raz nawet do tańca przygrywała nam „Budka Suflera”.



Pan doc. Bukala, z którym tańczy na półmetku, był równie dobrym tancerzem, jak i nauczycielem. To osobowość historyczna. Na marginesie wspomnę, że Pan Docent miał z nami zajęcia z biomechaniki, ale też dwa razy w roku badał nas ginekologicznie (obowiązkowe badania okresowe). Jak myśmy to przeżyły? Kiedyś, czytając listę obecności na ćwiczeniach, przy którymś nazwisku się zatrzymał, spojrzął na studentkę i powiedział: „Aaa, my to się znamy nie tylko z twarzy”. Samo życie...

Poza zajęciami, nauką i pracą społeczną, kwitły wówczas w pokoju 202C usługi krawieckie, dziewiarskie i fryzjerskie. Wtedy modne ciuchy szyłyśmy same. Nie powiem, Bozia nie poskaąpiła mi talentów, więc obszywałam siebie i dziewczyny, dziergałam swetry duże i małe, damskie i męskie. Strzygłam „głowy” dziewczyn, chłopaków i zaprzyjaźnionych asystentów. Mistrzostwo krawieckie osiągnęłam szyjąc Grzesiowi Gajewskiemu kamizelkę do garnituru (jechał na czyjeś wesele). Zajęło mi to 8 godzin (w tym ręcznie obszyłam 9 dziurek). Byłam z tego „dzieła” dumna, a od Grzesia dostałam ogromną bombonierę.

Na II roku objęłam po Krzyśku komisję zagraniczną w RU. Funkcję przewodniczącej pełniłam przez 3 lata. Mieliśmy wówczas dobry kontakt z uczelnią sportową w Sofii. Odbывała się wymiana studentów. Bułgarzy przyjeżdżali do nas, a my jeździliśmy do nich. Gościliśmy w uczelni ich studencki zespół folklorystyczny.

W związku z wyjazdami na MOP-y (Międzynarodowe Obozy Pracy) trzykrotnie latałam samolotami do Bułgarii podpisywać umowę, (kto mówi, że wtedy były złe czasy?).

SZSP dostawało pieniądze na działalność z Zarządu Głównego z Warszawy i wiedzieliśmy, co z nimi zrobić. Gdyby dzisiaj ktoś mi kazał wsiąść do samolotu..., nie, dziękuję. Obozy w Bułgarii to oddzielna historia – cudowne wspomnienia. Skład „międzynarodowy”: Rosjanie, Czesi, Niemcy, Bułgarzy, Polacy. Były mundurki, apele, hymn, flaga na maszcie – pełna powaga, ale też zabawa, wypoczynek nad Morzem



Czarnym. Do pracy budzono nas o 5.00 i wywożono na pole. A tam: soja, wiśnię, słoma itp. Dobrze przysłużyliśmy się socjalistycznemu bułgarskiemu rolnictwu. Cha, cha, cha...



Ostatnią umowę na MOP mieliśmy podpisaną na wakacje 1980 r. Niestety, w Polsce zaczęły się różne niebezpieczne dla stabilności ustroju ruchy i ten obóz już nie doszedł do skutku. Polscy studenci postrzegani byli zawsze jako anarchiści, tacy, co to wiedzą swoje i Bułgarzy wtedy nas się pewnie „przestraszyli”...

Oddzielny rozdział na studiach stanowiły obozy. To nie były takie obozy jak dzisiejsze. Pamiętam pierwszy obóz letni na tzw. roku zerowym, czyli poprzedzający studia. Piękna Góra k/Giżycka. Jezioro Kisajno, namioty, które samemu trzeba było rozstawiać, materac dmuchany, śpiwór, własne miski i sztućce. Pobudka o 6 rano na rozruch – biegi po lesie, skoki ze skarpy, jak w wojsku. O ciepłej wodzie można było pomarzyć. Cały dzień zajęcia. O 22.00 wszyscy w namiotach. Cisza nocna.

Po I roku z Mańką Żmigrodzką „załapałyśmy się” na obóz wysokogórski w Rodopach (Bułgaria). Bułgaria kojarzyła nam się z upałem, a więc zaopatrzona w letnie ciuchy pojechałam do Warszawy na odprawę. Studenci byli z różnych stron Polski. Jakież było nasze zdziwienie, gdy szef wyprawy wyliczał, co mamy wziąć ze sobą (rękawiczki, czapki, ciepłe kurtki itp.). Do Chełma nie było szans wrócić, więc opróżniłyśmy Mańki szafy i wybrałyśmy to, co gwarantowało przetrwanie w górach.

Sierpień w górach Bułgarii to nie tropiki. Na szczytach leżał śnieg. Nocowaliśmy w namiotach. Nakładaliśmy na siebie kilka warstw ubrań, a i tak w nocy „szczękałyśmy” zębami. Woda w menażkach zamarzała. To była dobra lekcja pogładowa, co to znaczy iść w góry.

Pierwszy obóz zimowy w Wiśle-Jaworniku. Trzeba było mieć narty biegowe i zjazdowe. Jedna z koleżanek, wzrostu 142 cm, przywiozła narty długości 210 cm. To dopiero instruktorzy mieli ubaw! Zajęcia przed i po obiedzie. O wyciągach można było pomarzyć. Stoki ubijaliśmy na „zakładkę” i „jodełkę”. Męka straszna, ale jakoś się przeżyło.

Drugi obóz letni odbywał się już w naszym ośrodku sportów wodnych w Rybitwach k/Pisza. I znów warunki spartańskie. Namioty wojskowe, jeden kran z zimną wodą na środku lasu, dwie latryny z desek, stołówka pod „chmurką”. Zajęcia przeplatano pracami na rzecz ośrodka. Po prostu budowaliśmy ten ośrodek. Pamiętam jak przy murowaniu stołówki, ustawiłyśmy się w długim szeregu i podawałyśmy sobie cegły z rąk do rąk. Takie były początki...

Drugi obóz zimowy mój rocznik miał w Wiśle-Malince. I znów udeptywanie stoków. Po tygodniu instruktorzy wywieźli nas na Przełęcz Salmopolską, na wyciągi. Pierwszy raz w życiu „wsiadłam” wtedy na orczyk. Ja jeździłam w grupie u „Wujka”. Tak był przekonany o naszych umiejętnościach narciarskich, że kazał nam zjechać od razu czerwonym szlakiem. Wjechałyśmy na górę. Patrzyłyśmy na stok, a tam mulda na muldzie pokryte lodem. Anka Nikolajuk ruszyła pierwsza. Reszta patrzy. Po dwóch szusach – leży. „Wujek” czekał na nas na dole. Musiał długo czekać, bo żadna nie zjeżdżała. W końcu sam wjechał na górę. Zastrajkowałyśmy mówiąc, że nie zjedziemy. Nawrzeszczał na nas i kazał jechać. Jak ktoś patrzył z boku, to miał niezły ubaw – spadałyśmy jak „ulegalki”. Posuwałyśmy w dół trochę ześlizgiem bocznym, reszta na tyłkach. Na dole zbiórka. „Wujek” krzyczy, ja jeszcze głośnieję mówię: „Więcej nie wjadę, bo jak się zabiję albo połamię, to nikt mi życia nie zwróci”. „Jak się pani nie podoba to proszę się pakować i wyjeżdżać z obozu” – grzmiał „Wuj”. Do dzisiaj Mu to wypominam. W końcu nie wyrzucił mnie z obozu i od tego momentu jeździliśmy zielonym szlakiem. Dzięki Janusz, że uwierzyłeś w moje narciarskie umiejętności.

W nagrodę za działalność w ruchu studenckim w 1977 roku dostałyśmy z Mańką przydział (promesę) na dolary. Po 125\$ na głowę. Oczywiście trzeba było za nie zapłacić. Pojechałyśmy w sierpniu tegoż roku na objazd po Europie. Z Polski przez Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię do Grecji, Turcji, Włoch, Austrii i z powrotem. Zrobiliśmy 9000 km w ciągu 3 tygodni samochodem marki „Syrena 105”, koloru

bahama-yellow – super modny w tamtym czasie. Przygód było mnóstwo, wrażeń niezapomnianych do dziś ogrom. Za kierowcę „robił” Mańki tata.

Na kempingu pod Sofią, w drodze powrotnej, spotkaliśmy J. Wyciszkiewicza i G. Tarantowicza – spędziliśmy miły wieczór.

Z wyprawy, pełne wrażeń, opalone i szczęśliwe wróciłyśmy prosto na obóz pływacki do Warszawy. Oprócz zajęć na basenie odbywały się zajęcia na batucie. Niestety, żadna z nas tego obozu nie zaliczyła. Mnie po tygodniu „złapały” korzonki, a Mańka, jadąc tramwajem na AWF wystawiła łokieć za okno i mocno go sobie uszkodziła o stojący zbyt blisko torów jeden z metalowych słupów trakcyjnych. Widok tegoż łokcia był okropny.

Na koniec warto wspomnieć o sportowej rywalizacji między poszczególnymi rocznikami, w których aktywny udział brała również Kadra. Poniżej na bieżni reprezentanci roczników: z mojego roku Witek Laszuk (na III pozycji), z rocznika wyższego Andrzej Sadlak (II), z młodszego Andrzej Małaczek (IV), stawkę zamyka mgr od gimnastyki Andrzej Pisecki. Nazwiska pierwszego kolegi nie pamiętam, ale był najmłodszy. Czy taka była kolejność na mecie? Kto wie?



A to mecz w koszykówkę w Turnieju o Puchar „Słowa Podlasia”. Graliśmy przeciwko dziennikarzom i koszykarzom z Lublina. Wyniku nie pamiętam...



Gdyby ktoś nie rozpoznał tego przystojniaka z brodą, to Leszek Siejwa, dalej Krzysiek Siedlecki i Waldek Nieleszczuk. Obok mnie student IV roku Leon Pawluczuk. To był rok 1980, listopad; *będąc wówczas młodą asystentką* prowadziłam kolegów magistrów do boju.

Jak zaczęłam studia dwójką z biologii w I semestrze, tak zakończyłam dwójką z higieny w semestrze VIII, u Pani doktor Grabowskiej – zresztą, prawie cały rocznik zaliczył „gole”. Mimo to średnią miałam wysoką i zostałam przyjęta do pracy w uczelni. Rozpoczął się nowy etap w moim życiu..., ale to historia na zupełnie inną książkę.

Czasem patrząc z okna swojej pracowni na studentów, opalających się na ławkach przed akademikiem, zazdroszczę im; chciałabym być na ich miejscu...

Myślałam, że moje wspomnienia będą zabawne, ale zrobiło się jakoś nostalgicznie. Jest 2.00 w nocy, a moja taśma sprzed 30 lat ciągle się kręci i muzyka gra...

**Kończąc, chcę złożyć podziękowania i hołd wszystkim moim nauczycielom, koleżankom i kolegom ze studiów, którzy „przekroczyli już smugę cienia”... Tym, wśród których jestem i pracuję życząc dalszych dobrych lat pracy w naszej Alma Mater.**





**Maria Żmigrodzka-Fernandes**  
absolwentka 1979



## **WSPOMNIENIE Z LAT STUDENCKICH (1975-1979)**

**P**RZYJECHAŁAM na egzaminy wstępne z duszą na ramieniu. Byłam zerem z koszykówki, więc zadawałam sobie pytanie, jak ja wrzucę tę piłkę do kosza?! Miałam nadzieję, że te braki z koszykówki nadrobię pływaniem. Reszta miała jakoś pójść. Miałam szczęście. Zostałam zakwaterowana w akademiku z długowłosą blondyną, Teresą Jaślikowską, która była koszykarką. Ona miała trochę problemów z pływaniem, wobec tego wybierałyśmy się przed egzaminami wstępnymi na salę i na basen, żeby „potrenować”. Wspólnym wysiłkiem i wiarą we własne szczęście dostałyśmy się na studia.

Pierwszy rok, to była męka przetrwania, nie tylko ze względu na zmianę struktury nauczania, ale również swobodę życia, podejmowanie własnych decyzji (pozytywnych i negatywnych), „odkrywanie życia”, a potem... brakowało czasu na naukę.

Ponieważ pochodziłam z Warszawy, więc co tydzień wyjeżdżałam do domu. W każdą sobotę, po zajęciach tłukłam się pociągiem przez 3 godziny po to, żeby w niedzielę w nocy wracać do Białej. Była nas zawsze cała grupa. Spotykaliśmy się na Dworcu Gdańskim w Warszawie. Nie kupowaliśmy biletów tylko robiliśmy „składkę” dla konduktora i zajmowaliśmy na ogół 2 przedziały. Około 2.00 nad ranem dojeżdżaliśmy do Białej Podlaskiej. Czekala nas jeszcze 20 minutowa wędrówka do akademika. Czy była to ciepła, gwiazdzista noc, czy też śnieg po kolana wędrowaliśmy zmęczeni, ale bez słowa, jakby to miało nam pomóc w szybszym dotarciu do akademika. Padaliśmy na łóżka na parę godzin i wkrótce trzeba było wstawać. Zajęcia zaczynały się o 8.00.

Jeden z przedmiotów na I roku – anatomia – to było poskromienie marzycieli. „Chłopiek”, nasz wykładowca nie miał poczucia humoru i zbyt dużej wyrozumiałości. Chyba najwięcej studentów wyleciało ze studiów przez ten przedmiot. Były też chwile groteskowe, związane z tym przedmiotem. W przeddzień egzaminu, w czwórkę uczyłyśmy się anatomii w naszym pokoju. Byłyśmy w koszulkach nocnych. Pokój znajdował się na parterze. W pewnej chwili usłyszałyśmy głos: „Dziewczyny, co robicie?”

Pomóżcie mi”. Muszę powiedzieć, że te koszule były trochę przezroczyście. Doszliśmy do okna. W pewnym momencie mężczyzna wskoczył na kraty jak małpa i pokazał nam w całej wspaniałości swoją „dolną, męską, przednią stronę”. I tak zakończyliśmy naszą naukę anatomii na męskim, żywym modelu.

Drugi przedmiot, który dostarczył wielu problemów dużej ilości studentów, to koszykówka. Ile nerwów ja straciłam przez ten przedmiot. Końcowe zaliczenie toru, sędziowanie, to niemiłe wspomnienia. Wydawało mi się, że p. mgr Popczyk uważał, że koszykówka była najważniejszym przedmiotem na AWF-ie i trzeba było z nas zrobić koszykarzy pierwszej klasy. A to nie było takie łatwe.

Będąc jeszcze na I roku zapisałam się do Koła Naukowego Medycyny Sportowej, prowadzonego przez doc. dra Turossa. Spotykaliśmy się dość często, prowadziliśmy różne doświadczenia, pisaliśmy prace naukowe. Pamiętam, że pod koniec roku odbyła się Ogólnopolska Konferencja Studentekich Kół Naukowych w Serpelicach. Ja nie znosiłam publicznych wystąpień. Moją „przemowę” znałam na pamięć i w rezultacie zajęłam 3 miejsce. W Serpelicach byliśmy zakwaterowani w ośrodku wypoczynkowym. Pogoda była wspaniała. Przez pół dnia smażyłam się na słońcu. Wyglądałam jak upiór. Tak wyglądając, przedstawiałam swoją pracę.

Od II roku zaczęliśmy obozy narciarskie. To były wspaniałe chwile. Pomimo dużego wysiłku fizycznego, nikt nie narzekał. Pamiętam pierwszy obóz. Na stoku był tylko jeden krótki wyciąg „wyrwirączka”. Przez te dwa tygodnie spaliliśmy mnóstwo kalorii. Pamiętam, że chłopcy byli zakwaterowani wysoko na stoku w schronisku w Soszowie, a dziewczęta w dolinie. Bardzo często po zajęciach wdrapywałyśmy się na tę górę, żeby odwiedzić naszych chłopców. Ta wędrówka zajmowała nam dwie godziny. Wszyscy piliśmy ciepłe piwo i po godzinie wracałyśmy do naszego podoboju. Takie byłyśmy zwariowane.

Na III roku mój obóz narciarski zakończył się dla mnie tragicznie. Jeździłam w grupie chłopców na Stożku Śląskim. Byłam jedyną dziewczyną. W połowie trwania obozu, jednego pięknego dnia, w czasie zjazdu ze Stożka upadłam. Kolega z naszej grupy wpadł na mnie i uderzył mnie kolanem w głowę. Wszystko urwało się na 17 godzin. Wstrząśnienie mózgu, kości czaszki połamane z wgnieceniem. Nieprzytomną zabrali mnie do szpitala w Cieszynie. Ale ... wygrzebałam się z tego. Po 3 dniach jeden lekarz powiedział mi: „a pani co tak leży i leży, może pani sama chodzić do łazienki”. Wobec tego, po ścianie doczołgałam się do tej łazienki. Zaburzenie równowagi było okropne. Wszystko wirowało. Na następny dzień zjawił się inny lekarz i zobaczył mnie „w ruchu”. Dostałam ostre ostrzeżenie, że jeżeli chcę, żeby skończyło się trepanacją czaszki, to mogę chodzić. Opieki pielęgniarskiej nie było. Pamiętam, że po kilku dniach odwiedziła mnie Teresa i Majka. Zapytały, kiedy się ostatnio myłam? Oświadczyłam,

że tego pechowego dnia. Postawiły mnie do pozycji pionowej. Jedna mnie myła, a druga trzymała. Byłam im bardzo wdzięczna, bo leżałam jak ostatnia nędza.

Po 3 miesiącach od wypadku wróciłam na studia. Bóle głowy miałam potworne. Jednego dnia Teresa musiała wezwać pogotowie ratunkowe, żeby zrobili mi zastrzyk przeciwbólowy, bo leżałam na podłodze i wymiotowałam. Później miałam już zastrzyk przy sobie i sama sobie robiłam. Tak bardzo się nie przejmowałam. W rok później byłam znowu w górach i jeździłam na nartach. Bóle migrenowe mam do dzisiaj.

Wspomniałam o obozach zimowych, ale były też obozy letnie, które również dostarczały mnóstwo fantastycznych emocji i przygód. Pływanie, kajaki, żaglówki. Pamiętam jedną scenę. Płynęliśmy żaglówką po jeziorze i w pewnej chwili zaczęliśmy się przewracać. Ja już wylądowałam w wodzie i usłyszałam głos: „Ratunku, tonę”. Zobaczyłam koleżankę (która nie umiała dobrze pływać) wyrzuconą w powietrze i krzyczącą. Wyglądało to bardzo komicznie. Na obozach byłam uprzywilejowana, bo miałam swój namiot lub pokój, a reszta gniotła się w kilkuosobowych pokojach lub namiotach. Przed rozpoczęciem studiów byłam już pielęgniarką, więc „zaliczając obóz” pełniłam również funkcję pielęgniarki.

Jeden z przedmiotów na studiach – filozofia marksistowska – była dla mnie przedmiotem „nie do ugryzienia”. Postanowiłam, że nie będę się tego uczyć. Ale egzamin trzeba było na koniec zdać. W związku z czym musiałam coś zrobić, żeby zostać zwolnioną z tego egzaminu. Na wszystkich ćwiczeniach zgłaszałam się i udawałam, że wszystko wiem, chodziłam na wszystkie wykłady i wreszcie swojego dopięłam. Zostałam zwolniona z egzaminu.

„Półmetek” – niezapomniany bal. Tańczyliśmy, piliśmy, robiliśmy mniejsze i większe głupstwa. Po raz pierwszy w życiu trochę się upiłam. Kiedy wróciłam do akademika, Teresa (całkowita abstynentka) leżała już w łóżku i obserwowała mnie. Ja rozebrałam się i pracowicie rozłożyłam swoje ubrania na łóżku. Po czym położyłam się na nim spać. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego to zrobiłam?

Jedną z ciekawostek naszego AWF-u były nagrody wręczane pod koniec każdego roku akademickiego. Każdego roku były one inne. Nagrody te były dawane osobom, które osiągnęły najlepszą przeciętną z egzaminów i udzielały się w życiu studenckim i tutaj muszą się pochwalić. Po II roku otrzymałyśmy z Teresą prawo wykupienia 125 \$ na osobę. (Młode pokolenie tego nie pamięta. Takie dolary mogliśmy kupić po cenach państwowych za 35 zł za dolara, a na czarnym rynku dolar kosztował 300 zł. Oficjalnie nie można było kupować dolarów). Za te dolary pojechałyśmy z moim ojcem na wyprawę po Europie. Dotarłyśmy nawet do Turcji. Po I roku pojechałyśmy na obóz wysokogórski w Bułgarii. Tam mało brakowało, a zamarzyłyśmy. Spałyśmy wysoko w górach w namiotach. Było lato, temperatura w ciągu

dnia była wysoka, ale w nocy spadała dobrze poniżej zera. Kałuże i małe jeziorzka zamarzały. Pierwsza noc była nie do zniesienia. Było koszmarnie zimno. Nakładaliśmy na siebie wszystkie ubrania, ale to nie pomagało, próbowaliśmy spać razem w jednym namiocie, ale też nie pomagało, rozkładaliśmy śpiwory i okrywałyśmy się nimi leżąc blisko siebie, ale też nie pomagało. Nie zmrużyłyśmy oka przez całą noc. Teresa rano wyglądała jak Chińczyk, miała spuchniętą twarz i z trudem było widać jej oczy. Pomimo tego było fantastycznie. Nie wspomnę już, jak straciliśmy zapasy żywnościowe, które trzymaliśmy w namiocie. Jakieś zwierzę wyzarło nam wszystko w czasie naszej nieobecności. (To była krowa, która stratowała wszystkie konserwy – przyp. red.).

Po III roku pojechałam na rejs po Morzu Czarnym. Dojechaliśmy do Odessy zawszonym pociągiem, a potem mieliśmy przygody z Rosjanami. Chcieli kupować od nas wszystko. To był mój ostatni wyjazd zafundowany przez uczelnię.

Nadszedł IV rok. Był on dla mnie najłatwiejszy, pomimo mojej częściowej amnezji. Wreszcie pisanie pracy magisterskiej i jej obrona. Trochę się jej obawiałam, ale poszła bardzo dobrze.

Teraz z perspektywy czasu uważam, że moje lata studenckie były wspaniałe. Byliśmy młodzi, bez żon, mężów i dzieci, bez obowiązków wobec innych. Całe życie stało przed nami otworem. Powinniśmy byli brać je pełnymi rękami. Jedni to zrobili, inni może nie.

Od ponad 20 lat mieszkam w Australii. Teresa „zmusiła” mnie do przylotu na zjazd. Jestem już w Polsce (16.05.2005 r.)



## WSPOMNIENIA

**W**Filii AWF w Białej Podlaskiej studiowałem w latach 1975–1979. Na „studia sportowe” zdecydowałem się, mając za sobą 7 lat treningu w klubie sportowym „Start” Lublin. Czulem się ważny, bo w latach poprzedzających studia byłem wśród tych, którzy walczyli o I ligę lekkoatletyczną w Lublinie i ją wywalczyli.

Podjęcie studiów w Białej Podlaskiej „wyrwało” mnie ze środowiska lubelskiego „Startu” i z domu rodzinnego. Okaze się to decydujące o moich losach na studiach. Wprawdzie Biała Podlaska nie jest aż tak odległa od Lublina, ale – żeby studiować – trzeba zamieszkać na miejscu. Pierwszy rok studiów był dla mnie rzuceniem się na głęboką wodę. Zmiana środowiska, z którym byłem mocno związany, opuszczenie domu, nowe twarze, nowe relacje, nowe wyzwanie.

Obóz żeglarski w Pięknej Górze koło Giżycka nad jeziorem Kisajno był niezapomnianym przeżyciem. Jako lekkoatleta nie miałem wcześniej styczności z żeglarstwem. Pocieszeniem dla mnie było to, że kole-dzy, którzy trenowali inne dyscypliny, byli w podobnej sytuacji. Łączyło nas jedno – konieczność zdobycia zaliczenia tego, co obowiązywało na obozie żeglarskim (umiejętność pływania łódką z żaglem, kajakiem, style pływackie – teoria i praktyka). Dla mnie było to spore wyzwanie. Zmiana miejsca w kajaku na środku jeziora nie okazała się taką fraszką, jak wielu z nas myślało. Płynąłem wtedy z kolegą, który trenował podnoszenie ciężarów. Jego „masa” i moje „kości” dały taki finał, że obaj wylądowaliśmy w wodzie...

Postacią bardzo widoczną na naszym roku był, chyba najwyższy wtedy student w uczelni, Michał Dąbski. Był widoczny dzięki wzrostowi, ale w równym stopniu dzięki spontaniczności w nawiązywaniu kontaktów. Michała lubili wykładowcy i my. Nikt inny nie mógł zostać starostą roku, tylko Michał.

Liczne zajęcia nie bardzo pozwalały mi przygotować się do rzutu lekkoatletycznej ligi. Wtedy, mimo że byłem studentem AWF, reprezentowałem jeszcze barwy „Startu” i byłem zobowiązany stawić się na stadionie „Skry” w Warszawie. Biegałem 400 m i niestety wypadło to blado

jak na moje możliwości, mimo solidnie przepracowanej zimy. Lekkoatletyka była dla mnie najważniejsza. Wiedziałem, że będą pewne przeszkody w realizacji planu treningowego (w postaci obozu żeglarskiego, czy narciarskiego), ale wydawało mi się wtedy, że będą to przeszkody do pokonania.

Moje zainteresowania nie kończyły się na bieganiu, chociaż to była oś, wokół której wszystko w moim życiu „się kręciło”.

Jako studentowi I roku podobało mi się chyba wszystko, co AWF mogła zaproponować. Miałem wewnętrzną radość, że mogę studiować. Były też lęki i niepokoje, jak poradzę sobie z wyborem tak wielu możliwości. W Lublinie skończyłem ognisko muzyczne w klasie akordeonu. Gdy dowiedziałem się, że studencki zespół pieśni i tańca potrzebuje chętnych, natychmiast zgłosiłem się do prowadzącego mgr R. Kapicy. Okazało się jednak, że nie będzie to możliwe jednocześnie trenować lekkoatletykę i poświęcać czas próbom w zespole. Nie powiem, że jakoś mnie to nie zabolalo. Byłem jeszcze na etapie, gdy wydawało mi się, że wszystko można jakoś pogodzić. Jednak taki wybór był konieczny. Dorosłe życie, w które powoli wkraczałem wymagało określenia hierarchii wartości i umiejętności rozróżniania rzeczy ważniejszych od mniej ważnych.

A rodziców przy mnie nie było. Decyzje musiałem podejmować sam. Tak więc praca w zespole pieśni i tańca nie stała się moją pasją. Myślę, że nie do końca pogodziłem się z tym faktem.

Ponieważ chciałem się udzielać poza lekkoatletyką, znalazłem wtedy grono osób, z Włodkiem Świątkiem na czele, które zainteresowały mnie pracą w Studenckim Kole Naukowym Medycyny Sportu, prowadzonym przez Pana doc. Bogdana Turosa. Wspominam naszego opiekuna, jako człowieka bardzo cierpliwego, mającego dla nas dużo ciepła i serca. Działalność naszego koła przyniosła dobre owoce. Na Ogólnopolskiej Konferencji Studenckich Kół Naukowych praca Marysi Żmigrodzkiej – koleżanki z roku, z którą razem pracowaliśmy – i moja, została wyróżniona. Było z czego się cieszyć. Temat naszej pracy jest wciąż aktualny: „Wpływ palenia papierosów na koordynację wzrokowo-ruchową studentów Filii AWF.

Pierwszy egzamin zdawałem z historii kultury fizycznej. Pan doc. Czesław Borejsza, mimo pewnej pobłażliwości, był sprawiedliwy. Dostałem z tego egzaminu 3+ i byłem z siebie dumny. Wielu kolegów myślało, że ten egzamin to będzie spacer, ale znajomość równowagi w kształtowaniu ducha i ciała, zwłaszcza u starożytnych Greków, bardzo się przydała.

Obóz narciarski w Wiśle-Soszowie był kolejnym krokiem ku integracji naszej dobrze zapowiadającej się grupy sportowej. W grupie tej największą liczbę stanowili piłkarze i siatkarze. Pamiętam Tadzia Łapę, Zbyszka Bartnika i innych, z którymi dzieliłem radości i smutki studenckiego życia. Z siatkarzy pamiętam Grzeška Gajewskiego, Witka Bobera i wielu kolegów, których nazwisk, ani nawet imion (wstyd się przyznać) nie pamiętam. Gdy stanęliśmy na stoku, bohaterów nie było. Nawet ci, którzy „szpanowali” sprzętem narciarskim znanych firm „Atomicami”, „Kastingerami” okazywali się początkującymi adeptami zimowych sportów. Było widać gołym okiem, że wszyscy potrzebujemy wiele pracy, żeby kształtować umiejętności jazdy na nartach. Zresztą ci najwięksi „szpanerzy” dawali najwięcej powodu do śmiechu, gdy ładowali np. w 1,5-metrowych zaspach... Warunki w Soszowie były spartańskie. Gospodarz – góral dbał o ciepło, palił w dużych piecach, ale nad ranem woda w wiadrze była zamrznięta. Nie pamiętam, żeby w związku z tym ktoś zachorował. Hartowaliśmy się biegając tylko w slipach do Czechosłowacji, która była oddalona od naszego schroniska o 20 m. Takie były prawa młodości...

Próbowaliśmy zarabiać na nasze utrzymanie w akademiku, podejmując różne prace (pieniądze otrzymywane do rodziców nie zawsze na wszystko wystarczały). Pamiętam, jak w nocy ciężko pracowaliśmy przy załadunku ziemniaków na stacji przeładunkowej (chyba w Małaszewiczach), czy w spółdzielni rolniczej przy kopcowaniu kapusty, czy też przy taśmowaniu i znakowaniu, sporych rozmiarów pudeł z butami roboczymi. Niezapomniany i znający najlepiej takie miejsca Tomek Kluziak był dla nas niedoścignionym wzorem zapobiegliwości.

Największe problemy miałem z anatomią człowieka. Okazało się, że jest to dla mnie zbyt twardy orzech do zgryzienia. Sporo nauki – nazw, szczegółów, niuansów. Jak umiałem, tak się uczyłem i wysiłek podejmowałem. Jednak okazywało się za każdym razem, że tej wiedzy na zaliczenie wciąż za mało... (tu chcę pozdrowić Państwa Danilkiewiczów).

Również pewne elementy gimnastyki nie były dla mnie łatwe. Zdawałoby się, że wejście na linę nie jest zbyt trudne. A jednak... nie od razu zaliczyłem ten element. Było z tą liną trochę problemów, ale i humoru. Wejść wszedłem, ale trzymając się na górze szyny, nie chciałem schodzić, bo okazało się, że obleciał mnie strach. Zachęty do zejścia, czynione przez Pana mgr. Szypra nie od razu odniosły skutek. O tym moim wejściu i zejściu było głośno wśród studenckiej braci.

Osobna historia to kabaret studencki „Chata za wsią”. Spotkanie z Jackiem Niećko, Mirkiem Późniakiem, Staszkiem Sacharczukiem, Jasiem Bartosikiem, Leszkiem Zachariaszem, Stefanem Maryńczakiem i innymi osobami zaowocowało kilkoma przedstawieniami premierowymi.

Na Ogólnopolskim Konkursie Piosenki Kabaretowej w Poznaniu zdobyliśmy wyróżnienie. To był nie lada wyczyn, ponieważ znaleźliśmy się wśród takich gwiazd, jak: Jacek Kaczmarski, Przemysław Gintrowski, Zygmunt Klawe, Zespół „Pod Budą”. Klasą dla siebie byli wtedy jurorzy – Agnieszka Osiecka i Jan Wołek. W Lublinie, na konkursie piosenki studenckiej, potwierdziliśmy wysokie noty z Poznania, pokonując bardzo znany i renomowany studencki kabaret Akademii Medycznej „Loża 44”. To nam otwierało drzwi do występów w klubach studenckich Lublina, Warszawy, Opola, Poznania. Nasze sukcesy zostały odnotowane w prasie. Redaktor Kuriera Lubelskiego Pan Andrzej Molik napisał o nas spory artykuł (mam ten artykuł w swoich zbiorach).



W tym czasie zakochałem się w pewnej pannie z Pionek (Dorotce – przyp. red. ), studentce naszej uczelni. I mimo obopólnych wzajemności ostatecznie nie doprowadziło to do trwałego związku. Nie ukrywam, że bardzo przeżyłem to rozstanie. A życie toczyło się dalej. Kolejne próby zaliczania przedmiotów (zwłaszcza anatomii człowieka) wciąż okazywały się syzyfową pracą. Teraz po latach widzę, że byłem „mało dojrzały”. Przejmowałem się nie zawsze tym, czym należało się przejmować. Ale w trudnych chwilach mogłem liczyć na wsparcie mojego nowego trenera Pana mgr. Marka Juszczyka.

Nigdy nie zapomnę tych, z którymi mieszkalem przez 4 lata w pokoju. Bolek Krawczyk, Jasio Szwiec, Jacek Niećko i ja – to był monolit.





Nie było sytuacji, w której ktoś, kto potrzebował pomocy, byłby jej pozbawiony. Byliśmy jak bracia. Oczywiście każdy miał swoje zainteresowania i problemy, swoją osobowość i perspektywę widzenia świata. Pasją Bolka były konie, Jasio był lekkoatletą – długodystansowcem, Jacek interesował się koszykówką. Gdy było bardzo ciężko i brakowało komuś pieniędzy, dzieliliśmy się wszystkim co mieliśmy. Nie pochodziliśmy z zamożnych rodzin. Smalec ze skwarkami przywieziony z domu zawsze ratował sytuację. Podczas jednej zimy Bolek, nie mając pieniędzy na autobus do Siedlec, pojechał z bagażem na plecach rowerem... (wtedy nie mogliśmy Bolka wesprzeć), ale dojechał... Nie uważaliśmy tego za szaleństwo, wręcz przeciwnie takie zmaganie zostało uznane za czyn niezwykle i sposób na pokonanie trudności życiowych.

Głośnym wydarzeniem było zorganizowanie po raz pierwszy Juwenaliów (1979). Ogrom organizacji i, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, logistyki. Wszyscy chętnie włączyli się w to dzieło. Udało się zaprosić kilka zespołów jazzowych. W uroczystym przekazaniu studentom kluczy do miasta wzięły udział władze Białej Podlaskiej i oczywiście władze naszej uczelni. Mieliśmy satysfakcję, że potrafiliśmy zorganizować to studenckie święto na przyzwoitym poziomie.

O wyborze ks. Kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową do-  
wiedziałem się, idąc korytarzem akademika z grupą koleżanek i kole-  
gów. Zwiastunem tej Dobrej Nowiny był Leszek Koperski. Potraktowa-  
liśmy tę informację jako dobry żart... Ale na wiadomościach telewizyj-  
nych o 19.30, na których zwykle nikogo nie było, tym razem był cały  
AWF. Klub studencki „Meta” nie mieścił widzów. Najpierw skupienie  
i cisza, a po chwili wybuch radości. Jako młodzi Polacy byliśmy dumni  
z Naszego Papieża. I pomyśleć, że trzeba było tylu i takich dokonań  
Ojca Św. Jana Pawła II, aby naszą eksplozję radości, wzruszenia, du-  
my, uniesień z 16 X 1978 roku przeobrazić, z pewnego poziomu powie-  
działbym emocjonalnego, na ścieżki naszego egzystencjalnego jedno-  
stkowego życia. Z mniejszym lub większym skutkiem.

Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co napisałem nie jest nawet jed-  
nym „machnięciem” pędzla na temat tych czterech ważnych lat mojego  
życia. Obraz, który wyłania się po tylu latach jest częścią życia. Bardzo  
przepraszam tych wszystkich, z którymi łączyły mnie w pewnych sytua-  
cjach bliższe relacje, że o Was nie wspomniałem. Wybaczcie.

Ostatecznie AWF nie skończyłem. Jednak doświadczenia sportowe  
przydały się w dalszym życiu. Wprawdzie teologia, którą ukończyłem  
na KUL-u nie ma zbyt wielu punktów stycznych ze sportem, ale Św.  
Paweł w II liście do Tymoteusza pisze: „W dobrych zawodach wystą-  
piłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tym 4,7).

Stare polskie przysłowie mówi: „nie ma tego złego, co by na dobre nie  
wyszło”. Ufam, że jako niedoszły magister wychowania fizycznego,  
a dopełniony magister teologii próbuję sytuować moje życie w wypo-  
wiedzi Apostoła Narodów.

**Stanisław Sacharczuk**  
absolwent 1979



## TO BYŁY CZASY !

**W** SPOMNIENIE okresu mego studiowania (1975–1979) jest jak picie dobrego wina w równie dobrym towarzystwie – i przyjemne i pobudzające. Ten czas chce się wspominać.

Po pierwsze – spełniały się moje marzenia o studiach pełnych zajęć ruchowych. Po drugie – obszary wiedzy, z jakimi się spotkałem i organizacja studiów czyniły je znacznie ciekawszymi niż się spodziewałem. Po trzecie wreszcie – zaspokajała się moja potrzeba pewnej swobody i jednocześnie potrzeba przebywania z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Kto nie szukał uciech wielkiego miasta, był jak ja, we właściwym miejscu. Ale nie przypuszczałem, że akademik stanie się moim domem, a koledzy, z którymi dzieliłem pokój – rodziną.

Wszystkie zajęcia programowe, często je sobie przypominam, prowadzili fachowcy pełną gębą. Było wśród nich wielu pasjonatów oddających się swojej dziedzinie od rana do wieczora. I wtedy i teraz oceniam ich bardzo wysoko. Imponowali mi swoją wiedzą, umiejętnościami organizacyjnymi i sportowymi. Dla wielu z nas, którzy nie mieli kłopotów z systematyczną pracą na uczelni, ani z punktualnością na obozach – byli prawdziwymi mistrzami. Wymagali, ale „nie przeginali”.

Największą osobowością wśród wykładowców w latach 70-tych był niewątpliwie nasz dziekan, **doc. dr Kazimierz Czajkowski**. Jego wykłady z pedagogiki otwierały nam oczy, zachęcały do pracy (również nad sobą), zbliżały ludzi do siebie. W rozmowach – a nigdy nie unikał studentów – zaskakiwał, bawił, był swoistym teatrem i medium, zawsze przyjacielem. W dużej mierze, to dzięki niemu, studiowanie w Białej w tamtych latach przypominało normalne życie w zdrowej rodzinie. Podobnie przyjazny i twórczy był cały zakład pedagogiki.

Wśród moich mistrzów chciałbym również wymienić p. **Tadeusza Zaradkiewicza** za przekazanie mi z wielką kulturą podstaw teorii i metodyki wf; p. **Danutę Burdzicką** zawsze pełną sympatii i cierpliwości wobec studentów; na lektoratach z języka rosyjskiego czytaliśmy („Cygan” i ja, inni słabiej) „Krokodila” – radzieckie pismo humorysty-

czne ze wspaniałymi, zabawnymi rysunkami; dzięki panu **Tadeuszowi Żmirkowi** i jego piosenkom mogłem zablysnąć na wielu spotkaniach towarzyskich, wspominam go śpiewająco. Pewnie dzięki tym wspaniałym, ciepłym ludziom mogłem być (i wciąż jestem) wychowawcą młodzieży. I chociaż przez 25 lat nie brakowało zaskakujących zdarzeń szkolnych i problemów, żaden z moich uczniów mnie nie unika.

Ale, żeby nie było tak słodko, przytoczę incydent w drugą stronę. Jeden z asystentów (byłem tego świadkiem kilkakrotnie) zwracał się na zajęciach do swego rodzonego brata: – Panie Z. (tu następowało nazwisko). O swojej dyscyplinie „wiedział wszystko”, był zarozumiały i kompletnie bez poczucia humoru. Długo U NAS nie pracował. Nie pasował, należał do incydentów. O wiele mocniej i przyjemniej utkwiała mi w pamięci atmosfera obozów letnich i zimowych. Wspaniałe wypełniony czas, z odpowiednią dawką obowiązku i dyscypliny. Czasem trochę emocji na wodzie lub na stoku. A obok koledzy..., i koleżanki. Mieliliśmy niespożyte siły, świeżość w głowach i mięśniach. Chciało się, chciało się wszystkiego... I czasem się miało. **TO BYŁO ŻYCIE!**

Nie brakowało też emocji na co dzień – w akademiku. Młodzież być może nie wie, że kiedyś mieszkając w akademiku, żyliśmy blisko siebie. To życie miało swój rytm i rytuał. Nie bez znaczenia był fakt, że w akademiku zamieszkiwało wielu nauczycieli akademickich. Wiedzieli o nas dużo, ale byli zwykle lojalni. Rytm dnia dyktowały pory wydawania posiłków; z obiadów korzystali chyba wszyscy mieszkańcy, ale też wielu z nas przychodziło na śniadania i kolacje. Stąd, w stołówce spotykaliśmy się „każdy z każdym”.

Znacznie ważniejszy był rytm występowania pod prysznicami ciepłej (nie koniecznie gorącej) wody. Zdarzało się to regularnie, kilka razy na dobę. Po „występowaniu” porannym (dla niektórych zbyt wczesnym), następne było o 12-ej, potem o 16-ej, 20-ej i 22-ej. „Występowanie” trwało raczej krótko (najwyżej 30 minut) i było regularne, co do wody. Mniej, co do jej podwyższonej temperatury. Za to jak cudownie jednoczyło i zbliżało, oswajało z nieskrępowaną nagością (a było na co popatrzeć). Żeby jednak była jasność, jeśli chodzi o zbliżanie. Wymuszała je liczba pryszniców na piętrze – były dwa, a także zbiorowa technika wieczornej kąpieli. Wyglądało to tak. Wchodziliśmy kolejno, na króciutko pod prysznic, żeby się zamoczyć. Teraz następowało namydlanie i szorowanie. Żeby było szybciej, a nie przyjemniej plecy „robiliśmy” sobie nawzajem. Tylko plecy! Potem, znowu kolejno, szybkie splukiwanie. Kto nie zdażył, zaliczał hartowanie. Byli wśród nas nieliczni twardziele, dla których temperatura kąpieli nie miała żadnego znaczenia. Nierzadko też nie przewidywane sytuacje lub tzw. ambitne plany

czyniły z nas herosów. W każdym razie wychodziło to na zdrowie.

Dziewczyny miały nieco inną technikę kąpieli. Były w łazience razem, ale robiły wszystko jakoś tak bardziej indywidualnie. Ponieważ sam tego nie widziałem (do dziś żałuję), nie będę wchodził w szczegóły. Nie sposób w tym miejscu nie powiedzieć o tych, którzy decydowali o stopniu nagrzania wody i zarazem poziomie naszej kąpielowej rozkoszy. Ciepłą wodę i zimą kaloryfery, otrzymywaliśmy za sprawą kotłowni węglowej, funkcjonującej w piwnicy tuż przy głównym wejściu do akademika. Najbardziej znanym palaczem, trochę gawędziarzem, był niejaki Józef Bochenek. W mroźne zimowe wieczory, w końcu tygodnia, przechadzał się z troską po korytarzach i zaglądał do niektórych pokoi, żeby sprawdzić temperaturę kaloryferów. Dziwnym trafem wybierał drzwi, zza których dolatywały odgłosy studenckiej pracy. Ale nie była to praca nad książką. Po sprawdzeniu kaloryferów w kilku pokojach pan Bochenek wychodził zwykle niezłe usatysfakcjonowany. Chciałbym wszystkim przypomnieć, że akademik nie pustoszał na sobotę i niedzielę, nie wyjeżdżaliśmy jak jeden mąż (mężowie i owszem wyjeżdżali) do domów. Przede wszystkim dlatego, że soboty nie były jeszcze wolne od pracy, mieliśmy ćwiczenia i wykłady. Nie wyjeżdżaliśmy też, bo w soboty i niedziele zwykle coś się działo. Odwiedzały nas zespoły muzyczne i artyści kabaretowi, dziennikarze. Pamiętam dużą zabawę w auli z udziałem „Budki Suflera”, słuchaliśmy J. Wołka, „Kasy Chorych”, Krzysztofa Mrozewicza.

Wielu z nas startowało w zawodach ligowych. W sobotę łatwiej można było dostać się do sali gier (istniała tylko jedna), co w tygodniu, poza treningami było prawie niemożliwe. Nie bez znaczenia były też sobotnie dyskoteki w akademiku, na które ściągało немало dziewcząt z miasta.

Miejszem spotkań towarzyskich i zbiorowego oglądania telewizji kolorowej(!), czasem z głośnym dopingiem, był klub „Meta” – tak naprawdę świetlica z telewizorem. Ale to właśnie tu odbywały się zebra- nia duże i małe, koncerty, spotkania, występy kabaretowe, konkursy, dyskoteki.

Równie ważnym centrum towarzyskim i informacyjnym był hol i korytarz tuż przy portierni. Tu, przy kaloryferze, zbieraliśmy się przed wyjściem do sklepu, kina, kawiarni, na mecz. Tu spotykaliśmy się, żeby pogadać, poobserwować dziewczyny, odebrać list. Nie uwierzycie! Wtedy jeszcze pisało się listy. Należałem do tych, którzy pisali i otrzymywali listy często. Pewnie nie pamiętacie, a wy młodzi – nie wiecie, jakie to wspaniałe uczucie, kiedy dostaje się wyczekiwany, gorący list. Przymykasz oczy... i czujesz upragniony dotyk, błogość i pod-

niecenie. To więcej niż 100 sms-ów.

Ale do tematu... Tak więc stojąc przy kaloryferze blisko recepcji obserwowaliśmy dziewczyny, które długim (na szczęście) korytarzem oddalały się do bloku C. Tam wówczas mieszkały. Odprowadzaliśmy je powłóczytymi spojrzeniami i... Przysięgam! Nigdy i nigdzie dziewczyny nie poruszały się tak pięknie. **TO BYŁY DZIEWCZYNY!!!**

Znowu zwracam się do młodzieży, która nie wie, że w pierwszych latach istnienia **NASZEJ UCZELNI** wstęp do bloku dziewcząt po godzinie 20-ej mężczyznom był zabroniony. Zdażyłem już tylko na rok obojętowania tego cudownego obyczaju. Naprawdę cudownego. Wyobraźcie sobie, młodzi mężczyźni, jeżeli w pobliżu nas jest zabroniony teren, na którym są kobiety. I to jakie kobiety! To co my robimy?... My chcemy tam wejść. My chcemy tam wejść za wszelką cenę. My musimy tam wejść!

Dostępu do bloku dziewcząt, do tego wyobrażanego edenu, strzegły nie żadne kraty, ani groźny Cerber, tylko... jedna z pań portierek. Ile się trzeba było czasem naprosić, nawyszukiwać powodów... i nie zawsze z sukcesem. Najlepiej było kiedy dyżur pełniła pani Krysia..., bo lubiła ciastka z kremem.

I nie wiem, jak mam dziś opisać ten dreszcz pojawiający się wzdłuż całego kręgosłupa (od końca do końca), kiedy już weszło się na teren zabroniony, przez co jeszcze bardziej pożądany. Tam było inne powietrze, inne – lepsze zapachy. I prawie wszystko uszło... kiedy skończył się *zakaz*. Zrozumieć to do końca mogą tylko namiętni graficyarze, albo nieśmiali cudzołóżnicy. Niech pozostanie moją tajemnicą, czy do którejś z tych grup należałem, albo należę.

A teraz coś z rzeczy zupełnie nieprawdopodobnych. W całym akademiku nie było ani jednego telefonu komórkowego... A jednak przeżyliśmy!

Nie było też ani jednego telewizora w pokoju studenckim. Ale do czasu... Do czasu, aż z moimi kolegami z pokoju zapragnęliśmy oglądać awangardowe „Studio-2”. Kończyliśmy drugi rok studiów, był maj 1977 roku. Chociaż telewizor był mały (ale nie najmniejszy) i czarno-biały, wydatek i radość były duże. A większą część pieniędzy, potrzebnych na ten zakup, zarobiliśmy na przeładunku wagonów. Do końca roku akademickiego oglądaliśmy telewizję prawie w konspiracji, wyciągając telewizor z szafy. Ale po wakacjach poszliśmy na całość – wybrane programy oglądaliśmy w towarzystwie wielu gości. Kiedy, po jakimś czasie w telewizorze coś się zepsuło i telewizor przestał do nas mówić – my mówiliśmy do niego. Do oglądanych obrazów podkładaliśmy swoje dialogi i... wszystko było jak trzeba, a goście bawili się jeszcze lepiej.

Bawiła się też cała społeczność akademicka, łącznie z naszymi nauczycielami, oglądając kolejne premiery studenckiego kabaretu „Chata za wsią”. Widziałem nieraz ze sceny, że wielu, nawet poważnych członków społeczności akademickiej, rozbawialiśmy do łez. Podbudowani dobrym przyjęciem wśród swoich, w ciągu dwóch lat odwiedziliśmy Warszawę, Kraków, Częstochowę, Opole, Wrocław, kilka razy Lublin. Sprawcą i reżyserem tej „zbiorowej niemocy” był Jacek Niećko (Legwan). Brał na siebie wszystko. (Dziękuję Jacku za przygodę



z kabaretem.)

Trochę tam po amatorsku grałem, a obok mnie stali najczęściej: Leszek Zachariasz – piano, Janek Bartosik i Waldek Dziaczkowski.

Tu wszedłem już na bardzo osobisty ton moich wspomnień. Ale skoro redakcja daje takie prawo...; bardziej to czuję, niż umiem opowiedzieć.

Moja rodzina z czasu studiowania w Białej to: Leszek Rejter z Kraśnika, Waldek Sasin ze Starachowic, Janek Stankiewicz z Wyszkowa. Ja przyjechałem z Czarnej Białostockiej. Spotkaliśmy się raczej przypadkowo. Przyjechaliśmy z różnych regionów Polski, każdy z innego

domu i środowiska. Mieliśmy za sobą różne doświadczenia, zwyczaje i charaktery, a mieszkaliśmy razem bez choćby jednego ostrego sporu przez wszystkie lata studiów. I nie chciało się tego kończyć. Bardzo blisko z nami byli: Janek Obszański i Zbyszek Seremak.

Od początku, wszystko co przywoziliśmy z domów – smalec, kiełbasa i szynka, konserwy, ciasta i owoce – łądowało na wspólnym stole. Dzieliśmy się każdą zdobyczą: informacją, książką, mlekiem, winem. Nasz pokój bywał na zmianę: czytelnią naukową, siłownią, salonem z telewizorem, lokalem biesiadnym, pokojem gościnnym... i oczywiście DOMEM.

I chociaż w ostatnich latach, zajęci swoimi rodzinami i „karierami”, nie spotykamy się tak często jak w pierwszym dziesięcioleciu po studiach – nadal jesteśmy RODZINĄ.

Łączyło nas wiele, bo dzieliśmy wszystko. TO BYŁY CZASY!



Marek Jobda



## WSPOMNIENIA

**M**ÓJ okres studiów w Białej Podlaskiej to 1976 r. Studiowałem tu tylko jeden rok. Później byłem w Warszawie. Jednak wszystko, co najmilej wspominam, związane jest z Białą. Koleżanki i koledzy, którzy tworzyli wspaniałą atmosferę mieszkali w akademiku. To była jedna wielka wspaniała rodzina. Nie sposób wymienić wszystkie nazwiska, ale Bolek Krawczyk, czy Wiesiek Pomirski, Jarek Mazur, z którymi byłem najbliżej, tworzyli m.in. tę wspólnotę. Przeżyliśmy wspólnie wiele cudownych momentów, najbardziej jednak zapamiętałem chwile pełne komicznych sytuacji z Bolkiem Krawczykiem.

Razem z Bolkiem jeździliśmy na koniach w Janowie Podlaskim. Byliśmy też tam na wakacyjnym obozie jeździeckim. Jego łatwość nawiązywania kontaktów powodowała, że po paru dniach wszyscy nas



Ja i moje sympatyczne koleżanki.

znali, a przede wszystkim miejscowe dziewczyny. Bolek, jak pamiętam miał wówczas nowe spodnie levisa, które kupił za ciężko zarobione pieniądze. Wracaliśmy rowerami z centrum Janowa do naszej bazy namiotowej. Bolek, oczywiście z nowo zapoznaną dziewczyną, którą zabrał ze sobą na ramę. Po chwili zatrzymujemy się, widzę jak Bolek ratuje się przed wywrotką. A co się okazuje – spodnie wkręciły się w łańcuch okrutnie je niszcząc. Mój przyjaciel niewiele myśląc, chcąc „przyszpanować” dziewczynie bez zastanowienia powiedział: „Słuchaj kochanie, nie ma powodu do zmartwienia, mój ojciec jest kapitanem żeglugi wielkiej i właśnie dzisiaj przy pływa do Gdyni i miał mi przynieść dwie pary nowych spodni”. Taki był mój wspaniały kolega, mistrz sytuacyjnego dowcipu. Pozdrawiam Jego oraz wszystkie koleżanki i kolegów, z którymi przeżyłem równie sympatyczne i radosne chwile.



## ROK 1977

**Z** WIELU ciekawych sytuacji, które przeżyłem, będąc studentem białskiej FAWF, tylko niżej zaprezentowane przeszły przez cenzurę.

Kolega Tomasz Gielzak, po powrocie siostry z Francji, otrzymał w prezencie radio „AMATOR STEREO” (ówczesny hit sprzętu RTV) oraz dwie kolumny. Noc sobotnio-niedzielną, po wygranym meczu, miejsce blok „C” żeński, pokój „zaprzyjaźniony” godz. 4.00 rano. Przed drzwiami meldują się trzej zawodnicy AZS sekcji piłki nożnej i ogłaszają, informują lub wręcz nakazują, trzymając w rękach radio i kolumny, mieszkankom tego pokoju: „Ja napastnik Tomasz Gielzak, bramkarz Jan Makowiecki i kontuzjowany, chociaż sprawny pomocnik Leszek Cicirko oznajmiamy, żądamy natychmiastowego otwarcia drzwi, bo chcemy, pragniemy i zrobimy w tym pokoju dyskotekę”. Drzwi zostały otwarte i dyskoteka trwała „tylko” do 7.45 następnego dnia (tj. poniedziałek), ponieważ o godz. 8.00 rozpoczynały się zajęcia dydaktyczne.

\*\*\*

Pokój w DS blok „A” męskie spotkanie towarzyskie kolegów z rocznika u kolegi Jurka Bojki „Gwarka”, którego odwiedził, znajomy z Białej Podlaskiej, głuchoniemy Kazio. Ów Kazio, w trakcie imprezy, nieco zaniemógł i położył się spać wcześniej, prosząc „Gwarka” (który znał mowę migową) o obudzenie go o godz. 5.00 rano, ponieważ szedł do pracy. Po imprezie, gdy wszyscy usnęli, ok. godz. 7.00 obudził nas głośny tumult i nieartykułowane pokrzykiwania. To zdenerwowany Kazio szarpał „Gwarka” za to, że ten nie obudził go do pracy. „Gwarek”, zachowując zimną krew, wskazał głuchoniememu Kaziowi na budzik, który ustawił dokładnie na 5.00.

\*\*\*

Sala Gier. Mecz piłki siatkowej kobiet. W drużynie AZS AWF gra jedna z czołowych zawodniczek Dorota F. „Doris” narzeczona Tadka G. „Tadeo”, który siedział na ławce zawodniczek rezerwowych tuż przy siatce.

W jednej z akcji meczowych do zbitcia piłkę (w bardzo dogodnej sytuacji bez bloku), otrzymuje „Doris” i uderza w aut. Narzeczony „Tadeo” wykrzykuje na całą salę „Ty krowo!”. Reakcja natychmiastowa „Doris”, która podbiega do Tacka i głośno pyta „COOOO?!” Następuje spokojna odpowiedź Tacka: „Moja Kochana”.

Niedługo po tym fakcie para pobrała się i „Tadeo” rozpoczął pracę jako kelner u swojego teścia w kawiarence „Agatka”.

**Jan Szwiec**  
absolwent 1980



## Z PAMIĘTNIKA ABSOLWENTA...

**U**RODZIŁEM się w pięknym mieście Hrubieszowie, tam ukończyłem Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Staszica i tam rozpocząłem treningi w grupie lekkoatletycznej pod kierunkiem p. Andrzeja Kulczyńskiego. To on zaszczepił we mnie miłość do sportu, to on sprawił, że dziś jestem magistrem wychowania fizycznego (z 25 letnim stażem).

Jeżeli chodzi o związek z Białą Podlaską, to mój kontakt z tym miastem rozpoczął się w roku 1971. Przyszło mi wtedy do głowy zdawać na AWF do Warszawy, ale srogo się rozczarowałem, gdyż niedociągnięcia w kwestii warunków przyjmowania i egzaminów spowodowały, że nie przyjęto mnie do Warszawy i podrzuciono moje podanie do Filii AWF w Białej Podlaskiej.

Przez następne cztery lata, a nawet pięć, przyjeżdżałem do Białej na zawody LA i do swojej dziewczyny Elżbiety, którą poślubiłem w rocznicę napaści „ruskich” na Polskę – w dniu 17 września 1977 roku.

Rok wcześniej w dniu 2 lipca moja przyszła żona zdawała egzamin końcowy „na magistra”, a ja egzamin wstępny z biologii u pani mgr Popczyk. Ona zdała i ja zdałem. Ona już pani magister, a ja, mając w kieszeni dyplom technika drogowego, I klasę w maratonie (2. 36' 06'') dostałem się na studia w Filii AWF w Białej Podlaskiej. Ponadto miałem za sobą dwa lata służby w Ludowym Wojsku Polskim.

W dniu 01. 10. 1976 r, otrzymując indeks z rąk pana doc. Antoniego Olszowskiego i pana dziekana doc. Kazimierza Czajkowskiego, rozpocząłem piękny okres studiów. Swoje wspomnienia chcę opisać w trzech kontekstach;

- nauka;
- działalność w SZSP i AZS;
- działalność rozrywkowa, kulturalna i inne.



W kwestii nauki niewiele mam do powiedzenia. Uznałem, że tak czy inaczej ze studiowaniem jakoś sobie poradzę. Niemniej jednak muszę powiedzieć, że gdyby nie pomoc Stasia Borowicza (lekkoatleta-biegacz), to pp Danilkiewiczowie nigdy nie zaliczyliby mi biologii i anatomii. Pozostałe naukowe przepychanki to oczywiście medycyna sportu i biomechanika u doc. Bukwały. Nie wspomnę o „cyrkach” na tzw. polityce u mgr Krajewskiego, który mylił transporty radzieckie z miofibrilami, a zespół The Beatles z oficerami z grupy NATO – wrogiej do naszej ukochanej grupy Układu Warszawskiego.

Oddzielną historię stanowiło szkolenie wojskowe. Odbywając dwuletnią służbę w LWP, na mocy zarządzenia, nie podlegałem szkoleniu wojskowemu studentów. Ale to jakoś umknęło uwadze naszych „generałów”. Przy odczytywaniu listy obecności, na słowa prowadzącego: „Student Szwiec”, mój kolega Tadek Gołofit posyłał następujące teksty; „niech mu pan major naskoczy...”, „nie kazał się budzić...”, „ma wojsko w d...”. Pan major Jakubowski zgłosił do pana dziekana, że student Szwiec nie chodzi na zajęcia. Pan dziekan mnie wezwał i w obecności pana majora oznajmił, że jestem skreślony z listy studentów. Gdy pokażalem panu dziekanowi książeczkę wojskową powiedział: „Panie majorze chłopak dwa lata był w wojsku, a Pan mi d... zawraca, nie umie pan czytać czy co”? Major wyszedł, a pan dziekan poczęstował mnie herbatą.

Nauka to jedno, ale trzeba było też jakoś zagospodarować czas wolny. Nie piłem, nie paliłem, balangi mnie nie interesowały. Z mety rozpocząłem treningi w AZS. Stworzyliśmy grupę biegaczy; ja, Małaczek, Bytniewski, Kawalko... Trenerem został Stasio Borowicz. Treningi wypełniały mi czas od 14. 00 do 17. 00.

Udzielaliśmy się też w różnych dziedzinach życia studenckiego działając w SZSP (Socjalistyczny Związek Studentów Polskich) – *innego wtedy nie było – przyp. red.* Rada Uczelniana SZSP mieściła się w pokoju bloku A, za portiernią.

Pamiętam te wszystkie przepychanki z partią, ich „warunkami”, do których nie mieliśmy przekonania. Zamknęliśmy się w swoich spra-

wach. Przypominam sobie spotkanie z ówczesnym I Sekretarzem PZPR w Białej Podlaskiej Józefem Oleksym, który mówił: „Towarzysze studenci daję wam słowo, że za rok wskoczycie do krytego basenu. Ja, sekretarz wam to mówię.” Wówczas ja zadałem mu pytanie; „Co będzie, gdy wasza głowa trafi na beton bo wody tam nie będzie”? Oleksy zdziwił się i odpowiedział; „Nie bądźcie pesymistami”.

Jak pamiętam, w SZSP, działaliśmy w dość dużej grupie, tj. E. Pawłowski, W. Dziaczkowski, J. Niećko, T. Jaślikowska, J. Sadowski, R. i W. Karniacy, A. Kamiński, B. Krawczyk, D. Pachocka, taka mała Anka i inni. Zaczęłem działać na polu administracyjnym. Zostałem przewodniczącym Rady Mieszkańców i Komisji Stołówkowej. Razem z „Karniakami” staraliśmy się coś zmieniać w akademiku. Pani doc. Nałęcka (dziekan d/s studenckich) i pani Wanda Kamińska (kierowniczka DS) szły nam na rękę i pomagały w naszych działaniach. Urządziliśmy pokoje telewizyjne na poszczególnych piętrach (telewizory marki RUBIN 707, waga 75 kg), organizowaliśmy dyskoteki „dla ludu” – byliśmy „ochroniarzami”, ale też bawiliśmy się.

Wkurzało mnie ciągle narzekanie dziewczyn z bloku C na to, co działo się za oknami (tam, gdzie kiedyś były koszary wojsk radzieckich). Był taki przypadek, że kapała się koleżanka będąca w ciąży a obserwował ją zbczeniec za oknem. Złapaliśmy go i oddaliśmy pod „opiekę” koleżankom. Dopiero wtedy zobaczyłem, co potrafi kobieta. Jak one się nad nim pastwiły. Musiał sprzątać na kolanach, one wylewały mu wodę, a on ją zbierał. Więcej go już nie widziałem. Pod koniec mojego pobytu w AWF namówiłem panią Kamińską i przenieśliśmy studentki do bloku A. I zapanował spokój.

Mieszkałem w pokoju 114 B wraz z Waldkiem Dziaczkowskim, Jackiem Niećko i Bolkiem Krawczykiem.

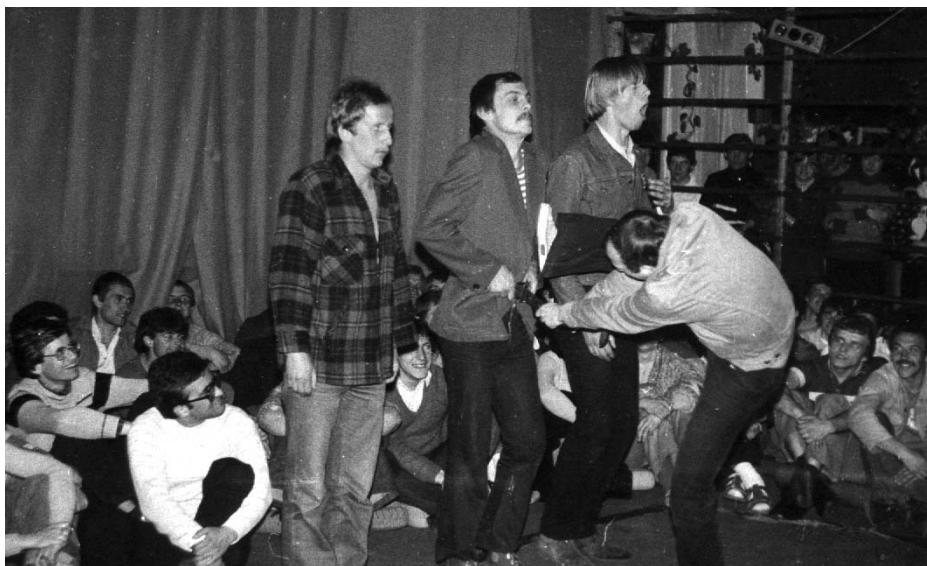
O samym pokoju mógłbym napisać książkę. Tam zrodził się pomysł stworzenia kabaretu studenckiego; nazwaliśmy go „Chata za wsią” i rozpoczęliśmy próby w klubie „Meta”. Szefem został Jacek Niećko (z lewej na fotografii na następnej stronie u góry).

Jedną z czołowych postaci w kabarecie był kolega Waldek Dziaczkowski „Dziako”.

Historia jego studiów to ewenement w dziejach Filii AWF w Białej Podlaskiej. Dziaka” znali wszyscy. Był lekkoatletą, biegał 400 m (około 48 s), był zakochany w Dorocie. Miał duszę artysty. Przez cztery lata był na I roku. Niby „rachunek” się zgadzał, do szczęścia zabrakło jedynie dyplomu. Indeks miał, a jakże, aktualny. Na bieżąco wpisywaliśmy mu oceny i zaliczenia. Wszystko z pieczętkami, jak się należy – od czasu do czasu ojciec zaglądał do indeksu. I pewnie cała ta sprawa nie







Kolejne premiery kabaretu ściągały do klubu tłumy widzów (studentów i kadry).



„Dwie oktawy wyżej” – program z lutego 1978”,  
wśród widzów nasz ukochany dziekan doc. Kazimierz Czajkowski.

wyszłaby na jaw, gdyby nie fakt, że Mańka Pogorzelec (Bilska) przegapiła listonosza, który wrzucił do skrzynki państwa Dziaczkowskich zawiadomienie o przyjęciu syna na I rok studiów (a był to rok 1980, w którym syn powinien otrzymać dyplom ich ukończenia). Ojciec „Dziaka” przyjechał do Białej. Dla nas, mieszkańców pokoju 114 B, był to szok, dramat, komedia i kabaret w jednym...

W trudnych sytuacjach życiowych nie odmawialiśmy pomocy kolegom studentom. A było tak. Kiedyś „doszło” do nas, czyli p. 114 B, że prowadzący zajęcia z gimnastyki „wahają się” z wpisywaniem ludziom zaliczeń z poszczególnych elementów. Postanowiliśmy im pomóc. Z korytarza otworzyliśmy okna w gabinecie pp. „gimnastyków”. W nocy weszliśmy od strony lodowiska i wpisaliśmy wszystkim biedakom oceny dost. – tzw. „wrony”. Nikt nie wnosił zastrzeżeń... Najważniejszym elementem gimnastycznym wykonanym przez nas podczas „akcji” było „wejście na kółka przez okno”. Ale komedia!!!

Patrząc z perspektywy minionych lat myślę, że oprócz tzw. „numerów” poświęciłem bardzo wiele czasu na uczciwą działalność w Radzie Mieszkańców, SZSP i w kabarecie. Stąd dla siebie miałem niewiele czasu i tylko dwa razy udało mi się wyjechać na wycieczkę; raz z Bolkiem Krawczykiem do Grecji i Turcji (1978) i drugi – do Donbasu na Kaukazie (1980).

## Juwenalia '79

To dopiero była zabawa! Otrzymaliśmy klucze do uczelni od pani doc. Nałęckiej, a klucze do miasta – od Prezydenta. I zaczęło się...

Barwny korowód studentów wyległ na ulice miasta. Nie brakowało nam inwencji w doborze strojów. Nie wchodząc w szczegóły, przez trzy dni bawiliśmy się „pysznie”.

Wiedzieliśmy, że wśród nas są ludzie z SB. Wyławialiśmy ich z tłumu, otaczaliśmy kółkiem i oblewaliśmy ich wodą. Ale były jaja!

Kończąc swoje wspomnienia, wrócę jeszcze na moment do roku 1980. Odbywały się wówczas Igrzyska Olimpijskie w Moskwie. Doszliśmy do wniosku, że będzie dobrze otworzyć w akademiku (A, B, C) Międzynarodowy Hotel Studencki (MHS). Zostałem jego kierownikiem, dyrektorem i Bóg wie czym jeszcze. Decyzja, że na igrzyska nie pojedą wszyscy zrzeszeni w MKOL pokrzyżowała nam szyki, ale ludzie, którzy zajęli się handlem wypełnili pokoje hotelowe. Ponadto, w tym czasie w



Białej, był start i meta wyścigu kolarskiego dookoła Polski. Przyjeliśmy wszystkich. Rowery stały w sali gier, a kolarze spali w akademiku. Pracowaliśmy dniami i nocami w kilkanaście osób. Wyniki finansowe, jakie osiągnęliśmy, były zaskakujące. Wszyscy byli zadowoleni – i uczelnia i my, czyli: „Dziako”, Jacek, Ela, Dorota i inni aktywiści. Po wyjeździe kolarzy panie sprzątające zbierały dwa worki strzykawek po szprycach. Wtedy zrozumiałem, że kolarze „biorą”. Wtedy rozumiałem, że sport nie jest czysty.

Oj, ile można by jeszcze pisać. Z szacunku do innych autorów – pozostawię im trochę miejsca.

**Jolka Maryńczak**  
absolwentka 1981



## Wspomnienia

### EPIZOD I

A było to tak..., ech jak było... Ten akademik... Te cudowne czasy... I tyle tych wspomnień, że nie wiem, które z nich przelać na papier... A było to tak...

Wiosna 1979 roku...

Balanga odbywała się, jak zwykle, w pokoju 209 C, a było nas tam... „multum, wiele”.

Co i raz wznoszone były toasty: „Biała gola natychmiastowo” a Tomek Ź. „Lew Parkietu” porywał wszystkie „lale” do tańca... Ach cóż to były za pąsy... A sesja za pasem!!!

Zza ścian słychać stukot. Wszyscy kuja, poza tymi..., którzy są z nami w transie relaksacyjnym... W końcu wiedzę nabyliśmy, pilnie uczęszczając na wykłady i ćwiczenia, a zwłaszcza do Pana Docenta Bukwały. Ale zostawmy ten wątek...

W końcu w naszym pokoju byli sami prymusi i inni..., nie mniej zdolni studenci.

Żar gorących dyskusji naukowych i nie całkiem takowych, zmusił mnie i moją przyjaciółkę Irenkę do zaczerpnięcia świeżego powietrza. Rozważaliśmy różne możliwości przejścia się na spacer wokół akademika; kusząca propozycja, ale... perspektywa zejścia aż z II piętra, podsunęła nam inne rozwiązanie. Ten sam cel osiągniemy siedząc na parapecie przy otwartym oknie. Wdychając orzeźwiający powiew nocy, zauważyliśmy, całkiem niechcący, szpiegujące nas i nasze okno dwie postacie. Stwierdziłyśmy więc z moją Irenką, że z perspektywy chodnika nie wiele widać i dałyśmy propozycje „nie do odrzucenia” mówiąc: „Co będziecie zadzierać głowy, chodźcie do nas drogie Panie, 209 czeka”.

Jako się rzekło, tako się stało. Po chwili usłyszeliśmy energiczne pukanie do drzwi. Jedni krzyczeli „Wlazł – otwarte” inni „Nie pękaj, zachodź”, zaś poniektórzy, „Czego ? Komplet!!!”.

Uchylające się drzwi odsłoniły nam dramatyczną rzeczywistość. Dwie anonimowe postacie okazały się być Panią Dziekan Nałęcką i Panią kierownik akademika, ukochaną naszą Wandzią Kamińską.

Usłyszawszy słowa wchodzących Pań: „Byłyśmy zaproszone, więc jesteście”, w oka mgnieniu przetransponowaliśmy teorię, zdobywaną w wielkim trudzie na Uczelni w szarą rzeczywistość. Nie bez kozery Docent Danilkiewicz głosił nam, że „konia z rzędem temu, kto zda anatomię w pierwszym terminie” (a udało się to tylko, na stan mojej wiedzy, studentowi J. Sadowskiemu).

I nagle to, co było teorią na wykładach, przekształciło się w rzeczywistość.

Całe moje ciało doznało wstrząsu anatomicznego. Stojąc na baczność, w skurczu i zdrętwieniu stresowym, zwłaszcza rąk, przypominałam sobie wierszyk:

*Lódka płynie  
Księżyc świeci  
Trójgraniasty groszek leci  
Większa z mniejszą się złączyły  
Główkę na haczyk włożyły.*

Ale nic tu po wiedzy. Stres stresem. Nasi ostatni goście, zaproszone przez nas Panie, wydały wyrok jednoznaczny. Studentki z pokoju 209 zostają „natychmiastowo” relegowane z akademika. I znów sprawdziło się staropolskie przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie”.

Przecież niejednokrotnie ostrzegał nas ówczesny Przewodniczący Rady Mieszkańców, a obecnie Doktor w Ważnej Katedrze na Naszej Uczelni, Waldemar W. słowami: „Dziewczyny uspokójcie się” lub „Dajcie sobie siana” przewidywał, już wtedy, jakie grożą nam konsekwencje.

I stało się.

Następnego dnia, ze spuszczoneymi głowami, objuczone bagażami, wyprowadzałyśmy się z naszego ukochanego pokoju 209 C w akademiku AWF.

P.S.: Dzięki wyrozumiałości ówczesnych Władz Uczelni, na nasze błagalne prośby, po okresie „waletowania”, wróciłyśmy szczęśliwie, do swojego 209.

## EPIZOD II

Kiedy dzisiaj przechadzam się po Naszej Uczelni, to wracają tamte dni...

Te luksusy z ciepłą wodą puszczaną w akademiku na...5 minut i na określone hasło...

„BOCHENEK!!!!... WODA!!!”

My namydlone i kto pierwszy ten... czysty, reszta namydlona...!!!

Ech ta woda...

Tak nam jej brakowało. Niestety, nie było jeszcze basenu w naszym kompleksie uczelnianym.

A my „ludzie – ryby” tak ją kochałyśmy. Spotykały nas wtedy cudowne okresy, gdy wywożone byłyśmy na, tak zwane, obozy pływackie. Pierwotnie na „pływalnię” do Ostrołęki, a następnie do odległego Centrum Sportów Wodnych w Puławach z super wieżowcem, jak nam się wtedy wydawało, hotelem „Izabella”. A Puławy, miasto rodzinne ówczesnego asystenta wszelkich sportów mgr Stanisława Kędry, zrobiło na nas niesamowite wrażenie. Niestety w rywalizacjach poza sportowych wygrała „Nasza Basia Kochana...”.

Ale wracam z największym sentymentem do tych pierwszych poważnych kąpiei akademickich.

Obóz pływacki w Ostrołęce, jest to rok 1977. Kto to może dzisiaj, zrozumieć...?

My wystraszone, z przetestowanymi zadaniami pływackimi (style i skoki) oczywiście na sucho, w pokojach akademika, stawiliśmy się, na własną ręką pod wskazanym adresem. Ostrołęka pachniała wtedy... „Bakutilem” i już nam się odechciało, poczułyśmy się jak ten nieszczęsny surowiec, przetwarzany przez ówczesnie czołowy zakład miasta. Skazane na zagładę.

Ale cóż nam... walczymy...!!!

Emocje wynikające z zadań dnia następnego nie dają nam spać... Więc sięgnęłyśmy do naszej wypróbowanej metody. Parę koktajli, podtrzymujących nas na duchu, dało nam wiarę w siebie. Jutro pokonamy wszystkie trudności!!!

Następnego dnia, przebrane w obowiązkowe białe kostiumy kąpielowe i w zbyt obcisłe czepki, sprawiające niesamowity ból głowy, stawiliśmy się jak jeden mąż na basenie.

I zaczęło się:

Kraul A – zal.; kraul B – zal.; klasyk (żabka) – zal. Pozostaje tylko nieszczęsny skok na nogi z trzymetrowej wieży. Niestety, tego zadania nie dało się przećwiczyć wcześniej w akademiku.

Przerażona spoglądam jak jedni, z sobie tylko wrodzoną odwagą i gracją, sunąc po schodkach w górę i z uśmiechem na twarzy wykonują to zadanie. Inna grupka „skazańców-samobójców” powieli wyczyn tych wcześniej wymienionych z... zamkniętymi, tak jak moje, oczami...

I nagle zostałam sam na sam z „Wujkiem” Wyciszkwiczem u stóp „tej strasznie wysokiej wieży”. Byłam sparaliżowana. Wejście na górę, nie mówiąc już o samym skoku, było dla mnie, z jednej strony zadaniem

niewyobrażalnie niewykonalnym, z drugiej zaś – znaczyło nie zaliczenie egzaminu z pływania, a w konsekwencji nie zaliczenie roku.

I wtedy na wysokości zadania stanął mgr Wyciszekiewicz. Niczym Zagłoba użył fortelu mówiąc:

„Jolka, nie będziesz musiała skakać. Wejdz tylko za tę bramkę, po schodkach na górę i tylko sobie popatrzysz”. Ulegając perswazjom i namowom „Wujka”, drżącymi nogami wchodziłam jak na skazanie.

Stojąc już na krawędzi platformy wieży, spoglądając w bezmierną otchłań błędnym wzrokiem, usłyszałam szyderczy śmiech za plecami: „Już nie masz dziecińca odwrotu, bramka jest zamknięta, a przed tobą tylko... SKOK!!!”. W głowie mi zawirowało obrazami wszystkich przeżyć, pożegnałam się w myślach z całą rodziną i runęłam nogami w DÓŁ... UDAŁO SIĘ !!!

Ach, jaka byłam z siebie dumna.

Dwa skoki w jednym...

Pierwszy i OSTATNI!!!!

### **EPIZOD III**

#### **„Walka Młodych”**

Już dziś nie ma w kioskach tej cudownej gazety pod tytułem „Walka Młodych”.

A przecież w pewnym okresie pobierania nauk wszelkich, ubarwiła niesamowicie nasze szare, monotonne studenckie życie, nie mówiąc już o radości, jaką sprawiła Poczcie Polskiej.

Zaczęło się jak zwykle niewinnie, od „wojska” (OC). Po tradycyjnym, obowiązkowym „Czołem studentki!” i odzwie „Czołem ...telu ...tanie!” rozpoczęły się nader fascynujące zajęcia. Kpt. Badach i płk Jakubowski z dużym zaangażowaniem wprowadzali nas w tajniki obrony cywilnej. Oczywiście chyba dla wszystkich był fakt, że zaangażowanie dotyczyło tylko wykładowców. Nas bardziej interesowały zajęcia w terenie, takie jak inspekcje w Jednostce Lotniczej czy ostre strzelanie (ze ślepaków) na tzw. strzelnicy. Tego pamiętnego dnia, niestety zajęcia odbywały się tylko w piwnicznej sali wykładowej. A ileż można te rzęsy na „zalotce” podkreślać...? A ileż można zrobić swetrów na drutach...?, ileż wierszy napisać...? Dlatego też moja koleżanka Barbara Juszczyk, znudzona utrwalaną wciąż wiedzą, sięgnęła nieopatrznie po – jedyny – unikalny na naszej Uczelni egzemplarz „Walki Młodych”. Ach cóż to była za lektura... a jaka inspirująca...?



I wtedy mojej Basi przyszedł do głowy niesamowity pomysł. Jak przyszedł... to go zrealizowała. Wzięła tedy zdjęcie najpiękniejszej studentki Basi Kowalczyk, opatrzyła je odpowiednim anonsem z adresem zwrotnym na AWF i wysłała do wyżej wymienionego periodyku, do rubryki „Poznajmy się”.

A co się potem działo...!!!!

Poczta Polska „nie wyrabiała na zakrętach”, listonosz się zbuntował. Przed akademik podjeżdżały busy z żółta trąbką na bocznych ścianach. Pod skrzynką na listy obok Klubu „Meta” stały worki z korespondencją do naszej uroczej Basi. Pisała „Cała Męska Polska”, rekruci wojskowi, adepci ze szkół milicyjnych, i cała młodzież odcięta od świata przez, nie zawsze słuszny wymiar sprawiedliwości. Problemy dopiero się zaczęły... W pułapkę pozornie niewinnego dowcipu wpadłyśmy my!!! A więc: autorka pomysłu, Teśka Jaślikowska, Marysia Żmigrodzka, Majka Rajchenbach, Kaśka Cepryńska i niżej podpisana oraz wiele innych, którym drobne kieszonkowe starczało na koperty i znaczki z odpowiedziami. Nie będę się rozwodzić na temat szczegółowych odpowiedzi, aczkolwiek warto wspomnieć np. o niejakim „Fałszerzu” z „Montelupich” z Krakowa. Tylko 9 lat dostał za prywatną mennicę, to byłby dobry kandydat na męża i problemy finansowe, albo niejaki szeregowy Zenek z Jednostki Karnej z Orzysza, który gotów był natychmiast opuścić wojsko i przyjechać do Białej. Ale generalnie Basia (pomysłodawczyni dowcipu) – zapraszała wszystkich absztyfikantów do Lublina do „Czarciej Łapy” na Krakowskim Przedmieściu, znakiem rozpoznawczym był „czerwony goździk”.

Lubelskie kwaciarki nie wiedzą do dziś, komu zawdzięczają bujny rozkwit swoich biznesów.

#### **EPIZOD IV**

#### **„Zespół Czarne Okulary”**

Sentymenty z czasów szkoły średniej przetrwały...

A życie pisze nowe scenariusze.

Spotkałam się z Teśką Jaślikowską na naszej Uczelni i... jako były Chełmianki uzdolnione wokalnie, co certyfikują liczne solowe występy ze Szkolnym Zespołem Muzycznym L.O. Nr 1 (Jedna Ci ja jedna jak gruszcza w polu...; Gdybyś kochał mnie, choć trochę hej !!!... i wiele innych ówczesnych przebojów) i z chórem szkolnym, założyłyśmy tedy, w pokoju 202 C „Zespół Czarne Okulary”. Myśl była przednia, a plany podboju lokalnego rynku rozrywkowego, a potem wejście na festiwal do Opola i Sopotu zmuszały nas do intensywnej pracy u podstaw. Ćwiczyłyśmy zatem zawzięcie, nie bacząc na rzucane nam pod nogi kłody,

mając do dyspozycji zamiast mikrofonów dezodoranty „Zielony Wiatr” lub grzałki do gotowania wody.

Nasze stroje „estradowe” składały się z czarnych trykotów gimnastycznych, na to „szły” białe kostiumy pływackie, na głowach bereciki z „antenką” i oczywiście czarne okulary!

Wykorzystywałyśmy każdą wolną chwilę, by stać się, w oczach impresariatu „Estrady Polskiej” odkryciem ROKU. A wtedy nasze marzenia i plany mogłyby się zrealizować. Liczne stukania w ściany odbierałyśmy jako pełną akceptację dla naszych poczynań i jako dodatkowy impuls do dalszej wytężonej pracy.

Menadżerem naszym, jak nam się wtedy wydawało, był przyjaciel pokoju Bolek Krawczyk. To ten sam, „syn Warmii i Mazur”, co po którymś z obozów zimowych, tak pokochał narty, że nawet w lecie się z nimi nie rozstawał i potrafił wejść w nich na drugie piętro w czasie naszych prób.



Pierwsza z prawej autorka wspomnień, drugi z prawej „menadżer”.

Plany i marzenia to jedno...

A wtedy nie wiedziałyśmy, jaki jest ogrom nauki przed nami...

Te kolokwia..., egzaminy... zabierające nam cenny czas, niestety systematycznie chłodziły nasz pierwotny zapał do prób wokalnych, a czarne plastikowe okulary pokrywały się coraz częściej kurzem...

Nie mniej, przy każdej nadarzającej się okazji prezentowałyśmy swoje talenty,

Doceniane, niestety, tylko przez współmieszkańców akademika i nie-liczne anonimowe niekiedy osoby, skradające się pod naszymi oknami...

Ale do dzisiaj, jeżeli tylko nadarzy się okazja, śpiewamy pełną pier-sią, wtedy utrwalone „kawałki”. A moja, od czterdziestu lat sprawdzona, kochana, jedyna przyjaciółka – powierniczka, ciągle śpiewa pierwszym głosem.



**Jacek Krakowiak**  
absolwent 1981



## MOJE WSPOMNIENIA

**P**RZYŁĄCZAJĄC się do prośby o napisanie jakiegoś ciekawego wspomnienia, które zapadło w sposób szczególny w mojej pamięci, to powiem tak: było ich wiele i trudno mi jest wybrać. Ale najbardziej zapamiętałem swój pierwszy egzamin z historii kultury fizycznej u Pana doc. Borejszy.

### Zimowy egzamin

Starsi koledzy z drużyny piłkarskiej, którzy mieli już za sobą ten egzamin, robili sobie z młodszych kolegów żarty – „jaja”. Twierdzili, że egzamin to tylko „spacerek”- „...za samo wejście masz 4, a jak powiesz jak się nazywasz, to dostaniesz 5”. „Radzili”, abym wszedł na egzamin z kolegami, którzy byli ciężarowcami, ponieważ Pan docent był zwolennikiem tężyzny fizycznej oraz wychowania w spartańskich warunkach i dlatego przychylnym okiem patrzył na ciężarowców.

Wzbogacony o takie rady i pełen nadziei udałem się na egzamin z trzema kolegami, którzy uprawiali ciężary. Chcę przypomnieć, że do egzaminu podchodziło się czwórkami. Niestety, po trzech pytaniach, na które starałem się odpowiedzieć wyężdżając wszystkie siły, otrzymałem ocenę... niedostateczną. Wyszedłem „wkurzony”, ponieważ prawda okazała się całkiem inna. Gdzie ta „4” za wejście?! Teraz wszystko okazało się jasne: starsi koledzy „wpuścili mnie w maliny”. Byłem całkiem zrezygnowany. Pierwszy egzamin i od razu „gała”. Jak ja powiem o tym mamie i swojej dziewczynie ?

Jednak nie byłbym sportowcem, gdybym od razu się załamał. Postanowiłem wziąć się w garść i przez dwa tygodnie intensywnie przygotowywałem się do egzaminu poprawkowego. Żądny rewanżu oraz świadomy, że mogę już przystąpić do poprawki, chciałem jak najszybciej umówić się z egzaminatorem.

Pan docent mieszkał wraz ze swoimi dziećmi również w akademiku. Często wychodził z nimi na spacer. Pewnego dnia zauważyłem przez okno, że właśnie jest z nimi na spacerze. Tak jak stałem, w sweterku i w klapkach, a była bardzo ostra zima, wybiegłem z akademika, umówić się na egzamin. I to był mój błąd taktyczny, ponieważ mogłem przecież wykorzystać moment, kiedy Pan docent po spacerze będzie wchodził do DS. Pięknie się ukloniłem i przedstawiając moją sytuację, poprosiłem o możliwość umówienia się na egzamin poprawkowy. Pan docent spojrział na mnie i spytał, czy jestem przygotowany. Odpowiedziałem, że uczyłem się, a czy umiem, to okaże się po egzaminie.

Przeszliśmy kilka kroków i ku mojemu zdziwieniu Pan docent wskazał ręką, abym uprzątnął śnieg z ławki i zachęcił do spoczynku. Jeszcze bardziej zdumiony, grzecznie wykonałem wszelkie polecenia.

No i zaczął się egzamin, w nietypowych warunkach przy temp.  $-16^{\circ}$  C, w sweterku bez czapki, w klapkach, przy szyderczych uśmiechach moich kolegów, którzy z okien akademika obserwowali całą sytuację. Najważniejsze, że z odpowiedziami na pytania nie było wcale tak źle, gorzej z siedzeniem na lodowatej ławce. Po 30 minutach zacząłem się trząść z zimna. Ale nie poddawałem się. Pod „siedzenie” podkładałem ręce, albo wykonywałem różne ruchy dla rozgrzewki. Pamiętam tylko, że śmiesznie musiałem wyglądać, gdyż podczas odpowiedzi jąkałem się z zimna. Tymczasem Pan docent często uśmiechał się, a może zadowolony był z moich trafnych i wyczerpujących odpowiedzi? Po 45 minutach już cały trząsałem się jak galareta i wtedy dzieci Pana docenta przyszły mi na ratunek, ponieważ jednemu z nich zachciało się do toalety. Wtedy poprosił, abym jutro przyszedł z indeksem do jego gabinetu.

Nazajutrz nie bardzo mogłem wstać z łóżka, wszystko mnie bolało, miałem katar i gorączkę. Jakoś się pozbierałem i poszedłem z indeksem. A On, ze stoickim spokojem powiedział: „*tak przypominam sobie Pana*” i wpisał mi 4+. Od tego momentu nabrałem doświadczenia, że to, co mówią starsi koledzy, nie zawsze jest prawdą.

**Dorota Frankowska**  
absolwentka 1982



## Z życia siatkarki...

**N**AJPIĘKNIEJSZY moment w moim życiu to ten, w którym ujrzałam swoje nazwisko na liście przyjętych na I rok studiów w AWF w Warszawie Filia w Białej Podlaskiej. Byłam dumna i szczęśliwa, że po kilku dniach zmaganiach fizycznych i psychicznych udało mi się osiągnąć upragniony cel i zdobyć indeks wyższej uczelni.



Turniej w Mogilnie, stoją od lewej: kapitan zespołu Elżbieta Smolińska III rok (Żyrardów), Dorota Frankowska II rok (Biała Podlaska), Anna Słomińska III rok (Białystok), Alicja Słowik III rok (Kraśnik), Magdalena Herman II rok (Kraśnik), Teresa Pieniążek II rok (Nowy Sącz), Alina Kucaba I rok (Nałęczów), Grażyna Ulman II rok (Rzeszów), Izabela Łyjak II rok (Kraśnik), Halina Piotrkowicz I rok (Tomaszów Maz.), Barbara Kozar I rok (Piotrków Tryb.)

Moje życie uczelniane od października 1978 roku obracało się wokół siatkówki, bo byłam jedną z czołowych zawodniczek klubu sportowego AZS AWF Biała Podlaska. Moja drużyna, po szeregu obozów kondycyjno-szkoleniowych, m.in. w Zakopanem, Broku nad Bugiem, Brennej rozpoczęła w sezonie 1979/80 cykl turniejów eliminacyjnych o wejście do II ligi. Turniej finałowy odbył się w kwietniu 1980 roku w Mogilnie (dawne województwo bydgoskie, obecnie kujawsko-pomorskie). Aby uzyskać awans, musiałyśmy wygrać trzy mecze (i wygrałyśmy) oraz pokonać faworyta turnieju drużynę AZS z Gorzowa Wielkopolskiego, naspikowaną reprezentantkami Polski. Cel został zrealizowany, a gorzowianki odprawione 3:0 do domu. Radości nie było końca. Wracałyśmy do Białej „z tarczą”, aby po upojnych sportowych chwilach nadrabiać uczelniane zaległości.



Mecz AZS Gorzów Wlkp. – AZS Biała Podl.)  
0:3 zbijająca Dorota Frankowska,  
asekuracja Halina Piotrkowicz.

Pomimo sukcesów, nie stosowano wobec nas taryfy ulgowej. Zaliczenia i egzaminy zdobywałyśmy i zdawałyśmy wraz z innymi studentami. Ale warto było. To były niezapomniane chwile. Z tego okresu gier o awans do II ligi zachowałam zdjęcia przedstawiające cały nasz zespół.

Mecze II ligowych drużyn żeńskich odbywały się w ustalone soboty i niedziele (mecz-rewanż). Na pierwszy mecz 23.X.1980 r. z gdańską Gedanią sala gier białskiej Filii AWF oblegana była przez miłośników siatkówki. Inauguracja rozgrywek wywołała zrozumiałe zainteresowanie wśród kibiców, którzy od lat czekali na ten dzień. Gedania Gdańsk to był nasz pierwszy przeciwnik. Drużyna o dużych tradycjach, spadkowicz z I ligi. Lekcja była surowa, przegrałyśmy 0:3. W ogóle przyszło nam wtedy grać w bardzo silnej grupie, a trener mgr Kazimierz Rybak dwoił się i troił, aby jego podopieczne mogły sprostać temu zadaniu. A grałyśmy z: AZS AWF Warszawa, Spójnią Warszawa, Sarmatą Warszawa, Polonezem Warszawa, Warmią Olsztyn, Gedanią Gdańsk, Startem Gdynia, Budowlanymi Toruń i AZS Poznań.





Turniej w Tarnowie 5.10.1980, stoją od lewej: Elżbieta Smolińska – „Żaba”,  
Dorota Frankowska – „Franka”, Anna Słomińska – „Słoma”, Alicja Słowik,  
Magda Herman, Anna Lipowska, Iza Łykaj – „Izka”, Halina Piotrkowicz – „Helka”,  
Barbara Kozar – „Wańka”



Turniej w Presov 21.03.1980 r. (wówczas Czechosłowacja). Stoją od lewej:  
Anna Słomińska, Dorota Frankowska, Magda Herman, Halina Piotrkowicz,  
Teresa Pieniążek, Elżbieta Smolińska



Turniej w Lublinie o awans do II ligi. Od lewej: Anna Lipowska, Barbara Kozar, Małgorzata Ciąćka, Halina Piotrkowicz, Dorota Frankowska, Wioletta Pawłowska



Turniej w Tarnowie 5.10.1980 r. stoją od lewej: Elżbieta Smolińska, Dorota Frankowska, Anna Słomińska, Barbara Kozar, Halina Piotrkowicz, Alicja Słowik

Były to bardzo trudne i wymagające wysokich umiejętności technicznych i taktycznych mecze, lecz niestety, pomimo ambicji nie udało nam się utrzymać w II lidze w tym sezonie. Sytuacja z rozgrywaniem turniejów eliminacyjnych powtórzyła się w następnym roku z pozytywnym skutkiem i znowu drużyna, choć ze zmienionym i odmłodzonym składem osobowym, brała udział w drugoligowych rozgrywkach. W lubelskiej AOS bialskie siatkarki spotkały się z zespołem Sokoła Olesno, MKS Warszawa, AZS Lublin wygrywając wszystkie swoje mecze i nie dając rywalkom żadnych szans.

Poza nauką i sportem udzielałam się także w życiu kulturalnym i rozrywkowym naszej uczelni. Szczególnie mile wspominam bal „połowinkowy”, który odbył się 15.11.1980 roku.



Bal „połowinkowy”. Od lewej: Dorota Frankowska, Anna Aleksandrowicz, Ilona Dąbska

Podglądałyśmy również chłopaków na zajęciach na pływalni w Ostrołęce.

Swoje wspomnienia ograniczyłam głównie do sportu, ale przecież przeżyć było dużo więcej. Cóż można powiedzieć... to były wspaniałe lata!

Teraz mój syn „spisuje” swoje studenckie pamiętniki – jest studentem II roku naszej uczelni. Drugi syn w tym roku będzie również zdawał do Białej. To już inne pokolenie, inne otoczenie i wspomnienia też będą inne....



II rok na zajęciach na pływalni w Ostrołęce. Stoją m.in.: Tadeusz Gołofit (mój mąż), Krzysztof Janiak, Robert Madej, Krzysztof Gowin, Leszek Cicirko, Mirek Świeczek – „Bubu”, Andrzej Gołowicz – „Gruszka”, Lech Kownacki – „Boruta” i inni

**Wiesław Bobowik**  
absolwent 1982



## **STUDENCKI KLUB „META” W LATACH 1980-1989**

**K**LUB „Meta” był głównym, w aglomeracji wojewódzkiej, centrum kultury młodzieżowej, dający studentom to, co ich najbardziej interesowało, a mianowicie: zabawę, spotkania z ciekawymi ludźmi, koncerty. Skupiał wokół swojej działalności brać studencką oraz środowisko Białej i okolic.

W tym miejscu chciałbym wspomnieć moją koleżankę poprzedniczkę Bożenę Pawlinę. To ona, swoją osobowością oraz doborem rady klubu, (Wacław Rekść) zapoczątkowała taki charakter działalności, klubu środowiskowego otwartego dla wszystkich bez przywilejów.

Nie pamiętam waśni i bójek, zatargów, odgrążania się, obawy przed wyjściem do miasta przez studentów. Przypominam, że była tu jedyna cykliczna dyskoteka młodzieżowa tzn. sobota, niedziela, gdzie spotykała się młodzież studencka i miejska przy muzyce granej przez Witka Szperę. W roku 1984 powstał w klubie Meta „klub jazzowy”. Spotykali się tam studenci i młodzież szkolna, aby posłuchać mechanicznej muzyki jazzowej w każdy czwartek. Raz w miesiącu koncertowały u nas sławy polskiego jazzu między innymi: Jan Ptaszyn Wróblewski, Krzesimir Dębski, bracia Ścierańscy, Miśkiewicz, Bartkowski, Skowron itd. oraz bardzo dobry zespół bialski prowadzony przez p. Kutnika, który koncertował na scenie „Mety” wiele razy. Koncerty kończyły się spotkaniami z muzykami – było różnie...

Dla miłośników muzyki rockowej organizowane były koncerty takich zespołów jak: Exodus, Manam, CDN Pawła Kukiza, Krzak, Nasza Basia Kochana, Wały Jagiellońskie, John Porter, Grześkowiak, Wolna Grupa Bukowina, Elżbieta Adamiak i Kasa Chorych, która pokochała „Metę” odwiedzając ją wiele razy i zawsze ich koncerty przedłużały się do kilku dni, bo Skiba nie mógł się napatrzeć na piękno sportu a szczególnie „sztafety 4x100”.

Koncertem, który utkwił mi najbardziej w pamięci był koncert po wydaniu płyty „Helikopters” Porter Bandu. Aula uczelni nie mieściła ludzi na stojąco, korytarze przed jak i hol były pełne. To był jedyny koncert, gdzie klub pozyskał saldo dodatnie z biletów.

Z radą klubu: Ewa Budka, Marek Zujko, Piotr Bogusz, Leszek Remiśko, Marek Brzeziński wprowadziliśmy do klubu małe formy teatralne a mianowicie monodramy, przebywali u nas J. Zelnik, O. Łukasiewicz i wielu innych znakomitych aktorów.

Było też śmiesznie, kiedy Waclaw Kowalski „Pawlak” czytał Trybunę Ludu. Kabarety: Długi, 60 minut na godzinę, Poniedziałki itd. kpiły z ówczesnych polityków, John Porter śpiewał liryczne ballady, panowie z teleexpressu debatowali ze studentami o życiu. Maciek Zębaty, po wyjściu z więzienia, zawitał w nasze progi i tak śpiewał, że kiedy o godzinie 23.00 zaschło mu w gardle, rzucił swój kapelusz w stronę studenckiej widowni, a każdy tam coś dał. Zawartość kapelusza przeliczono i skierowano się pod „Dęby” do nocnego marketu. Artysta grał do porannych godzin. Były też niewypały. To co mi utkwilo w pamięci to koncert Piotra Szczepanika, który odbył się w stołowce z powodu remontu klubu. Szczepanik zagrał najkrótszy koncert życia (15 minut). Nie wiedział, że na sali był „Chudy” student trzeciego roku z Suwałk. Po krótkiej dyskusji, którą wszczęli panowie, „Chudy” siedząc wskazał palcem na drzwi i powiedział: „Spier...”. Ten uniósł się honorem i pojechał do swej „bogatej stadniny koni”. Największy „rozkwit” klub miał w stanie wojennym. Widownia była mała, bo tylko mój czwarty rok. W pokojach mieszkało ZOMO – „Fajni chłopcy”. Z winety mieliśmy wszystko „od A do Z”. Wieczory spędzaliśmy razem przy czekoladkach, konserwach, „wodzie mineralnej”, którą nam serwowano na koszt rządu. Pianino klubowe grało nam do rana, a my zgodnie z zaleceniami pisaliśmy prace magisterskie. Często bywało tak, że na apelu porannym zamiast ZOMO-wców stawiali się studenci „stan to stan”.

W tym momencie chciałbym pozdrowić opiekuna uczelni p. Przygodę.

Nie piszę o sprzęcie klubowym, ale o jednym z urządzeń muszę wspomnieć. Jest to telewizor kolorowy marki Rubin. To on, jak magnes, przyciągał studentów o 9.00 rano w sobotę na arcydzieła polskiej kinematografii: „Stawka większa niż życie”, „Czterej pancerni i pies”.

Te filmy potrafiły wypełnić salę po brzegi. Zapewne do dzisiaj nie jeden student pamięta wszystkie ciekawe dialogi, które ożywiały całą salę. W „Mecie” działał dyskusyjny klub filmowy, a pierwszym filmem odtwarzanym na magnetowidzie przez gości zaproszonych z Warszawy był „Błasany bębenek”. Być może filmy sensacyjne wyświetlane w klubie rozbudziły wyobraźnię braci studenckiej w czasie Juwenaliów. Jed-

na ze scen została odegrana na Placu Wolności. Był to napad z bronią (lufy zabetonowane) na Pewex i Komis. Zostały zrabowane lizaki sztuk 2 i cukierki sztuk 4. Odebrano to jako prawdziwy napad, a powiadomiona milicja obywatelska stanęła na wysokości zadania, organizując obławę: (Decyzja KWMO na użycie broni) pierwszy radiowóz, który podjechał pod Komis zauważył wychodzącego człowieka lekko chwiejącego się, który wsiadł do samochodu, a widząc nadjeżdżające następne radiowozy zaczął uciekać. Odbyła się długa gonitwa w kierunku Lublina. Nasi koledzy wrócili do akademika z pochodem juvenaliowym, bawiąc się wesoło. W klubie „Meta” swój koncert grał Andrzej Wojtowicz student II roku, gdy w asyście dziekana pojawili się cicho-ciemni. Po dwóch godzinach od napadu. Przepraszam, w imieniu kolegów, nieznanego kierowcę za odebranie mu prawa jazdy przez MO.

CDN na 40-lecie...

Do zobaczenia

**Ireneusz Chaliburda**  
absolwent 1985



## „Dwa metry na macie”

**O**STATNI wpis zaliczeniowy w indeksie z gimnastyki jest z datą...? – zresztą data nie jest istotna. W każdym razie uzyskałem go znacznie później, niż koledzy z roku.

Trochę dziwne, bo gimnastyka kończyła się na III, a ja wtedy byłem już studentem IV roku.

Historia wpisów z gimnastyki to ciągle warunki...

Jakoś nigdy nie byłem w stanie zaliczyć kolejnych elementów, trudno zresztą być gimnastykiem mając 202 cm wzrostu. Przepraszam, przypomniałem sobie – po pierwszym semestrze nie miałem warunku, ale wtedy dopiero zaczynała się tak naprawdę „przyrządówka”. Później było już tylko gorzej. Na V semestrze były zawody gimnastyki przyrządowej, czyli: skok, poręczce, drążek i niestety ćwiczenia wolne.

Niech mi ktoś powie, jak ja to miałem zaliczyć? Poręczce nie podnosiły się tak wysoko, żebym nie zaczepiał nogami o podłoże, na drążku przy wjeździe zaczepiałem d... o ziemię, a zrobienie układu na ćwiczeniach wolnych, dodając do tego muzykę, graniczyło z cudem. Skok to ja miałem całkiem niezły, ale samym skokiem nie zalicza się zawodów.

Problem tkwił jednak gdzie indziej. Zawody to była feta, na którą przychodziła cała uczelnia. Pierwszy rok przychodził, bo byli ciekawi, co ci starsi potrafią, II – bo za rok oni będą startować, III startował, ale dziewczyny stawiały się w komplecie, IV – „łoża szyderców”, no i kadra łącznie z rektorem i dziekanami. Sala gier (nie było tych wszystkich nowych obiektów) była zawsze „nabita”, a akademik pusty. Dopiero po zawodach zaczynały się imprezy, wszystko miało swoją kolejność. No i co, ja miałem pójść startować? Nigdy!!!

Student Chaliburda miał ITS (indywidualny tok studiów) i to był mój ratunek, nie wystąpię na zawodach, a później, w zaciszu sali gimnastycznej, jakoś zaliczę te cholerne zawody. Tak mi się wtedy wydawało, ale to był błąd opieszałości. Minał rok, a „Wiśnia” nie miał zamiaru się ugiąć...



Późna jesień, na sali zawody III roku w gimnastyce, a ja idę w zaparte. Godzina 16.00, jak zwykle trening, tym razem siła, (lekkoatleci mieli treningi siłowe na jeszcze nie przebudowanej hali). Rozstawiłem stojaki, przyniosłem „fajery” i robię swoje, oczywiście jako jedyny z grupy, reszta poszła na zawody gimnastyczne. Wyciągnął mnie spod sztangi! Kto? mgr Wiśniowski. Do dzisiaj słyszę jego słowa „Chaliburda, jak nie wystąpisz dzisiaj w zawodach, to dopóki ja tu jestem, ty nie zaliczysz gimnastyki”. On tu dalej jest, a ja zaliczyłem, ale niestety musiałem wziąć udział w tym kabarecie (oczywiście to ja wystąpiłem w głównej roli).

Niestety, szybko do akademika, biały strój i dołączono mnie do jednego z zastępów. Kiedy pojawiłem się na sali, to już był hit dnia. Krzyki „Aki do boju!” itp. strasznie mnie zmobilizowały. Miałem cykora jak juniorek, chłopaki z III roku patrzyły na mnie jak na zjawisko, a „Wiśnia” z kamienną twarzą. Gołymi rękami bym go..., tylko kto mu da radę?

Zacząłem od poręczy, rozgrzewka, już wtedy widownia miała problemy, ale kiedy wywołano moje nazwisko, ...no cóż podejście do przyrządu, gleba, wejście, znowu gleba. Nie powiem, skończyłem układ (wymyślony na poczekaniu) zeskokiem najprostszym jaki był możliwy, oklaski i czekam na ocenę. Była raczej skromna, za to brawa i krzyki na widowni, przeciwnie.

Przejdźcie na drażek, który sędziował mgr Szyper.

Jezu kochany, jak on odwracał głowę na rozgrzewce, żeby nie patrzeć, co ja robię. Moja kolej, najlepiej wychodziło mi zgłoszenie do ćwiczenia – sylwetka wyprostowana, ręka w górę, kiwnięcie głową Szypra i do roboty. „Wjazd” zrobiłem, przełożenie nogi przez drażek do kołowrotu, gleba, ludzie płaczą, Szyper z kamienną twarzą. Pozwolenie wejścia na przyrząd, kołowrót, gleba. Widziałem, że niektórym na widowni przydałaby się „erka”. Po kilku podejściach – zrezygnowałem. Nota znowu „bardzo wysoka”, gdyby była punktacja minusowa „Szyperek” na pewno wprowadziłby ją w życie.

Skok przeszedł bez specjalnych emocji na widowni. Wreszcie „gawieź” mogła skupić uwagę na kimś innym, a ja nadrobiłem trochę punktów.

Apogeum nastąpiło na ćwiczeniach wolnych. Co ja mogłem wymyśleć! Na początku była waga, później seria przewrotów w przód, próba wychwyty i totalny kanał. Mogę iść o zakład, że były osoby na widowni, które miały mokre nie tylko oczy. Sędzina (pani magister Kwiecińska) miała problemy z oceną, ludzie ze sobą.

Tego było już za dużo, po prostu wymknąłem się z sali. Trzeba było się odstresować i dokończyć trening na hali. Prawdziwy wstyd miał nastąpić za chwilę.

Przybiegło czterech kumpli z roku (nie daruję im do tej pory), wyciągnęli mnie dosłownie spod sztangi. Zbaraniałego zanieśli mnie na rękach na salę i postawili na środku maty. Czterech studentów III roku i ja, a naprzeciwko z mikrofonem mgr Wiśniowski. Kiedy trochę się uciszyło „Wiśnia” wręczył po kolei dyplomy za najlepsze układy na poszczególnych przyrządach, a mnie zostawił na deser. Ogłosił, że zostałem „Misterem Publiczności”. Każdy nagrodzony musiał wykonać jeszcze raz układ na swoim przyrządzie. A ja? Głosy z sali były jednoznaczne. „Aki, wolne!”.

Student na młodszym roczniku wiedział dokładnie kim jestem, ale zaliczenie z gimnastyki miałem. Gwoli ścisłości, takiego wstydu nie przeżyłem nigdy, ani wcześniej, ani później, a miało to miejsce już ponad 20 lat temu!

Kurczę jak ten czas leci...



**Dariusz Szoda**  
absolwent 1987



## WSPOMNIENIA

**W**SPOMNIENIA te piszę po 18 latach od ukończenia studiów, więc proszę wybaczyć, że nie wszystkie imiona i nazwiska będę pamiętał. Studia podjąłem w roku 1983. Był to dla mnie bardzo ważny etap w życiu, gdyż w ten sposób byłem bliżej realizacji swoich dziecięcych marzeń – zostania nauczycielem wf i wychowawcą młodzieży. Zamiar taki podjąłem już w szkole podstawowej i studia miały mi to umożliwić. Podchodziłem z dużym zapalem szczególnie do zajęć praktycznych, gdyż zdawałem sobie sprawę z faktu, że im więcej się dowiem i nauczę, to tym lepszym będę fachowcem. Zajęcia te sprawiały mi wielką przyjemność tym bardziej, że pierwszy raz spotkałem się z ciekawym ich prowadzeniem. Moje dotychczasowe doświadczenia z zakresu wychowania fizycznego, wyniesione ze szkoły podstawowej i średniej znacznie odbiegały od tego, czego doświadczałem na AWF-ie. Wynikało to głównie z braku zaplecza i warunków do prowadzenia ciekawych zajęć, na jakie cierpiało (i prawdopodobnie cierpi) nasze szkolnictwo podstawowe i średnie.

Obowiązkowe zajęcia na uczelni nie wypełniały całego czasu z życia studenckiego. Dochodziły jeszcze własne ćwiczenia i treningi, by móc zaliczać poszczególne zajęcia sprawnościowe, nauka własna oraz czas wolny organizowany w większości indywidualnie. Życie studenckie koncentrowało się głównie w akademiku i na terenie uczelni, gdyż miasto w tym czasie nie miało raczej ciekawych propozycji rozrywkowych (a przynajmniej studenci niewiele o nich wiedzieli). Bardzo miłe wspominałem organizowane przez poszczególne zakłady spartakiady międzyrocznikowe (w piłkę ręczną, siatkówkę, koszykówkę), gdyż zapewniały one moc wrażeń i zabawy nie tylko uczestnikom, ale i kibicom licznie dopingującym swoich kolegów. Zakład Gimnastyki organizował obowiązkowe dla roczników (chyba II i III) zawody gimnastyczne. Zaliczenie tych zawodów było obowiązkowe i tym trudniejsze, że należało wystąpić publicznie. Było przy tym wiele śmiechu i zabawy. Zapamiętałem pana Nowowiejskiego, który był bardzo wymagający, sztywny i bardzo rzadko

się uśmiechał, czym wprowadzał dodatkowe stresy i raczej nie ułatwiał zaliczania gimnastyki.

Zakład Lekkoatletyki organizował dla I i II rocznika biegi nazywane potocznie „*wielką pardubicką*”. Były to obowiązkowe zaliczenia biegów na 1500 m dla chłopaków i 800 m dla dziewcząt. Warunkiem zaliczenia LA na tych rocznikach było przebiegnięcie dystansu w określonym limicie czasu. Była to bardzo fajna impreza (oczywiście dla kibiców) w jedno majowe popołudnie. Na stadionie miejskim zbierali się kibice ze starszych roczników i dopingowali, wypuszczanych po sześciu, studentów. Limity czasowe nie były wyśrubowane, ale osobom, które niewiele ćwiczyły sprawiały jednak kłopot. Zabawne było obserwowanie zmagających „zawodników”, którzy z wielkim wysiłkiem próbowali pokonać dystans, a pan Makaruk lub Chmielewski wychodzili na bieżnię i kiedy zbliżał się koniec wymaganego limitu, opuszczając rękę sygnalizowali upływanie czasu. W tym momencie osoby, które nie zdążyły dobiec do mety, rezygnowały z dalszego biegu i padały na murawę stadionu. Pamiętam taką zabawną sytuację z kolegą Markiem C., który dodatkowo dopingował się (nie jedyny zresztą) przed swoim biegiem tabletkami efedryny. Pomimo dodatkowego wspomagania, nie pokonał dystansu w wyznaczonym czasie, zabrakło mu kilku sekund. Ten bieg tak go wyczerpał, że jego powrót ze stadionu do akademika był znaczony ciągłymi torsjami. W akademiku, jeszcze długo po biegu siedział na tapczanie i powtarzał: „Nigdy więcej biegów, nigdy więcej biegów”.

Spartakiady i zawody międzyrocznikowe były tzw. masowym, bardzo ciekawym elementem współzawodnictwa pomiędzy studentami. Szkoda tylko, że nie były powszechniejsze i częściej organizowane. Część naszych studentów brała udział w zorganizowanych formach uprawiania sportu, głównie w AZS. W tamtych czasach bardzo dobre wyniki sportowe uzyskiwały akademickie drużyny piłki nożnej, siatkówki kobiet, lekkiej atletyki i ciężarowcy. Poza „zawodowcami” z AZS-u, niezłe wyniki sportowe uzyskiwali także studenci, którzy trenowali indywidualnie. Miło wspominam bliźniaków Piotra i Pawła Zielińskich, trenujących badminton. Przez kilka lat reprezentowali oni AWF w różnych zawodach krajowych (chyba głównie akademickich), odnosząc znaczące sukcesy. Dobre wyniki osiągał także Piotr Becz w biegach narciarskich. Przez kilka lat reprezentował uczelnię w ogólnopolskich zawodach biathlonowych i biegach narciarskich. Był powołany do akademickiej reprezentacji Polski i otrzymał propozycję przeniesienia się do AWF w Katowicach, gdzie specjalizowano się w narciarstwie. Piotrek okazał się jednak patriotą i pozostał w Białej Podlaskiej, otrzymując indywidualny program treningowy.

Dzięki zaangażowaniu pana pułkownika Jakubowskiego amatorska reprezentacja uczelni rokrocznie brała udział w Akademickich Mistrzostwach Polski w Sportach Obronnych (letnich i zimowych).

W tamtym czasie duże sukcesy odnosiła także drużyna szóstek piłkarskich (opartych głównie na zawodnikach AZS-u), którzy zaliczani byli do czołówki sportowej AWF-ów. Te amatorskie formy aktywności sportowej organizowane były w ramach Zrzeszenia Studentów Polskich, które po latach stanu wojennego zostało reaktywowane na uczelni dzięki aktywności m.in. Krzysztofa Redkowiaka – pierwszego przewodniczącego Rady Uczelnianej. Krzysztof był (i jest) człowiekiem, który zauważał potrzebę organizowania sobie i innym studentom różnych form aktywności, by nie „kisić” się wyłącznie w pokojach akademika, ale by „coś” robić z pożytkiem dla siebie i kolegów. Dzięki niemu zaczęło się rozwijać tzw. „życie studenckie” dalekie od jakiegokolwiek polityki. To dzięki zaangażowaniu Krzyśka powstały np.: Studenckie Biuro Pracy, Akademicki Klub Żeglarski itp. Angażowałem się również w organizowanie różnych imprez i dzięki temu zdobywałem nowe doświadczenia.

Zupełnie oddzielną historię stanowił Klub Biegacza „Dystans” założony przez Krzysztofa Piecha i pana doktora od fizjologii (nie pamiętam nazwiska). *Chodzi o dr M. Bytniewskiego - przyp. red.* Wielu członków klubu brało udział w różnych zawodach na szczeblu lokalnym i ogólnokrajowym. Organizowane na uczelnianym stadionie super maratony na dystansach: 1111, 2222, 3333, 4444 metrów dały materiał badawczy do wielu prac magisterskich, były odnotowane w Polsce jako bardzo nietypowe i oryginalne imprezy (zapisane chyba w Księdze Rekordów Guinnessa?).

Życie kulturalne wspominam jako bardzo ubogie w Białej Podl. Nie słyszało się o imprezach kulturalnych, organizowanych przez miasto (być może wynikało to ze słabego przepływu informacji). W akademiku powszechną formą rozrywki były sobotnio-niedzielne dyskoteki w klubie „Meta” i „balangi” w pokojach. Wynikało to, w dużej mierze, z braku alternatywy i zapewne pieniędzy na organizację takich imprez. Oficjalne uroczystości były przeważnie uświetniane występami Studenckiego Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie”, który miał dobrą renomę w tym czasie. Zespół ten ma bogatą historię dzięki p. Emmie Cieślińskiej i p. Marianowi Rzędzickiemu, którzy ten zespół prowadzili. Organizowane przez nich wyjazdy zagraniczne zespołu były dla studentów-tancerzy niepowtarzalnymi przeżyciami.

Z większych wydarzeń kulturalnych (zbyt górnolotne określenie) bardzo miłe wspominam pierwsze, po stanie wojennym, Juwenalia

(1987 r.). W czasie tych Juwenaliów, które trwały od piątku do niedzieli, a rozpoczęły się przekazaniem kluczy do bram miasta studentom, odbywało się szereg różnych imprez, na których wszyscy dobrze się bawili i to było najważniejsze. Idea Juwenaliów była taka, by była to impreza również dla „miasta”, stąd część imprez odbywała się poza terenem uczelni. Do historii Juwenalia te przeszły zapewne z powodu żartu trzech kolegów (m.in. Jurek(?), Szcząchor i Andrzej Sakowski), którzy zorganizowali trzy „napady” na sklepy w mieście. Przebrali się w czarne prochowce i okulary, pod prochowcami ukryli atrapy karabinów i tak wyposażeni odwiedzili kolejno trzy sklepy zlokalizowane przy Placu Wolności. Niestety, pomimo tego, że nic nie ukradli ze sklepów, panie ekspedientki zawiadomiły milicję o napadzie z bronią w ręku. Ta potraktowała sprawę poważnie, zarządziła blokadę dróg, powiadomiła Komendę Główną MO i ościenne województwa i rozpoczął się prawdziwy pościg za „bandytami”. Dopiero w godzinach wieczornych milicja w jakiś sposób dowiedziała się, że to był studencki żart, wpadła na trop i koledzy (organizatorzy napadu) kolejno byli „wyciągani” przez milicjantów z akademika. Potem kilka godzin spędzili w areszcie. Dzięki zaangażowaniu pana dziekana Burzyńskiego udało się ich w miarę szybko uwolnić, ale byli tak zestresowani, że długo nie chcieli o tym rozmawiać i zapewne na długo odeszła im ochota do żartów. Później, przez pewien czas, komenda milicji w Białej Podl. naciskała władze uczelni by przykładowo ukarać „żartownisiów” (łącznie z doprowadzeniem do edukacyjnego spotkania ze studentami w stołówce), gdyż wydarzenie to zostało odnotowane przez ogólnopolskie media i zapewne nie przyniosło chluby białskiej milicji, która nie poznała się na studenckiej zabawie.

Dobrze wspominam też międzyrocznikowy przegląd artystyczny, który zorganizowałem w marcu 1988 roku (wtedy byłem już kierownikiem ZPiT „Podlasie”, gdyż po ukończeniu studiów pozostałem przez pół roku na uczelni, do czasu powołania mnie do wojska). Miały to być pokazy uzdolnionych studentów dla studentów w formie występów scenicznych. Wcześniej zgłaszały się osoby obdarzone artystycznymi talentami i wyrażały chęć zaprezentowania się akademickiej publiczności. Z Miejskiego Domu Kultury wypożyczyliśmy dodatkowe oświetlenie sceny, które stworzyło odpowiedni klimat w auli AWF. Po występie ZPiT „Podlasie” prezentowali się studenci, dzięki którym impreza trwała bardzo długo i sądzę, że była udana. Zapamiętałem szczególnie popisy Jurków – Knapińskiego i Szcząchora, którzy swoimi śpiewami potrafili rozbawić zebrane w auli towarzystwo.

Odrębnym tematem było życie studenckie na obozach letnich i zimowych. Dni spędzone na obozach chyba najbardziej utrwaliły się w mojej

pamięci. Było to związane z moimi zainteresowaniami, także umiejętnościami jakich nabywało się podczas obozowych zajęć (narciarstwo, żeglarstwo itd.), z których teraz korzystam, pomimo że nie pracuję w wyuczonym zawodzie.

Uczestnicy obozów narciarskich w Sokolcu będą pamiętać właściciela domu „Marysieńka”, który urozmaicał pobyt studentom w różny sposób: a to zakręcił dopływ ciepłej wody podczas kąpieli poza wyznaczonymi godzinami, a to zorganizował dyskotekę z udziałem kierownika obozu p. Wyciszkiewicza i włożył garnitur, a to posypał popiołem drogę, po której studenci biegali na nartach. Mam nadzieję, że tę posypaną popiołem drogę szczególnie zapamiętał Marek C., któremu na zajęcia pożyczyłem swoje narty biegowe i który dziwił się, że nie może na nich biegać. Mój pierwszy obóz narciarski zawsze kojarzyć mi się będzie z wydarzeniem, które nastąpiło po teście kwalifikacyjnym do grup (test polegał na jak najszybszym pokonaniu okręgu krokiem łyżwowym, co nie było problemem dla osoby biegającej niegdyś na nartach). Mimo że po raz pierwszy miałem narty zjazdowe na nogach, „złapałem” się do grupy zaawansowanej, prowadzonej przez p. Wyśatę. Aby rozpocząć ćwiczenia na stoku należało zjechać spod „Orła” 600 m. Jechałem na „krechę”, gdyż po dwóch próbach naśladowania skrętów „złapałem” prędkość. Myślałem, że się nie zatrzymam i rozbiję się o stojący na dole budynek. Przeżyłem ten zjazd, gdyż cudem udało mi się skręcić w bok i wylądować w śniegu. Myślałem, że dr Wyśata wyrzuci mnie z grupy, ale jednak mnie zostawił, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny. Po trzech dniach zajęć zacząłem poziomo dorównywać kolegom z grupy.

Ze szczególnym sentymentem wspominam obozy letnie, raz jako uczestnik, a dwa jako kadra instruktorska w późniejszych latach (w ramach specjalizacji żeglarskiej). Pan Wyciszkiewicz, który był wtedy kierownikiem obozów, na pewno zapisał się w pamięci studentów jako autor wielu zaskakujących decyzji i „obiekt” żartów. Pamiętam wędrowki żeglarskie po II roku, kiedy to pp. Wyciszkiewicz i Jackowski pływali na nowo zakupionych „Venusach”, a studenci na „Omegach”. Jeden z noclegów wypadł nam na jeziorze Seksty, a podczas całodziennego żeglowania udało nam się zgubić „Wujka” (tak nazywano mgr. Wyciszkiewicza). Zadowoleni rozbiliśmy się na brzegu i siedzieliśmy przy ognisku z gitarą i nie tylko. Późnym wieczorem (było już ciemno) ktoś podpłynął do brzegu i krzyknął: „Panie Edwin, gdzie tu można zacumować?”. Edwin, który był już po pierwszym piwie, nie odwracając się odkrzyknął: „Z prawej!” i usłyszeliśmy plusk rzuconej kotwicy. Niestety, w tym momencie musieliśmy zakończyć, tak dobrze zapowiadającą się imprezę.



Pamiętać też będę pana dr. Arasymowicza, który na obozach prowadził zajęcia z kajakarstwa. Zabawnie wyglądały grupy studentów, siedzące rzędem na pomoście i ćwiczące „na sucho” wiosłowanie. W późniejszych latach, kiedy uczestniczyłem w obozach letnich już jako instruktor żeglarstwa, ciekawie organizowaliśmy czas z innymi „żeglarzami” – z Grzesiem Biegajło, Przemkiem Czerskim i Darkiem Gola-kiem. Zapewne Grzegorz długo będzie pamiętał siatki na ryby z siela-wami, które zerwały się prawdopodobnie miejscowym rybakom. Ja, z kolei, nocne wyprawy na ryby z kolegami, przy których nauczyłem się wielu interesujących rzeczy.

Cały mój okres akademicki wspominam z ogromnym sentymentem. Nabyłem wtedy wielu umiejętności, tak organizacyjnych (umiejętność organizacji imprez sportowo-rekreacyjno-turystycznych), jak i sprawno-ściowych (szczególnie sporty wodne i zimowe), które są mi bardzo przy-datne w życiu prywatnym (staram się prowadzić aktywny tryb życia). Ubolewam, że nabytej wiedzy nie wykorzystuję w wyuczonym zawodzie, ale pocieszam się tym, że być może w przyszłości (może na emeryturze) będę miał jeszcze okazję do pracy z młodzieżą.

**Krzysztof Okapa**  
absolwent 1992



## **WSPOMNIENIA ZE STUDIÓW**

### **1988-1992**

**Z**ACZAĆ należy chyba od mojej decyzji podjęcia studiów na kierunku wychowanie fizyczne. Zrodziła się ona dość łatwo, gdyż od szkoły podstawowej większość czasu spędzałem na zajęciach sportowych, zaniehbując tym samym wiedzę książkową. Najpierw był to sport szkolny i podwórkowy, a następnie wyczynowy w Klubie Sportowym „Budowlani” Lublin. Uwielbiałem sport, ale dyscyplina, którą wybrałem jako sport kwalifikowany nie mogła być inna, ponieważ do innych raczej nie pasowałem, co potwierdzają późniejsze oceny na studiach z przedmiotów praktycznych (obracałem się w przedziale 3-4, nie licząc oczywiście poprawek, bo te przecież nie mają znaczenia w wyniku końcowym). Za niski na koszykarza i siatkarza, za mało zwrotny na piłkarza, za wolny na sprintera, za mało wytrzymały na długodystansowca, itp. itd. ... wybór był jeden: rugby!!! Zresztą ta dyscyplina, w której człowiek o każdych parametrach i cechach motorycznych znajdzie dla siebie miejsce sprawiła, że na studia wstąpiłem, będąc zwolniony z egzaminów z tytułu posiadania klasy sportowej – MK. Miałem już przecież w swoim dorobku Mistrzostwo Polski Juniorów (do lat 19), a także występy w I lidze rugby. Komisja egzaminacyjna przyjęła mnie z szacunkiem, bo w naszym roczniku byłem jedynym kandydatem z klasą mistrzowską, a ja nie ukrywałem, że byłem z siebie dumny. Przystoczenie się z kandydata na studenta wymagało jednak odbycia badań lekarskich, czego nie obawiałem się, będąc zdrowym na ciele i umyśle 19-latkim. Jakież było moje zaszokowanie i ogólna depresja kiedy p. dr Żuk – lekarz, badający przyszłe kadry „wuefistów” stwierdził wadę mojej przegrody nosowej uszkodzonej w wyniku walk boiskowych, stoczonych przeze mnie w czasie meczów rugby. Nie pamiętam jakim sposobem i for-  
telem udało mi się przekonać zebrane grono komisji lekarskiej, która miała nie lada problem, co ze mną zrobić. Byłem facetem, który już prawie miał indeks w kieszeni, a tu krzywy nos mógł „skrzywić” wszystkie moje plany życiowe. Z perspektywy czasu oceniam decyzję lekarską warunkowo dopuszczającą mnie do podjęcia studiów (operacja nosa) jako elastyczne i perspektywiczne podejście do człowieka w procesie kształcenia i wychowa-

nia przyszłych kadr nauczycielsko-trenerskich. Przecież, gdyby nie ta wspaniałomyślna zgoda p. doktora Żuka, dyscyplina rugby byłaby skromniejsza o jednego trenera, KS „Budowlani” nie byłby kierowany przez moją osobę w roli prezesa, a Polski Związek Rugby nigdy nie przyjąłby mnie na członka Zarządu. Cała moja działalność sportowa spełniła się przez jeden wpis w karcie kwalifikacyjnej, który górnolotnie brzmiał: ZDOLNY!!! Tak rozpoczęła się moja przygoda studencka, moje wykształcenie, moje cztery wspaniałe lata życia. Na marginesie dodam, że nigdy zaleconemu zabiegowi nosa nie poddałem się, nie licząc kolejnych starć na boisku. Obecnie jest on chyba trochę prostszy niż na pamiętnej komisji lekarskiej. Badania naukowe dotyczące urazów sportowych udowadniają, że nie zawsze dostaje się z tej samej strony

Na początku studiów paradoksalnie nie zostałem wcielony do jedynej na roku grupy sportowej, co utrudniało mi życie, gdyż jako czynny zawodnik musiałem na weekendy stawiać się do gry w Lublinie. Wszystkie grupy miały zajęcia do soboty i tylko „sportowa” kończyła edukację w piątek przed południem. Staraniami mojego klubu władze FAWF-u (tak brzmiała wtedy nazwa uczelni, która następnie zmieniła się w IWFis) umieściły mnie w utęsknionej grupie sportowej. O ile wyczynowe uprawianie sportu wpłynęło na moje podjęcie studiów, o tyle komplikowało trochę udział w zajęciach i zaliczenia przedmiotów. Wyjazdy na mecze, zgrupowania sportowe, treningi w Lublinie, urazy sportowe i ich leczenie itd., itd. To wszystko łączyło się w jeden wielki zakres obowiązków, któremu musiałem poddać i sprostać. Na szczęście wyrozumiałość władz uczelni, a przede wszystkim, nauczycieli akademickich dawała mi możliwość niezliczonej ilości podejść do zaliczeń (szczególnie praktycznych), które zaliczałem z uporem osła, z determinacją człowieka ambitnego, z wolą walki przeciw własnej niedoskonałości. Był to okres intensywnej nauki i morderczej pracy nad własnym ciałem. Jak wspominałem wcześniej, nie byłem przecież wybitny. Niewątpliwie pomogła mi w tym atmosfera Akademii. Doskonali, ale i wymagający nauczyciele, których miałem zaszczyt poznać w Białej Podlaskiej oraz przyjaciele ze studiów stworzyli niepowtarzalny klimat, którego po opuszczeniu gmachów uczelni z dyplomem w kieszeni już nigdy nie zaznałem.

Z moich zmagañ nad kształtowaniem ciała i umysłu szczególnie wspominam niedzielne wieczory, kiedy to z moim druhem – Wową (czasami dotrzymywał nam towarzystwa i Glaja) prosto z pośpiesznego PKS-u trasy Lublin-Biała Podlaska wciskaliśmy się przez uchylone okno, ukradkiem i za zgodą zaprzyjaźnionego „ciecia” do salki gimnastycznej w celu doskonalenia karkołomnych elementów gimnastyki i akrobatyki. Nasze postępy w pokonywaniu barier własnego ciała wielokrotnie obserwował wspomniany „Pan dozorca” i z wieloletnim doświadczeniem w pomocy studentom oceniał słowami: *za ciężką ma d...* Te krytyczne uwagi mobilizująco

wpływały na nasze postępy o czym świadczą późniejsze wpisy do indeksów i pochwały od pp. dr. Waldemara Wiśniowskiego, mgr Andrzeja Nowowiejskiego czy mgr Mariana Szypra. Nie umknie mojej pamięci basen na BIAWENIE, gdzie w wodzie walkę toczyły siła wyporu i, nie dające się niczym oszukać przyciąganie ziemskie. Najzabawniejszy był „delfin” – styl pływacki, który poznałem dopiero w trakcie studiów, a znany mi wcześniej jedynie z telewizji. Gdyby nie fakt, że dysponowałem dość dużą pojemnością płuc i niezłą wytrzymałością ogólną to zapewne nie dałbym rady przepłynąć 2 x 25m. Dzięki w/w cechom mojego niezłe wytrenowanego organizmu, po skoku do „delfina” płynąłem pod wodą, wynurzałem się na 2-3 pełne ruchy i już byłem tuż przy przeciwległej ścianie basenu. Po nawrocie mogłem jeszcze pod wodą płynąć 3/4 basenu, po czym na ruchy ramion (o nogach należy już raczej zapomnieć) zostawało mi jakieś 8-10 m. To już dawałem radę wykonać z pełnym zaangażowaniem mojej sportowej zaciętości i ambicji. Państwo Ottowie nie widzieli w tym moim podstępnie zbyt wiele błędów stylowych, co dawało mi kolejną „zalię” na wymarzoną „trójkę”.

Kolejnym przedmiotem, który postanowiłem ćwiczyć w większym wymiarze czasu niż przewiduje program studiów, była lekkoatletyka. Przypomnę tu czytającym niniejsze wspomnienia moje dwie ulubione konkurencje, w których dominowała skoczność: skok wzwyż i trójskok. Jako wykwalifikowany zawodnik rugby nigdy na boisku nie pokonywałem tak znacznych odległości i wysokości co sprawiało, że te konkurencje były dla mnie co najmniej abstrakcyjne. Trud i wysiłek moich mistrzów w metodyce nauczania, a wspomnę tu pp. dr. Michała Bajbaka (śp), dr. Stanisława Kędrę i dr. Kazimierza Chmielewskiego spowodowały, że zbliżyłem się nieco do wymaganych limitów zaliczeń i mój trud został nagrodzony pozytywnym wpisem w indeksie. Nie jest tu już istotne, że sukcesy te odnosiłem przeważnie w miesiącu wrześniu lub nawet późniejszą jesienią. Dla mnie ciągłość i ustawiczność kształcenia oraz jak najkrótsze rozstawanie się z uczelnią w przerwach międzysemestralnych były bezcenne. Na inne przedmioty praktyczne i teoretyczne miałem przez to mniej czasu, a więc „zalie” zdobywałem przeważnie w terminach i czasami nawet z ocenami wyższymi niż za te elementy, na które poświęcałem dni, noce, tygodnie a nawet miesiące. Cóż ... nie zawsze czas idzie w parze z wynikiem. Czasem wynik należało uzyskać lekkim podstępem a nawet nadludzkim poświęceniem. Opowiem króciutko o egzaminie z turystyki, który wraz z moimi przyjaciółmi z pokoju akademickiego rozegraliśmy po mistrzowsku i z tak dobraną taktyką, której życzyłbym zawsze drużynom rugby trenowanym przeze mnie. Po oczywistym, 100% opanowaniu materiału z zakresu turystyki pozostała jedna obawa. Egzaminowały nas dwie osoby (z szacunku dla indywidualnych metod oceny nie wymienię tu nazwisk). Jedna z nich była łagodniejsza w swoich werdyktach, ale przyjmowała tylko rano i do

tego nie więcej niż cztery osoby w danym dniu. Po niej resztę grupy zdających egzaminowała osoba nieco surowsza, co obok normalnego stresu jaki wywołuje sesja, powodowało istne załamanie nerwowe. Jako przyszli wychowawcy dzieci i młodzieży nie mogliśmy pozwolić sobie na tak duży szok naszego układu nerwowego i niewątpliwie trwałe zaburzenia osobowości. Postanowiliśmy być pierwsi pod drzwiami sali egzaminacyjnej w celu „załapania” się do pierwszej „czwórki”. Aby to osiągnąć nie mogliśmy uczestniczyć w porannym biegu po schodach na II piętro startując o 7.00 spod drzwi głównych uczelni. W naszej grupie sportowej byli lepsi biegacze i nawet dodatkowe konsultacje z „lekkiej” nie dawały nam pewności na wygranie rywalizacji. Późnym wieczorem dobroduszny „Pan dozorca” (znany już nam z sali gimnastycznej) wpuścił mnie wraz z Głają, Wową i Turbiną do gmachu FAWF-u, abyśmy nocą mogli kontemplować i chłonać wiedzę wprost z murów i posadzek uczelni, a przy okazji stanowili rano szczęśliwą „pierwszą czwórkę” pod drzwiami Zakładu Turystyki i Rekreacji. Wieczory tamtego czasu były już nieco chłodne, a więc zaopatrzeni w koce spędziliśmy nockę na uczelni. W tak doborowym towarzystwie nie mogło być nudy. Momenty powtórek nazewnictwa odznak turystycznych przeplataliśmy zabawą „w chowanego”. Ta niezwykle stara i niemniej popularna gra spostrzegawczo-szybkościowa umożliwiła nam „aktywne spędzenie czasu wolnego” (taki również był temat mojej przyszłej pracy magisterskiej) tamtej pamiętnej nocy. Rano zbudził nas wyścig studentów spragnionych podzielenia się wiedzą z egzaminatorem. Pod salą turystyki były już jednak cztery pierwsze miejsca zajęte. To byliśmy my! Otuleni w koce wśród nieśmiałych promieni słońca, które jeszcze ustępowało chłodnemu porankowi. Dalszy przebieg egzaminu jest oczywiście jasny. Dostaliśmy z chłopakami po „4” a większość przegranych w biegu na II piętro zaliczyło „wrzesień”. Niezapomnianym jest również egzamin z anatomii na I roku. Prawdziwa „rzeź niewiniątek”. Weszliśmy wtedy jako trzecia para tzn. ja i mój nierozłączny kompan Turbina, z którym ramię w ramię przeszedłem chyba wszystkie egzaminy teoretyczne, na których wchodziło się dwójkami. Sytuacja była tragiczna, bo dwie pierwsze pary poległy. Lęk dusił nasze krtanie, „mięśnie” mieszały się z „nerwami” a fakt czy „ośrodek wzroku” jest w mózgu czy w sercu, nie miał już żadnego znaczenia. Weszliśmy bładzi, ale odważni niczym gladiatorzy wkraczający na arenę, z której rydwany wywożą martwe już ciała rozszarpanych przez lwy. Cios za ciosem! Odpowiedź na pytanie! Victoria! Dwie „czwórki”, dwóch zwycięzców schodzi z areny a w uszach słuchać tylko głos tłumu: *chleba, wina i igrzysk!* Oczywiście krzyk najbardziej akcentował słowo „wina”, co naturalnie zostało potem spełnione. Te wszystkie zaliczenia i egzaminy powodowały głębokie odczucia zwycięstwa. Pokonywanie własnego ciała i umysłu dawało niesamowitą przyjemność sukcesu. Nie wyobrażam sobie, aby nie dane mi było tego przeżyć.

Jeśli już jesteśmy przy terminie „przyjemność” to niewątpliwie kojarzy mi się z obozem letnim na I roku. Kolega Marek z Bodaczowa skomponował wtedy pieśń „Belzebuby” – taki hymn obozowy naszej grupy. Amal miał motocykl MZ, który służył za środek transportu w celach zaopatrzeniowych. Jednego razu razem z Podstawem nieco uszkodziliśmy ten „wytwór przemysłu motoryzacyjnego” w trakcie realizacji zamówień na dowóz napoi (lato było upalne!). Po naprawie Amal wcale nie miał do nas wielkiego żalu, a najważniejsze, że zamówiony towar przywieźliśmy nieuszkodzony. Pamiętny był też wypad na dwudniowy rejs „Omegami” na Wyspę Pajęczą na jez. Śniardwy. Sternikiem naszym był p. dr Stanisław Kędra, który uczył nas fachu i terminologii żeglarskiej oraz zachowań na wodzie. Najbardziej zapamiętaliśmy postępowanie po wyciągnięciu tonącego człowieka na pokład. Po okrzyku: „człowiek za burtą !” komenda końcowa brzmiała „*koc dla człowieka, rum dla człowieka.*”, który należy podać w celu rozgrzania organizmu. Po wielokrotnym powtarzaniu różnych komend żeglarskich trochę nam się pomieszało i na zalecenia naszej koleżanki Reni, aby nie płynąć w takim dużym przechyle, ochoczo krzyczeliśmy: „*Renia za burtę, rum dla załogi!*”. Umiejętności żeglarskie przydały mi się potem w trakcie odbywania wędrówek żeglarskich na Mazurach. Było to po II roku studiów. Opiekunem naszej wyprawy był mgr Janusz Wyciszkievicz. „Wujek” był świetnym organizatorem i te spędzone dwa tygodnie na „Omedze” pamiętam do dziś. Płynęliśmy na niej, spaliśmy na niej i jedliśmy na niej. Przemierzaliśmy trasę z jez. Roś aż po kraniec jez. Ryńskiego. Sternikiem naszej łajby był Pocia, przeuroczo brzdąkający na gitarze i śpiewający stare szanty w chwilach nostalgii i tęsknoty za lądem. Załogę stanowiłem ja wraz z nierozłącznymi kolegami Wową i Głają. Przeżyta burza na Śniardwach zacieśniała między nami i tak już głęboką przyjaźń i potwierdziła gotowość niesienia sobie pomocy w różnych sytuacjach. Opatentowany na wędrówkach sposób wyciągania na pokład człowieka z wody na tzw. „klina” może znać tylko ten, kto był wtedy z nami (najbardziej pamięta go oczywiście Iwonka).

Wspomnienia z obozu zimowego to oczywiście nauka jazdy i biegania na nartach. Pamiętam jak kolega Rogal pojechał wtedy z nami na obóz prosto z Białej Podlaskiej, bez sprzętu i przygotowania zimowego, bo o wyjeździe dowiedział się przypadkowo. Nawet czapkę i rękawiczki pożyczył od kogoś, ponieważ nie zdążył już pojechać do domu (miejsce zamieszkania: Pisz), aby się spakować. Obóz narciarski był niezapomniany. Uzyskany wtedy przeze mnie na krótko pseudonim „Buli” (dla nie pamiętających tej bajki telewizyjnej dla dzieci przypomnę, że był to śniegowy bałwanek) oddaje cały urok obozu i moje niebagatelne osiągnięcia w opanowaniu „śnieżnego szaleństwa”.

Tak jak wspominam naukę, egzaminy, zaliczenia, obozy i wędrówki, tak samo pamiętam życie w akademiku. Niezapomniane cztery lata! Najpierw

pokój 107 B na I roku. Mieszkalem tam z Glają (kolegą, którego znam od zerówki, i z którym wspólnie przemierzaliśmy podstawówkę i liceum) oraz dwoma góralami: Jurkiem i Wieśkiem. Wowa u nas „waletował”. Przy nocnej kontroli stanu mieszkańców Wowę wystawialiśmy za okno, bo pokój mieliśmy na parterze. Było to dla niego trochę uciążliwe zimą, ale czego nie robi się dla podtrzymania opinii dobrych mieszkańców akademika. Ciekawy jest fakt, że Wowa jako piłkarz ręczny AZS AWF Biała Podlaska miał przydzielone miejsce w akademiku, ale w innym pokoju, gdzie było tak dużo „waleatów”, że on już się w nim nie mieścił. Płacił zatem za akademik, a mieszkał u nas jako „walec”. To było bardzo zabawne. Od II roku mieszkaliśmy już w pokoju nr 207 na zasłużonym II piętrze w bloku C. Glaja, Turbina, Wowa i ja. Trafiliśmy do tej „elity” mieszkańców poprzez Wowę, który miał starszych kolegów z drużyny piłki ręcznej i dzięki temu byliśmy niezłe zaakceptowani, jako, bądź co bądź, jeszcze młodzi studenci. Jeśli jestem przy temacie hierarchizacji braci studenckiej w akademiku to nie była to żadna „fala” na styl wojskowy. Odczuwało się respekt i szacunek dla starszych, ale zjawisko to było raczej stonowane i miało specyficzny, nie agresywny wymiar. Nie spotykaliśmy się z brutalnością czy nękaniami „młodych”, ale z drugiej strony nikt z nas nie pozwolił sobie na zbyt dużą poufałość do starszych. Było to bardzo eleganckie i miało smak. Przez nasz pokój 207 C przewijali się także „waleci” lub inni legalni mieszkańcy akademika: Onuśka, Rychły, Henio, Kafar, Bujany, Wiekł. Zamieszkiwali u nas także tymczasowi goście w osobach studentów(ek) zaocznych, którym życzliwie udzielaliśmy schronienia na czas zjazdów semestralnych lub zaliczeń poza terminami przewidzianymi programowym tokiem studiów. Mieliśmy w pokoju zbudowaną porządną „wyspę” tzn. piętrowe łóżko przymocowane do ściany i szafy, kącik kuchenny, telewizor i video naszego przyjaciela Wiekła oraz „wieżę grającą”. Żyło nam się skromnie, ale za to w zgodzie i koleżeństwie. Dyżury w zmywaniu naczyń były regularnie zaniedbywane przez kolejnych wytypowanych, co sprawiało, że nie można było się połapać kto i kiedy ma dbać o higienę w kuchni. Zdarzały się okresy tłuste, kiedy ktoś z nas przywoził z domu torbę z prowiantem przygotowanym przez dbających o nasze brzuszki rodziców, ale był też czas, gdy jedliśmy z jednego talerza to, co pozostało w kuchni. Pilnowaliśmy wtedy kolejności „wiosłowania” łyżką czy widelcem, aby nikt nie był poszkodowany w tej wspólnej wieczerzy. Bywało i tak, ale nawet wtedy głód nie naruszał zasad naszej przyjaźni. W tym pokoju przeżyaliśmy wspólne sukcesy i porażki. Zarówno naukowe i jak i te prywatne, miłosne. Z pobytem w 207 C wiąże się jedna zabawna historia. Pewnego razu miałem w pokoju gości wyjątkowych, bo z zagranicy. Jak wcześniej wspomniałem mój przyjaciel Wowa grał w piłkę ręczną i tego pamiętnego dnia przebywał na meczu wyjazdowym. Wczesnym wieczorem, kiedy pochłonięty lekturą akademicką (przedmiotu nie pamiętam) samotnie zglę-

białem wiedzę, do pokoju zapukało i weszło dwóch przedstawicieli kraju zza naszej wschodniej granicy i zapytali mnie w znanym mi języku: „*Wowa doma*”? Starając się zachować poprawność wymowy i oryginalność wschodniego akcentu grzecznie odparłem, że: „*Wowa siewodnia igra mecz wyjazdowy i doma budie wieczieram.*” Goście powiedzieli, że są jego kolegami, a ja ze słowiańską gościnnością zaproponowałem, aby usiedli i poczekali. Gościnność obcokrajowców była równie ogromna, bo z torby wyjęli zestaw podróży składający się z: ryby suszonej zapakowanej w egzemplarz lokalnego dziennika, słoninki, coś w słoiku o zapachu śledzi i dużą butelkę „napitoka”. Jako skromnie żyjący człowiek i tymczasowo pochłonięty nauką nie planowałem tego wieczoru uroczystej kolacji, ale w ramach trwającej od lat misji „*internacjonalnego mira*” nie wypadało zagranicznikom odmawiać. Mieli poza tym przewagę liczebną, a gabaryty ich struktur szkieletowo-mięśniowych były większe od moich o co najmniej cztery kategorie wagowe. Będąc już po kolacji podziękowałem za propozycję spróbowania przywiezionych przez nich, specyficznych wyrobów garmażeryjnych, lecz za to dziarsko chwyciłem szklaneczkę w 3/4 swojej objętości napełnionej „napitokiem”, wznosząc toast za nasze kraje połączone węzłem historii. Tak płynął mi wieczór, przeplatany na zmianę wzbogacaniem znajomości filologii wschodniej i degustacją tamtejszego wyrobu monopolowej produkcji manufakturowej (sądząc po jego aromacie i mocnym smaku). Po kilku godzinach mój współmieszkaniec Wowa wrócił z meczu i gdy pojawił się w drzwiach, rzekłem wprawnym już rosyjskim do zaprzyjaźnionych ze mną „*innostranców*”: „*Ot i Wowa prijecha!*”. Jakież było moje przerażenie i zdziwienie gości, którzy chórem krzyknęli: „*Toż nie Wowa!*”. Przez głowę przebiegły mi pamiętne sceny batalistyczne z wojen, które kilkakrotnie poróżniały nasze narody. Zimny pot oblał moje skronie na myśl, że mógłbym rozpętać kolejny konflikt zbrojny niszczący dotychczasowe układy polityczne i współpracę gospodarczą, wielce rozwiniętą w tym czasie w zakresie indywidualnego handlu przygranicznego. Na szczęście Wojtek (tak na imię miał Wowa z mojego pokoju) od razu rozszyfrował pomyłkę wyjaśniając, że zapewne szukają bramkarza Wołodii (zdrobniale z rosyjskiego imię to brzmi „Wowa”), który grał w tym okresie w akademickiej drużynie piłkarzy ręcznych. Radości z tej zabawnej pomyłki było co niemiara i po ostatnim stuknięciu się szklanką „napitoka” rozstaliśmy się, wymieniając serdeczne pozdrowienia. Poza tą nieoczekiwaną, aczkolwiek jeszcze bardziej scalającą nasze narody kolacją przyznam, że niejednokrotnie zdarzały się w akademickich pokojach lub w „tramwaju” (czytaj: świetlica) inne uroczystości o charakterze konsumpcyjnym. Bywało przecież wiele ku temu okazji: urodziny, imieniny, udane zaliczenie czy też jego brak. Zawsze jakieś zdarzenie można było uczcić w gronie przyjaciół czy też odwiedzających nas gości. Nie było w tym jednak żadnej przesady czy nadmiernego szaleństwa. Tylko czasami rano okazywało się, że zajęcia rozpoczynają się trochę za



wcześniej, co brutalnie przerywało nasz sen i zasłużony odpoczynek. Inną rozrywką masową były weekendowe dyskoteki na „Mecie” tj. w klubokawiarni na parterze akademika. Nie byłem osobiście częstym ich uczestnikiem, gdyż jako zawodnik lubelskiej drużyny rugby w każdy piątek wyjeżdżałem na treningi i mecze. Wracałem dopiero późno w niedzielę lub w poniedziałek rano. Bywały także czasem i takie chwile kiedy udało się znaleźć czas na disco w „Mecie”. Wtedy wspólnie z Głają „wzmacnialiśmy” się szybciotko w pokoju na tzw. „trzy/cztery” i z lekkim humorem szliśmy potańczyć. Zresztą moi druhowie z pokoju 207 C zajęcia sportowo-ruchowe mieli zorganizowane na miejscu (Głaja i Turbina tańczyli w „Podlasiu”, a Wowa grał w AZS-ie) a więc częściej uczestniczyli w lokalnych rozrywkach.

Godnym wzmianki w tym momencie jest również bufet w akademiku, a bardziej potrawy w nim sprzedawane. Któż nie pamięta „żuźłu” (kaszan-ka na ciepło luzem), ping-pongów (kule z białego twarogu) czy gaśnicy (kefir w szklanej butelce). Można było tam zjeść dobrze, tanio i w miłej atmosferze.

Pomimo młodzieńczej chęci zabaw i uciech cielesnych, czas wolny w większej części należało spędzać na nauce książkowej. Materiału do opanowania było zawsze mnóstwo a pragnienie uzyskania „zalii” pchało nas do książek, skryptów i notatek. Każdy z nas miał inny, oryginalny sposób wchłaniania wiedzy. Ja z Turbiną uczyliśmy się przeważnie wspólnie na zasadzie czytania i głośnej wymiany zdań o tym, co przeczytaliśmy i co pamiętaliśmy z zajęć. Głaja czasami do nas dołączał, ale z natury wolał uczyć się sam. Wowa miał swoisty sposób przyswajania treści książkowych tzw. „mruczando”. Było to zabawne zjawisko. Polegało ono na czytaniu lektury mruczając pod nosem, a następnie powtarzając w pamięci to, co już przeczytał. Wizualna różnica w tych dwu czynnościach wyglądała tak, że przy czytaniu Wowa mruczał i wzrok miał wbity w książkę, a przy powtarzaniu materiału głowa wędrowała do góry w kierunku sufitu, oczy były silnie zamknięte, przy czym mruczenie nie zmieniało swojej tonacji. Było to podobne trochę do modłów charakterystycznych w religiach orientalnych. Z kolei kolega Podstaw, który mieszkał w innym pokoju przychodził do nas realizując swoją metodę nauki. Siadał po prostu cichutko w kąci-ku bez żadnych materiałów dydaktycznych i słuchał bez słowa komentarza tego, co razem z Turbiną omawialiśmy na głos. Zastanawiające w jego sposobie zgłębiania wiedzy było to, że z nas wszystkich to właśnie Podstaw zaliczał teorię najszybciej i z najlepszymi wynikami. Miał chyba niezłą pamięć słuchową. Równie zdumiewający był fakt skuteczności zaliczania przedmiotów teoretycznych przez takich kolegów jak Bujany czy Kafar. Do dziś nie wiem, gdzie i kiedy uczyli się. Nie pamiętam ani jednego detalu czy sytuacji, kiedy spotkałbym ich z książką w ręku. Możliwe, że robili to potajemnie w czytelnicy lub bibliotece, wykorzystując ciszę i klimat uczelni. Myślę jednak, że byłoby to mało prawdopodobne... mało realne, tak sądzę. A więc

w tym momencie ich tajemnica nie ujrzy światła dziennego i nie ma chyba sensu dalsze jej zgłębianie. Liczy się przecież wynik nauki a obaj radzili sobie nie gorzej od nas. Bujany był chyba najsprawniejszym facetem na roku. Przedmioty sprawnościowe nie sprawiały mu żadnego problemu, co dawało mu więcej czasu na poświęcanie się przedmiotom teoretycznym. Niewdzięcznością byłoby nie wspomnieć w tym fragmencie o skarbach naukowych jakie posiadały koleżanki z roku w swoich notatkach z wykładów. Korzystaliśmy z nich obficie i z nieopisaną wdzięcznością za ich udostępnianie.

Jeśli chodzi o wykłady to na te, które były raczej nieobowiązkowe nie chodziliśmy. Powód był prosty. Niektórzy wykładowcy potrafili czasami zaliczać egzamin pilnym studentom za regularne chodzenie na wykłady. Takie przypadki zdarzały się, ale niezbyt często i ryzyko podjęcia wyzwania było duże. Ja wraz z moimi przyjaciółmi z pokoju analizowałem naszą taktykę w następujący sposób. Jeśli przyjmiemy wyzwanie i poświęcimy czas na obecności na wykładach a wykładowca w przekorze losu tym razem nie zaliczy za same obecności, to co? Stracimy czas, a i tak trzeba będzie „zakuwać” i zdawać w terminie. Konsekwentnie więc nie chodziliśmy i mieliśmy jedną pewność: nikt nas nie przekreśli w tym temacie.

Studia miały rok po roku. Raz było z góry, a raz pod górę. Perspektywa czasu potęguje moje wspomnienia o wspaniałej kadrze akademickiej. W ciągu czterech lat studiów miałem okazję uczyć się od wybitnych metodyków, ciekawych osobowości i gdybym zdecydował się na wnikliwą ocenę mojej edukacji w IWFIS, mogę to określić w jednym stwierdzeniu: to była szkoła życia, której życzyłbym wszystkim młodym ludziom chcącym zdobyć wyższe wykształcenie o kierunku wychowanie fizyczne. Wyrozumiałość i ludzkie podejście kadry uczelnianej do studentów odczułem szczególnie pod koniec IV roku, kiedy leczyłem kontuzję kolana, która wynikła z racji uprawianego przeze mnie sportu. Czuję wtedy, że jestem traktowany poważnie, że ukończenie studiów to nie tylko moja indywidualna sprawa, ale także zaangażowanie osób prowadzących zajęcia. Jestem im za to wdzięczny, bardzo wdzięczny. Przypominam sobie inną poważniejszą sprawę mojego kolegi Zbyszka, wybitnego lekkoatlety. Po wypadku samochodowym zmuszony był do poruszania się na wózku inwalidzkim. Pomimo to, ukończył studia dzięki decyzji władz uczelni. Nie pamiętam, aby ktokolwiek ze studentów był skrzywdzony przez kogoś z kadry akademickiej. Niepowodzenia w nauce mogliśmy zawdzięczać jedynie własnej lekkomyślności i niekonsekwencji.

Poznałem na tej uczelni również wspaniałe koleżanki i dobrych kolegów. Byli to wtedy młodzi ludzie o wyjątkowej inteligencji, dużej kulturze osobistej i niewybrednym humorze. Przeżyte wspólnie zabawy na Juwenaliach, imprezach kulturalnych i sportowych do dziś pozostają w mojej pamięci. Nie było wieczoru bez dobiegających odgłosów gitary, z któregoś z pokoi

w akademiku. Śpiew i żarty nie odstępowały nas na krok. Taka atmosfera wpływała korzystnie na stosunki międzyludzkie wśród mieszkańców akademika. Obok koleżeństwa i przyjaźni rozbłyskiwały także płomienie miłości (z hiszpańskiego: *fuego del amor*, co przytaczam jako ciekawostka językowa). Wiele z tych miłości akademickich zakończyło się związkami małżeńskimi: Glaja z Hanią, Wowa z Marzenką, Turbina z Długą, Rogal z Agą, Rysio z Iwonką, ..i może jeszcze ktoś, kogo w tej chwili zapomniałem. Najważniejsze jest jednak to, że po 13 latach od zakończenia studiów dużą grupą spontanicznie spotykamy się kilka razy w roku. Spędzamy wspólnie wakacje, bale sylwestrowe, andrzejkowe czy zwykłe „nasiadówki” w gronie rodzinnym. Niektórzy jak np. Wiekił przyjeżdżają z odległego Frankfurtu. Jest nas czasami nawet około 20 dorosłych już osób, a rozmawiamy i bawimy się jak wtedy, w akademiku. Nasze rodziny i dzieci przyjaźnią się i żyją tym, co nas łączy, a jest to bezinteresowna i szczerą przyjaźń. Została zawiązana na Akademii Wychowania Fizycznego w Białej Podlaskiej, uczelni wyjątkowej pod każdym względem.

Kiedy w lipcu 1992 roku obroniłem pracę magisterską napisaną pod kierunkiem dr hab. prof. Ryszarda Cieślińskiego nie wiedziałem czy jeszcze kiedyś wrócę do Białej Podlaskiej, bo przecież losy różnie nas absolwentów porzrzucały po świecie. Życie jednak pozwalało na powroty i spotkania. Ukończyłem tu Podyplomowe Studia Trenerskie o specjalności rugby. Za namową prof. dr. hab. Henryka Mierzwińskiego rozpocząłem badania naukowe nad historią sportu w Lublinie, w Zakładzie Historii Kultury Fizycznej w Gorzowie Wlkp. Nie wiem czy ta inicjatywa zakończy się doktoratem, ale wielki autorytet jakim darzę Pana Profesora nie pozwolił mi nie podjąć podpowiedzianego przez niego wyzwania. Żałuję tylko, że nie mogę realizować pracy naukowej w ZWWF w Białej Podlaskiej, bo to miejsce jest mi najbliższe.

Z wielkim zadowoleniem wracam tu co 5 lat na Zjazd Absolwentów i spotykam tych samych ludzi, w takim klimacie, jakby czas zatrzymał się wtedy... w latach 1988-1992.

*Z wyrazami szacunku dla tych wszystkich  
znanych mi osób, których nie zdążyłem  
w powyższym tekście wymienić.*

**Zbigniew Bujak**  
absolwent 1993



## WSPOMNIENIA ZE STUDIÓW

### Decyzja

**N**ADSZEDŁ moment w karierze zawodowej trenera taekwondo – co robić dalej (w sensie technologii treningu)? Dotychczasowe opieranie się na doświadczeniach własnych, podglądaniu innych oraz intuicji powoli ulegało wyczerpaniu. Rodziły się refleksje dotyczące racjonalności takiego postępowania w konfrontacji z poziomem wyników np. Koreańczyków. Studiowanie fachowej literatury (zresztą bardzo ograniczonej w tamtych czasach) też nie dawało odpowiedzi na szereg pytań lub po prostu nie pasowało do specyfiki dyscypliny. I przyszła decyzja – podjąć studia w AWF, tym bardziej, że filia miała siedzibę w rodzinnym mieście.

Miałem już pewne doświadczenia z tą szkołą. Na początku lat siedemdziesiątych we wszystkich podstawówkach złożyli wizyty przedstawiciele uczelni (trenerzy), namawiając do podjęcia treningów. W moim przypadku była to lekka atletyka. Po ok. roku treningów przyszło rozczarowanie: niepunktualność trenerów lub ich nieobecność na treningach oraz skupianie uwagi, przede wszystkim, na wybranych osobach, definitywnie zniechęciło do dalszej pracy, choć np. śp. Michał Bajbak czy obecny rektor wytrwali znacznie dłużej. Pozostało podglądanie przez okno (w „starej” sali gimnastycznej) zajęć programowych z judo i poszukiwanie odpowiedzi – dlaczego nie organizują takiej sekcji, gdyż sporty walki wydawały się znacznie ciekawsze od la czy gier zespołowych? Były także próby namówienia mnie (przez śp. H. Górniaka) do podjęcia treningów w podnoszeniu ciężarów i choć taki trening siłowy był do zaakceptowania, to już jego efekty zewnętrzne (związane ze zmianami wyglądu) wydawały się komiczne, podobnie jak przebieg rywalizacji sportowej.

Gdzieś tak w połowie lat siedemdziesiątych zjawił się jako student sensei Marek Bazylko. Indywidualność! Czarny pas i doświadczenie zawodnicze w judo, wysoki stopień wyszkolenia w karate kyokushinkai. W tamtych czasach to prawie kosmos, szczególnie w środowisku Białej Podlaskiej. TKKF zorganizował nabór do grup ćwiczebnych – i się za-

częło. Treningi wyczerpujące, bardzo wiele sytuacji wymagających błyskawicznego podejmowania decyzji (fragmenty walki ze współwziewającymi, ale i z trenerem), japońska nomenklatura, otoczka tajemnicy podsycana (może nawet nieświadomie) przez trenera, praktyczna demonstracja przewagi umiejętności techniczno-taktycznych nad siłą oraz kpiące spojrzenia, a niejednokrotnie i prowokujące komentarze ze strony ćwiczących obok ciężarowców. Mata była przecież w „starej” siłowni! Pamiętacie obok drzwi wejściowych „drewnianą ścianę płaczu”, którą należało pokonywać bez pomocy nóg, wkładając w otwory krótkie rurki trzymane w rękach. I radość, kiedy się ją po raz pierwszy udało pokonać. Grupy naborowe stopniały, z kilku stworzono jedną złożoną z najwytrwalszych i najbardziej odpornych psychicznie. Gdy padaliśmy ze zmęczenia nie mogąc złapać oddechu, słychać było komentarz – to jeszcze nic, w sekcji studentów dopiero się trenuje! Było niemożliwe do wyobrażenia, jak można znieść jeszcze większy wysiłek?! Aż wreszcie nadszedł moment, że zostało dosłownie kilku uczestników i dostaliśmy propozycję wspólnego trenowania z sekcją studentów. Z jednej strony było to wyróżnienie, z drugiej obawa czy podaliśmy, gdyż tyle o tej sekcji się nasłuchaliśmy. Do dziś pamiętam pierwszy wspólny trening. Przyszliśmy dużo wcześniej i przyglądaliśmy się jak schodzą się studenci, judogi przepasane żółtymi, zielonymi i niebieskimi pasami, w ogóle nie zwracają uwagi na takich „leszczy” jak my. Na zbiórce stoimy na końcu no i zaczyna się. Po kilkunastu minutach rozgrzewki i ćwiczeń wprowadzających z niedowierzaniem konstatujemy, że te zuchy z wysokimi stopniami wymiękają! Przede wszystkim kondycyjnie, pady tak sobie, a ćwiczenia w parach wykonują „na pół gwizdka”. W walkach treningowych braki techniki nadrabiamy siłą oraz wytrzymałością i jest nieźle. Na następnym treningu przez większość jesteśmy rozpoznawani i traktowani jak równi. Po pewnym czasie na zajęciach ćwiczymy tylko my, 2-3 studentów i sam trener. Trochę Markowi było głupio, że ta „groźna” sekcja, którą nas straszył jest tylko „taka sobie”. Po latach doświadczeń zrozumiałem, dlaczego w maju i czerwcu frekwencja i motywacja na treningach spada. Z judo się rozstałem na rzecz karate, gdyż jak stwierdził sensei albo jedno, albo drugie. Doświadczenia z judo i karate nauczyły wytrwałości, nieustępliwości oraz krytycznego słuchania.

### **Egzaminy wstępne**

Decyzję o zdawaniu podjęliśmy z kolegą. Weryfikacja wymagań i ja wybieram fizykę (teoria), coś chyba z wiedzy o kulturze fizycznej lub sporcie, gimnastykę, lekką i pływanie. Gimnastyka to luz, bo na mój

gust byłem sprawny i ćwiczyłem taekwon-do, pływać od dziecka umiałem (może niezbyt stylowo) a z lekkiej było 100 m, kula i 1500 m. „Stówę” się jakoś przebiegnie, kulą za dużo się nie pchnie (ważyłem wtedy 63 kg), niewiadoma to 1500 m. Bieżnia stadionu MOSiR ma w obwodzie 440 m (tak nam powiedział „cieć”) więc poszliśmy zrobić próbę – jedno kółko. Czas okazał się niezły, więc nie powinno być problemów nawet bez przygotowania. Trochę inaczej było podczas egzaminów. Pamiętam czerwone plamy przed oczami w biegu wytrzymałościowym i jak przez mgłę podpowiedź J. Sadowskiego – biega się rękami! Na gimnastykę się spóźniłem więc nie znałem zasad wykonywania ćwiczeń i punktacji. Coś tam podglądałem u innych i już mnie wywołują do jakiejś ewolucji na drążku. Wykonuję, a oceniający podaje punktację – 10. Podchodzę i pytam czy to dobrze, a facet myśli, że „jaja sobie robię”. Lekki kwas. Jakoś te wstępne egzaminy zdałem.

Pierwsze zajęcia z biologii. Sala jak klasa w szkole, gościu coś przez półtorej godziny tołkuje jak nakręcony, a ja po szkole technicznej i z biologią na poziomie podstawówki, niewiele rozumiem – nawet notować nie nadążam! Parę razy podchodziło się do zaliczenia. Na egzaminie byłem obkuty, ale nie ze wszystkiego. Nie zdążyłem o hormonach, a na nieszczęście jedno z trzech pytań dotyczyło właśnie hormonów. Ale dwa pytania wystarczyły – egzaminator wstaje (egzamin ustny) i gratuluje zostania studentem. Kilka osób na biologii poległo, na mój gust zdolnych i nadających się znakomicie na nauczycieli. Ale taki los.

Zajęcia ruchowe – koszykówka. Ze szkół wyniosłem praktycznie zero poziom umiejętności i nigdy koszykówka mnie nie pociągała. Starania (w podstawówce nr 6) A. Lachowicza bardziej przekonały do siatkówki. Jedno zaliczenie, drugie aż któryś z kolei raz jakoś się udało – może puścili z litości. Przy wpisie do indeksu uwaga prowadzącego – ma pan za sztywny nadgarstek. Ja na to – przez kilka lat specjalnie go utwardzam, bo w karate i taekwon-do jest to ważne. Prowadzący – wiemy o tym od początku, ale sprawdzaliśmy wytrwałość!

### **Obóz zimowy**

Tego roku zimy praktycznie nie było. Do końca nie wiedzieliśmy czy obóz odbędzie się czy zostanie odwołany. Jadę z dwoma parami nart (wtedy jeszcze były także biegówki) do Warszawy. Ludzie patrzą jak na idiotę, leje deszcz i jest ok. +10<sup>0</sup> C. Narty Polsport lub coś podobnego, wybrałem 165 cm długości, żeby były lekkie i poręczne w podróży, biegówki też nie za długie – wszystko wyglądało jak dziecinne! Z Warszawy do Wrocławia wybrałem się LOT-em, gdyż dowiedziałem się o pro-

mocjach i dla studentów wychodziło taniej niż pociągiem. Niewiarygodne, ale tak było. Zresztą jechałem z jednodniowym opóźnieniem, gdyż jak zwykle byłem na zawodach, więc musiałem się spieszyć. Z Wrocławia do Wałbrzycha pociągiem (także te spojrzenia z politowaniem) i dalej do Sokolca autobusem. W pobliżu Sokolca pojawił się na szczęście śnieg i do schroniska wspinałem się po śniegu „wypluwając” płuca. Tam, gdzie mieliśmy narciarstwo zjazdowe śniegu była ok. 300 m lata, a więc ciągle podchodzenia. Za to w lesie, gdzie ćwiczyliśmy biegi śnieg po pachy. Kończąc obóz nie wiedzieliśmy co to wyciąg, że o ratraku nie wspomnę.

Po zakończeniu zajęć w swojej grupie zawsze zostawałem, aby jeszcze trochę pojeździć. Próbuje NWN-u i słyszę za sobą głos jednego z prowadzących: pie...lisz robotę, to nie tak! Po krótkiej demonstracji i tak dosadnej uwadze od razu zaczęło wychodzić!

### **Obóz letni**

Po przyjeździe do Rybitw, jak zobaczyłem waruneczki, to od razu chciałem wyjeżdżać! W głowie się nie mieściło, że to ma być obóz studencki. Stęchłe namioty, spleśniałe materace, jakieś wrażenie bałaganu i zaniedbania. Te przygnębiające spostrzeżenia potęgował siąpiący deszcz i ogólna pustka, gdyż załapałem się na przejazd autobusem, który wiozł pracowników i jakiś sprzęt, więc byłem dzień wcześniej. Na drugi dzień od rana zaczęli się zjeżdżać studenci jeszcze nie wytrzeźwiali lub już podpici i wtedy zrozumiałem błąd – po prostu przyjechałem trzeźwy. W moim namiocie dobrała się ekipa, która chyba miała jeden główny cel – nie trzeźwieć przez cały obóz! Ze mną chcieli mieszkać licząc na pobłażliwość nauczycieli, gdyż byłem z Białej więc, w ich mniemaniu powinienem mieć specjalne względy.

Po kilku dniach przekonałem się, że program obozu był beznadziejny! Najciekawszych (dla mnie) zajęć było relatywnie mało np. windsurfingu i żeglarstwa natomiast pozostałe wydawały się długie i nudne. Zajęcia z ratownictwa byłyby niezłe, gdyby nie przenikliwe zimno!

W połowie obozu dostaję telegram z powołaniem na zgrupowanie kadry Polski przed wyjazdem na Mistrzostwa Świata do Kanady. Zgrupowania miało nie być z uwagi na brak środków, ale ówczesny spiritus movens polskiego taekwon-do T. Łoboda zastawił mieszkanie teściów, zdobył kredyt i rozpoczęto przygotowania. W połowie programowego obozu nikt mi nie zaliczy zajęć, więc lekka panika. Telefoniczna konsultacja i poza zajęciami dydaktycznymi rozpoczynam specjalistyczne treningi taekwon-do. Na ok. 3 dni do końca telefon, że jak jutro nie za-

melduję się w Giżycku (tam trenowali kadrowicze), to wylatuję z kadry. Piszę podanie do kierownictwa obozu, większość prowadzących decyduje się zaliczyć przedmiot na podstawie uczestnictwa w zajęciach, ale z kajaków nie. Rano przed wyjazdem ustawiono tor, zebrał się prawie cały obóz a ja wiośluję. We wczesnej młodości na Krznie sporo pływałem, więc kajakarstwo to nic nowego. Koledzy z namiotu chcieli wrzucić do wody prowadzącego kajaki!

### **Egzamin magisterski**

Dzisiaj już zabroniono takich imprez po obronach. Magistranci z torbami, pakunkami itp. wędrowali do dziekanatu przygotowując przyjęcie. Wymyślne ciasta, kawa, jakieś soki, owoce – jak na weselu. Ja nie gorszy, tylko w dniu egzaminu wyjeżdżałem z zawodnikami na Mistrzostwa Polski. Więc, gdy ja biedziłem się na ostatnim egzaminie, zawodnicy przebierali nogami w samochodzie. Po dwóch łykach kawy, już jako magister pożegnałem komisję i biesiadę i w drogę (ok. 600 km). Mistrzostwa okazały się udane.

### **Wręczenie dyplomów**

Gdzieś tak w połowie III roku zacząłem przywiązywać wagę do ocen z przedmiotów. Już nie zadawałem się „państwowym” 3,5 ale ambicje były wyższe. Wynikało to także z poszukiwań i ciągłego dręczenia nauczycieli pytaniami, zadawanymi w kontekście możliwości ewentualnego wzbogacenia procesu szkolenia taekwon-do. A ponieważ po ćwiczeniach czy wykładach ciągle o coś pytałem, to na zaliczeniach i egzaminach więcej po mnie oczekiwano. W sumie jakoś tak wyszło, że zrobiła się jedna z najwyższych na roku średnia ocen ze studiów. Dostaję informację, że po dyplomie mam się zgłosić na inaugurację kolejnego roku akademickiego. Stoję skromnie pod filarem w „starej” auli, ktoś wyczytuje moje nazwisko i słyszę obok głos dr B. Bergier – a kto to taki? Przechodząc obok mówię, że to właśnie ja. Na to Pani Bergier z reflekssem i jak zwykle ciepłym uśmiechem – już teraz na pewno nie zapomnę!

W sumie nie do końca studia spełniły moje oczekiwania jako trenera, gdyż wychowanie fizyczne trochę różni się od sportu. **Ale warto było!**





**Mariola Zajkowska-Magier**  
abslowentka 1993



## WSPOMNIENIA

**S**TUDIA. Cudowny okres w naszym życiu. Niesamowite, że tyle się działo. Poznałam mnóstwo ludzi. I to cudownych ludzi, z którymi mogłam świetnie spędzić czas. Potrafiliśmy połączyć zabawę z nauką i zaliczeniami. Najwięcej nauczyliśmy się na I roku, zwłaszcza anatomii. Ale potrafiliśmy się sprężyć, usiąść, wykuć i jeszcze w grupkach powtórzyć. Nie było źle, nawet miałam dobrą ocenę. Jednak na egzaminie mi się nie powiodło – ocena niedostateczna. Dlaczego? Najłatwiej powiedzieć, że wszystko umiałam, ale Pani się uwzięła, ale tak nie było. To nie Pani Doktor się uwzięła, ale ja sama zawałam. Przygotowując się do egzaminu, przejrzałam w zeszycie wszystkie tematy: „to umiem, to pamiętam... „i tak do końca, wydawało mi się, że wszystko pamiętam. Prawda była inna. Gdy dostałam konkretne pytania – to niestety, nic nie potrafiłam z pamięci wyrwać. Pani Doktor (chylę czoła) dała mi drugą szansę, nie wstawiła dwójki, miałam przyjść za dwa dni. W tym czasie znowu wszystko przejrzałam i znowu wydawało mi się, że ja to wszystko umiem. Niestety, tym razem już dostałam łufę, która zepsuła mi całe wakacje.

Potrafiliśmy też do pewnych zaliczeń podejść z uśmiechem i żartem. Zaliczenie z fizjologii – trudne, okres Świąt Bożego Narodzenia. Przebrałam się za Mikołaja, stanęłam w sali ćwiczeń na parapecie za zasłoną. Pan Doktor zaczął zajęcia, sprawdza listę, a tu niespodziewanie coś spada z parapetu, bum – Mikołaj wyskakuje zza zasłony, wielkie zaskoczenie, a nawet Pan Doktor się przestraszył. Kupa śmiechu i oczywiście w miłej atmosferze wszystkie zaliczyłyśmy. Zaliczeń z humorem było dużo więcej. Przypomnę może jeszcze zaliczenie z piłki nożnej. My – dziewczyny mamy żonglować, kopać, strzelać – i to celnie do bramki? – nie do przejścia. A zatem w przeddzień zaprosiłyśmy Pana Doktora na miłe i dłuuuuuugie spotkanie. Liczyłyśmy też na to, że Pan Doktor nas bardziej polubi i dodatkowo, że nie przyjdzie na ósmą rano na zaliczenie. Przychodzimy, a tu – niestety Pan Doktor jest, tory zaliczeniowe są przygotowane, a my? No cóż, miny skwaszone. „Kto czuje się lepiej przygotowany do zaliczenia – to tor I, gorzej – tor II”. Niepewnie się poustawiałyśmy i zaskoczenie. „I – ocena bdb, II – ocena db”. I to się nazywa zrozumienie. W życiu jest tak, że najwięcej możemy osiągnąć odpowiednim, ludzkim podejściem. Nasz rocz-

nik to potrafił i w związku z tym dobrze układała nam się współpraca z prowadzącymi.

Do tej pory wspominamy wiele sytuacji, wiele zaliczeń, wielu prowadzących. Najlepiej się pamięta te, które łączyły się z wielkimi trudnościami. Do dzisiaj pamiętamy stres związany z gimnastyką, zaliczeniami poszczególnych elementów, zawodami; z LA – flopem, skokiem w dal i inne, ale wspominamy to z uśmiechem, umieliśmy sobie poradzić. Liczy się uśmiech i odpowiednie podejście. Wówczas dostaje się to samo. Na przykład Pan prof. Sadowski, na rękach z małym Kajtkiem po południu, nie w ramach zajęć, ale swojego spaceru – wolnego czasu jeszcze nam dawał wskazówki jak skakać, a na drugi dzień na zaliczeniu – ocena bdb. Dobry nauczyciel i pojętny uczeń. Dzisiaj dziękujemy!!!

Patrząc z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że był to cudowny okres w moim życiu, wiele się nauczyłam, studia przygotowały mnie do życia. I za to wszystko dziękuję wszystkim PROWADZĄCYM i wszystkim KOLEGOM i KOLEŻANKOM!!!

Następnie przyszedł okres, w którym stanęłam po drugiej stronie. Zadanie dużo trudniejsze. Początki pracy nie były łatwe. W zajęciach uczestniczyli studenci, których znałam jeszcze ze studiów. To nie było łatwe stanąć przed nimi w roli prowadzącego. Niemniej fakt, że to też moja uczelnia, znam ją, znam prowadzących pomagał mi. Spotkałam się z wielką życzliwością w Zakładzie. W tym miejscu pragnę podziękować Panu prof. Cieślińskiemu, Pani dr Włostowskiej oraz Ani Turosz, mojej cudownej przyjaciółce. Dużo się od Nich nauczyłam, wiele mi pomogli. Jeszcze raz serdecznie dziękuję!!!

Wiele też się nauczyłam i nadal się uczę od samych studentów. Zależy mi na tym, by byli w pierwszym rzędzie dobrymi ludźmi, a następnie dobrymi wychowawcami i nauczycielami. Ale jak każdy człowiek, ja również popełniam błędy, za co przepraszam każdego z osobna.

Podczas tych kilku lat pracy wydarzyło się wiele miłych zdarzeń, wiele sytuacji, które nie raz wspominam, też wiele śmiesznych sytuacji. Zaliczenie pisemne z pedagogiki. Nie pozwalałam ściągać, zależy mi na uczciwej ocenie. Niemniej studenci czasami próbują i są w tym bardzo pomysłowi. Jednak w tym miejscu chciałabym zaprezentować najciekawszą pracę zaliczeniową z pedagogiki przemiłego studenta II roku – Bartosza – ZALICZENIE Z DYDAKTYKI

ANATOMIA, GIMNASTYKA (CHYBA ONI SPADLI Z BYKA)  
TERAZ JEST PEDAGOGIKA  
CAŁĄ NOC NAD NIĄ SPĘDZIŁEM  
LECZ SIĘ DOBRZE NAUCZYŁEM  
DEFINICJĄ OPERUJE  
BO TO ZAGADNIENIE „CZUJE”

MAM GO W SERCU NO I W DUSZY  
CAŁY CZAS MÓJ ROZUM GŁUSZY!!!  
JEST REGUŁEK W NIEJ BEZ LIKU  
CZY W ZESZYCIE CZY W SŁOWNIKU  
DZIECI DOBRZE WYCHOWUJE  
DOBRA DROGĘ IM WSKAZUJE  
WIEDZA, KTÓRĄ DYSPONUJE  
DOBRZE DZIECIOM PRZEKAZUJE  
WAŻNE JEST TU TEŻ KSZTAŁCENIE  
DO KULTURY WPROWADZENIE  
TO NAM DAJE WYKSZTAŁCENIE  
KTÓRE **BARDZO, BARDZO** CENIĘ.  
TAKŻE SYSTEM DYDAKTYCZNY  
W ŻYCIU BARDZO JEST PRAKTYCZNY  
JEST TU SYSTEM TRADYCYJNY  
NO I NOWY – „ATRAKCYJNY”  
OPRÓCZ ZADAŃ SĄ TEŻ CELE  
JEDNAK JEST ICH TU ZA WIELE  
BY OPISAĆ JE DOKŁADNIE  
I ZRYMOWAĆ BARDZO ŁADNIE  
NA TYM SKOŃCZĘ SWOJĄ PRACĘ  
CHYBA NA TYM „NIC” NIE STRACĘ.  
BARDZO SIĘ NAPRACOWAŁEM  
BY MIEĆ WIĘCEJ NIŻ TĘ PAŁĘ  
NASZA PANI JEST WSPANIAŁA  
KOMU DZIŚ WYCHODZI PAŁA  
TRÓJĘ BĘDZIE MIAŁ SPOKOJNIE,  
JAK WYWALCZY JĄ NA „WOJNIE”.

To jest dowód na to, że liczy się inteligencja emocjonalna. Przecież po przeczytaniu takich słów człowiek nie ma sumienia postawić dwóji, fajnie, że są tacy studenci.

Wiele lat spędzonych tutaj utwierdza mnie w przekonaniu, że jest to super uczelnia, super studia i super studenci. Lubię swoją pracę, lubię to, co robię i życzę wszystkim studentom, by po skończeniu studiów lubili swoją pracę.

Chciałabym również podziękować Teresie Jaślikowskiej-Sadowskiej za wspaniałą pomysł i jego realizację w spisaniu wspomnień absolwentów i pracowników. Jest co wspominać.



**Tomasz Wieczorek**  
absolwent 1995



## WSPOMNIENIA

**W**IELOKROTNIEM budziłem się w nocy czy nad ranem przerywając sen, w którym pojawiali się ludzie, zdarzenia, miejsca, sytuacje z moich studiów. Ten sen wraca często i teraz już wiem, że czegoś nie dokończyłem, coś jeszcze zostało do zrobienia. Być może to właśnie ten czas, by pozbyć się tego snu, napisać wspomnienia z tych chwil, które na trwałe zapisały się w mojej głowie. Z pewnością muszę wracać też ciałem, to jest całym sobą do Białej Podlaskiej (lubię tu być przy każdej możliwej sposobności), a tego typu sytuacje jak zjazdy absolwentów dają ku temu okazję. Siadając do napisania czegokolwiek, człowiek zastanawia się od czego zacząć, co ująć, by czegoś lub kogoś nie pominąć, by to co napisze zaintrygowało, zainteresowało czytających, rozśmieszyło, wzruszyło, a przede wszystkim pobudziło do wspomnień, bo przecież w tej podjętej próbie o to chodzi. Z pewnością będę wyrazicielem opinii wielu absolwentów białskiej uczelni, iż studia, zwłaszcza w tym miejscu tzn. w Białej Podlaskiej, to najciekawszy etap życia młodych ludzi, ambitnych, z wyobraźnią i pomysłami, czasami szalonych, nieobliczalnych i właśnie o takich chciałbym tu napisać, o początkach przyjaźni, niespełnionych miłościach, nieudolnych próbach założenia kabaretu, sukcesach i porażkach sportowych, wspaniałych imprezach do białego rana, wyjazdach, aspektach naukowych i wielu innych, związanych stricte z życiem studenckim. Czuję się zaszczycony i wyróżniony, że zostałem zaproszony do grona osób, których wspomnienia mają być zebrane w jedną całość z okazji jubileuszu powstania uczelni. A zaczęło się to tak...

Był 1991 rok, pomyślnie zdana matura, przemyślany wybór studiów (a miałem zdawać na historię lub archeologię) i pozostawała kwestia zdania egzaminów, konkurencja była jak zwykle duża (kilka osób na miejsce), stos podań w dziekanacie mówił sam za siebie. Na pierwszy ogień rzucono nas przed komisje lekarskie od stomatologa na laryngologu kończąc. O ile ja miałem wszystkie ząbki doprowadzone do ładu (jak straciłem część przyklejonej jedynki – to później), o tyle na przykład kolega „Cerata” rozbawił nas diagnozą po przyjściu z komisji stomatologicznej: „jak tam?” – spytaliśmy, „spoko” – odpowiedział „Cerata”, „2 ubytki, 6 korzeni” i uśmiechnął

się. Po części lekarskiej nawet nie wiem czy przystąpił do dalszej części egzaminów, ale na pierwszym roku go z nami nie było. Jak życie pokazało wziął się za siebie i po jakimś czasie (z pięknym uzębieniem) został studentem FAWF w Białej.

Część praktyczna i teoretyczna już wymagała od nas dobrego, uniwersalnego przygotowania, możliwość uzyskania tzw. pomocniczej dwójki pozwalała realnie myśleć o uzyskaniu statusu studenta AWF w Białej Podlaskiej i nie ukrywam, że między innymi dzięki temu udało mi się przejść sito egzaminów (dodatkowe punkty za klasę sportową i świadectwo maturalne z wyróżnieniem też miało znaczenie). Taką sytuację miałem podczas egzaminów z teorii i praktyki. Język rosyjski zdałem na cztery, wypracowanie z preorientacji zawodowej na pięć (nawet pamiętam temat „Uniwersalizm idei olimpijskiej a edukacja młodzieży”), ale na biologii powięła mi się noga. Swoją drogą test z biologii okazał się dla większości z nas trudnym orzechem do zgryzienia (duża część otrzymała ocenę niedostateczną). Dwójka pomocnicza z lekkoatletyki przy piątce z koszykówki i piłki nożnej oraz czwórce z gimnastyki też dała pozytywny efekt egzaminu. Dobrze, że kontuzja barku i ramienia przydarzyła się w czasie ostatniego zaliczenia (lekkoatletyka, a dokładnie pchnięcie kulą), bo miałbym problemy, a właściwie nie mógłbym dzisiaj wspominać edukacji na studiach.

Mimo tego, że każdy zdający był naszym potencjalnym rywalem w walce o fotel studenta, to podczas egzaminów pomagaliśmy sobie jak mogliśmy. I tak na języku rosyjskim kolega (dziś trener koordynator w jednym z wojewódzkich związków piłki nożnej) dzielił się ze mną swoją wiedzą, natomiast ja przedyskutowałem koledze (dziś oficer Straży Granicznej) prawie w całości pracę podczas egzaminu z preorientacji zawodowej. Na praktyce wzajemnie się dopingowaliśmy. To właśnie wtedy zaczęły zawiązywać się pierwsze przyjaźnie, które w niektórych przypadkach trwają do dziś. Pamiętam jak dziś, gdy w czteroosobowym pokoju w akademiku nocowało w trakcie rekrutacji 8,9 osób. To była ekipa z Chelma, Świdnika i Siedliszcza, niestety tylko kilku z nas dane było kontynuować naukę na uczelni. To właśnie wtedy zyskałem sobie sympatię kolegów i koleżanek dzięki numerom typu „Szyfcik”, „Helmut i Matylda” czy „Armstrong”, które były hitami wielu imprez podczas pierwszego roku nauki. PTTK, gdzie chodziliśmy na piwo, codziennie pękał w szwach, a gdy wywieszono listy osób przyjętych na AWF, emocjom nie było końca, płacz przeplatał się z okrzykami radości. Niestety część ludzi musieliśmy na tym etapie pożegnać, ale ci co zostali (na cztery wspaniałe lata) mieli stanowić o obliczu bialskiej uczelni we wszystkich aspektach życia studenckiego, że tylko wspomnę kilka pseudonimów osób, bez których życie w akademiku i poza nim byłoby naprawdę szare i smutne. Ściemniacz, Czorek, Matka, Zając, Egon, Dymek, Krawiec, Nora, Miły, Piasek, Bartek, Zibi, Czółko, Jezus, Dytka, Misiek,

Pol, Mały, Budzik, Śruba, Andzia, Padwa, Beef, Czarny, Asphalt, Ruciak, Owady – to do nich miał należeć najbliższy czas, jeśli chodzi oczywiście o facetów (nie obrażać się, jeśli kogoś nie wymieniłem). Nie znaczy to, że kobiety nie towarzyszyły naszemu studenckiemu życiu, zajmowały w nim dużo miejsca, o czym z pewnością wspomnę jeszcze nie raz. Z nimi źle, ale bez nich jeszcze gorzej

No i zaczęło się, nim przebrzmiały odgłosy wakacji, stanęliśmy z torbami i zapalem do wszystkiego, przed budynkiem uczelni i akademika (to tu mieliśmy poznać smak prawdziwych studiów, nie na stancjach). Niejasny jeszcze plan zajęć (ciężko było się połapać co to grupa B na teorii, C na praktyce), pierwsze opłaty za wikt i opierunek u przesympatycznej pani kierowniczkii Domu Studenta „Spartanin”, lokalizacja na bloku B, który już niedługo miał tętnić życiem. Warunki wówczas w akademiku były isticie spartańskie, rozpoczęty remont łazienek (vis a vis pokoju 3B, w którym mieszkalem z Darkiem Szmajdą, Jarkiem Budzyńskim i Norbertem Wysockim), obskurne ubikacje (często z winy studentów, którzy na drzwiach uprawiali poezję i prozę raczej podwórkową), przerwy w dostawie ciepłej wody. Nie mogę zapomnieć jak „Sisi” pomylił się i miast skrócić do ubikacji wszedł do nas do pokoju, otworzył szafę (konstrukcją przypominała drzwi do ubikacji) i już miał zacząć załatwiać potrzebę fizjologiczną. Gdyby nie szybka reakcja „Budzika”, który zażegnał niebezpieczeństwo, czyjeś ciuchy byłyby zmoczone w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zresztą, mieszkając naprzeciw łazienki, pomyłki wejść do nas zdarzały się wielokrotnie. Nic więc dziwnego, że z utęsknieniem czekaliśmy drugiego roku i awansu w hierarchii mieszkania na pierwsze piętro. Najlepsze jednak były szyby w łazienkach, a właściwie tam, gdzie prysznic. I tak z bloku B było widać co, dzieje się w ostatnich kabinach na bloku A, a z bloku C ostatnie prysznicze bloku B. Jak łatwo się domyśleć sama kąpiel pojedynczych osób nie była czymś dziwnym i nadzwyczajnym, o tyle, gdy pod prysznicami pojawiały się nieświadome podglądacze pary, to wtedy zaczynał się prawdziwy erotyczny seans (o ile cokolwiek robiono, robiono przy zapalonym świetle), którego bohaterowie dostawali brawa po wyjściu od widzów zgromadzonych już na schodach przed łazienkami (oczywiście nie zawsze tak było, część spektakli i jego uczestników zostawała anonimowa). Dopóki nie wymieniono szyb w tych oknach wielu studentów i studentek, jak również osób postronnych, nacinało się na to, ale wszyscy obracali to w żart, traktowali to z przymrużeniem oka, bo przecież „nic co ludzkie nie jest nam obce”.

Pierwsza dyskoteka w „Mecie”, jeszcze wtedy miałem zęba (tzn. całą jedynkę), ale po tańcu z Gerardem Karasiem, gdy bezwładnie pociągnął mnie na podłogę (ciekawe, dlaczego miał problemy z ustaniem w pionie), pożegnałem się z pełnym uśmiechem. Już wtedy wiedziałem, że czas na studiach to nie będą tylko przyjemności. Utrata części zęba to betka w porównaniu z kontuzjami i wypadkami, które miały miejsce w niedalekiej



przyszłości u części moich kolegów i koleżanek ze studiów. Ta dyskoteka pokazała, że nasz rocznik będzie słycać i widać. Potrafiliśmy się bawić razem i osobno jak nikt inny, nawet starsi rocznikowo studenci mówili, że tak zgranego i imprezowego rocznika dawno nie było, choć każdy poprzedni był na swój sposób niepowtarzalny.

To my daliśmy największą ilość sportowców do wszystkich gier zespołowych, piłkarze nożni (Tomasz Pietrasiński, Artur Anduła, Sławek Kopczewski, Andrzej Kucharski, Artur Woroniecki, Jarek Haczekiewicz, Andrzej Popławski, Tadeusz Pawłowski) i ręczni (Piotr Gołub, Sebastian Dytman, Dominik Czerwiński, Piotr Świercz), siatkarze (Krzysiek Mazurek, Wojtek Miszczuk, Sławek Myszka, Przemek Skorzyński „Sisi”), koszykarze (to dzięki nam powstała sekcja koszykówki męskiej, której filarami byli Norbert Wysocki, Tadeusz Zebzda, Zbigniew Wykowski i przez chwilę Paweł Maciaszczyk), a przede wszystkim nasze urocze, kochane siatkarki, obiekt westchnień (nie tylko moich) i kwiat naszego rocznika (Asia Stalewska, Jola Opasińska, Iza Ułanowska, Ania Wej, Agnieszka „Bochenek”, Iwonka Gorzelańska). Łączyła nas miłość do sportu, ale dużo czasu spędzaliśmy też ze sobą jak normalna wielodzietna rodzina, dziewczęta robiły nam kolacje, my usypialiśmy je do snu, wymienialiśmy się notatkami z wykładów, bo sztuką było zaliczyć obecności na wszystkich, korzystaliśmy z zeszytów ćwiczeń, podtrzymywaliśmy się na duchu w trudnych chwilach, mobilizowaliśmy się nawzajem przed sesją, piliśmy, śpiewaliśmy i tańczyliśmy razem. Szczególnie wspominam dwie z nich, a mianowicie Asię Stalewską, w której kochałem się straszliwie (chyba nie tylko ja), do której nawet wysłałem przygodnie spotkanego pod jej blokiem chłopaczka z kwiatami (tzn. dałem gościowi 2 złote, by te kwiaty zaniósł do jej mieszkania). Patrzyło się na nią z „apetytem” (przepraszam za takie kulinarne określenie) zarówno podczas gry w siatkówkę, jak i podczas codziennych zajęć uczelnianych, była z pewnością kobietą w moim typie, zgrabna, śliczna, ale niestety jak na tamten czas nie do zdobycia (jak udział w Mistrzostwach Europy w piłce nożnej dla Polaków). Druga ważna osoba (szkoda, że po I roku przeniosła się do Łodzi, ale – po prostu – wolała być bliżej domu), która była mi bratnią duszą i spowiedniczką, to Jola Opalińska, której wiersze nastrajały bardzo optymistycznie, i która rozumiała mnie najlepiej. Do niej chodziłem z każdym problemem, zawsze uważnie wysłuchała, doradziła, jak na tamten czas to chyba była przyjaźń, roczna, ale przyjaźń, bo co do tego nie mam wątpliwości. Ona jak nikt, potrafiła ubierać rzeczy, sytuacje, zdarzenia w słowa (wiele jej wierszy i myśli mam w swoim korespondencyjnym pudełeczku). To pewnie dzięki niej od czasu do czasu i ja coś skrobałem (bywa, że i dziś), a jedną z nieudolnych prób był ten wierszyk (aż dziwne, że go jeszcze mam) bodajże z pierwszego roku, który wytyczał w pewien sposób drogę na przyszłość:

GDY MUZYKA GRA WIECZOREM  
MYŚLĘ O NASTĘPNYM DNIU  
JAK ODSUWAM JEDNĄ STORE  
I UCZELNIE WIDZĘ, TFU  
ZA TRZY ÓSMA MYJĘ ZĘBY  
BIEGNĘ SZYBKO LEDWO TCHU  
ZNOWU PROWADZĄCYCH GĘBY  
AŻ W ŻOŁĄDKU GORZEJ, TFU  
PO ZAJĘCIACH ZNÓW DO „ŻAKA”  
BY „POSIEDZIEĆ” SOBIE TU  
ALE RODZI SIĘ MYŚL TAKA  
JUTRO NA ZAJĘCIA, TFU  
WIĘC KOLEDZY MOI MILI  
KTÓRYCH MAM OKOŁO STU  
CHOĆBYŚMY CODZIENNIE PILI  
TRZEBA SKOŃCZYĆ STUDIA, TFU

(Proszę mi wybaczyć tę bezpośredniość szanowni prowadzący, ale takie odczucie miałem w danej chwili, gdy wziąłem coś do pisania w rękę).

Do dziś z czułością sięgam do listów i kartek, które otrzymywałem od Asi i Joli. To one w pewien sposób nauczyły mnie patrzeć inaczej na miłość i życie. Jeśli mogę, to w tym miejscu chciałbym im podziękować, dziewczyny zawsze będę was miał w pamięci i w sercu, i cieszę się, że uśmiechacie się do mnie ze zdjęć, które mam z wami i od was.

Chaotycznie rzucam myślami, ale nie mam aż takiego doświadczenia w pisaniu wspomnień, łatwiej jest mi pisać dziennik i teraz z perspektywy lat żałuję, że tego nie robiłem podczas studiów. Pierwszy rok niósł ze sobą wiele zmian w moim życiu, również sportowym. O mały włos załapałbym się do drużyny koszykówki i kto wie, co by było, gdybym trenował dalej, zostałem jednak przy piłce nożnej, bo czułem się raczej futbolistą niż koszykarzem. Jak wspominałem na naszym roku było wielu piłkarzy i tylko najlepsi dostąpili zaszczytu reprezentowania barw AZS.

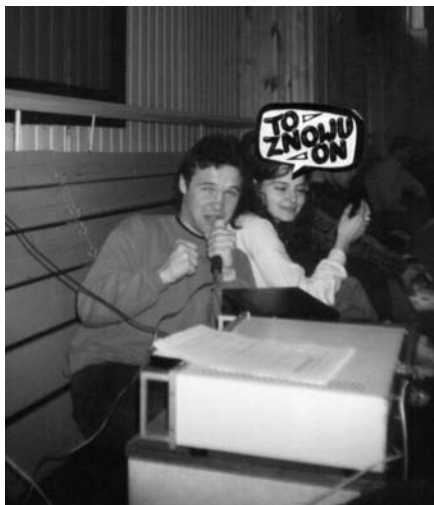
Z pomocą „Ursusa” (kolega z IV roku) załapałem się do lokalnego rywalu Podlasia, które walczyło w lidze białsko-siedleckiej. Tu spędziłem 2 sezony dwukrotnie grając baraże o III ligę, niestety bezskutecznie. Na III roku powstała II drużyna AZS AWF, z którą wywalczyłem awans do ligi międzyokręgowej jako kapitan, pod wodzą Jacka Syryjczyka. Oczywiście my piłkarze, niezależnie jakie barwy reprezentowaliśmy, trzymaliśmy się razem, a po zwycięskich meczach nie obywało się bez hucznych imprez. Takie spotkania integrowały naszą społeczność i nawet ówczesny trener Henryk Grodecki z małżonką ich nie omijał. Piłka nożna w tym czasie nie była dla nas tylko odskocznią od uczelnianych zajęć, ale także przepustką



do otrzymania, po ukończeniu dwuletniej specjalizacji, dyplomu trenera II klasy. Jak się okazało po latach nauka nie poszła w las, wielu z nas prowadzi drużyny ligowe na różnych frontach i w różnych kategoriach wiekowych, niektórzy jeszcze jeszcze grają, wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy skarb kibica.

Cztery lata temu, przebywając w Holandii na turnieju piłkarskim z grupą młodych piłkarzy z Chełma, spotkałem kolegę po fachu Artka Woronieckiego ps. „Beef”, który prowadził chłopców z Białegostoku. Było to ciekawe przeżycie, nie spotkaliśmy się w Polsce przez tyle lat, ale na obcym gruncie, w tym nieoczekiwanym miejscu i czasie, ale spotkaliśmy się dlatego, że łączy nas wspólna pasja, którą zaczęliśmy pielęgnować i rozwijać od studiów w Białej Podlaskiej. Piłka nożna była, jest i będzie w sercach wszystkich nas, a w tym miejscu pozwolę sobie na chwilę prywaty, właśnie dzięki piłce poznałem swoją przyszłą żonę Kasię i chyba dobrze, że (proszę się nie gniewać, że nie pamiętam nazwiska) trener białskich koszykarzy „Dzabbar” nie zostawił mnie przy basketballu, aczkolwiek umiejętności koszykarskie rozwijałem po studiach, grając z powodzeniem w miejskiej lidze TKKF (w naszej drużynie grał także Grzesio Miszczuk „Misiek”, absolwent Białej i chwilowy student Irek Różański „Róža”). Będąc dalej w sferze sportowej nie mogę zapomnieć, że w pewien sposób w koszykówce zostałem, bo przez jakiś czas byłem protokolantem na meczach AZS AWF Biała Podlaska (dzięki temu nie musiałem zaliczać protokolowania na zajęciach, a skądinąd wiem, że studenci mieli z tym problemy). Dzięki temu, że byłem piłkarzem AZS, pan Leszek Cicirko zwolnił mnie z zajęć

piłki nożnej (mogłem się wyspać raz w tygodniu, bo piłka zaczynała się o ósmej rano). W ramach specjalizacji trenerskiej pan Józef Bergier wyznaczył mnie do opieki nad panem Kuklą, który w hali uczelni bił rekord Guinnessa w podbijaniu piłki głową w siadzie. To było przeżycie, była telewizja, kibice, ja liczyłem powtórzenia, on w trakcie zonglerki jadł owoce, zdejmował i nakładał bluzę dresową i tylko szkoda, że mimo kilkunastu tysięcy odbić piłka spadła mu na podłogę i rekord nie padł. To dzięki istnieniu w akademickim sporcie miałem do czynienia z mikrofonem.



Udało mi się prowadzić jako spiker kilka meczów drugoligowych piłkarzy ręcznych. Być może dzięki temu do dziś jestem zatrudniany w tym charakterze podczas charytatywnych lub strictly sportowych imprez piłkarskich w Chełmie (np. coroczny turniej pod hasłem „Dorośli – dzieciom”). To kolejne doświadczenie zdobyte na uczelni i procentujące dzisiaj.

Bardzo ciekawe i godne zapamiętania były dla większości studentów, wówczas II roku, zawody gimnastyczne.



Jest to małe święto gimnastyki sportowej i akrobatycznej, podczas którego sale zawsze były wypełnione po brzegi, a rywalizacja przynosiła momenty grozy, jak również potrafiła rozbawić do łez. Chyba każdy z chłopaków i dziewcząt pamięta godziny spędzone na trenowaniu układów na poręczach czy drążku, te wielkie ilości siniaków na różnych częściach ciała, a w końcu ulgę, że to już za nami. Do dziś nie zapomnę jak Andrzej Sroka (notabene gość urodzony w tym samym dniu, miesiącu i roku co ja, ale w Leżajsku) kończąc układ na ścieżce saltem w tył spadał na plecy, kark i mimo tego, że to groźnie wyglądało on podnosił się jak gdyby nigdy nic i prosił kilkakrotnie komisję o powtórzenie salta. Po takich kilku próbach widzowie parskali śmiechem, bo to już bawiło wszystkich. Tutaj także pozwolę sobie na małą prywatę, zarówno na zawody z gimnastyki sportowej, jak i akrobatycznej grupę do sali przy akompaniamencie wprowadzałem właśnie ja (a wcale nie byłem najniższy, po prostu najładniej chodziłem?!?).



Kolejną imprezą, która cieszyła się dużym zainteresowaniem były międzyrocznikowe zawody w koszykówkę (dalej koszykówka), w których brała udział reprezentacja kadry uczelni. Do dziś pamiętam transparenty z napisami „Kiedy Zibi nas prowadzi nawet kadra nie poradzi” czy „Z III rokiem była wpadka, ale z kadrami inna gadka” i mój kosz podczas jednego ze spotkań w ostatnich sekundach za 3 punkty, co było 100 punktem w tym meczu i koledzy znoszący mnie na rękach z parkietu. To były cudowne przeżycia. Szkoda tylko, że nawet nie mam kserokopii dyplomów z tych zawodów, za to jeden z dyplomów z międzyrocznikowego turnieju w piłkę



nożną jest w moim posiadaniu. W 1994 roku zajęliśmy II miejsce, a ja byłem kapitanem zespołu, który zagrał w składzie: Tomasz Wieczorek, Mariusz Czarnecki, Artur Woroniecki, Paweł Godała, Artur Anduła, Jarek Haczekiewicz, Darek Rogulski, Albert Malesa, Tomasz Kalkucki, Andrzej Popławski i Piotr Miszkiewicz. Niestety, nie pamiętam kto wygrał. Warto również wspomnieć o zawodach w dyscyplinie, a raczej grze rekreacyjnej jaką jest unihoc. Ta gra przynosiła grającym, a także i mi niekłamana radość, drużyny były mieszane, współpraca męsko-damska układała się na parkiecie znakomicie, nic więc dziwnego, że niedługo potem powstała na uczelni drużyna unihoca, którą opiekowała się pani dr Maria Bilska. O tej pani można wypowiadać się w samych superlatywach, ci, którzy mieli z nią do czynienia, z pewnością przyznają mi rację. Dlatego w tym miejscu przejdę do wspomnień z wyjazdów, które dla mnie osobiście były najlepszą rzeczą jaką mogła się znaleźć w programie studiów. Mam tu na myśli obóz letni, zimowy, wędrowniki letnie i praktykę kolonijną. Tuż po pierwszym roku studiów, w czasie letnich wakacji obowiązkowo studenci muszą zaliczyć obóz letni, podczas którego mają do czynienia z żeglarstwem, elementami ratownictwa wodnego, kajakarstwem czy windsurfingiem, a także z atletyką terenową. Jak wyglądała podróż do bazy obozu w Rybitwach/Pisza nie muszę chyba nikomu przypominać. Ktokolwiek podróżował pociągiem w wakacje, zdaje sobie sprawę co dzieje się na dworcach i w samym pociągu. To wchodzenie i wrzucanie bagaży przez okna, wesola i rozśpiewana atmo-

sfera w przedziałach, sama rozkosz. Ale zderzenie z rzeczywistością, gdy dobiliśmy do Rybitw okazała się dla mnie i kilku moich kolegów uderzeniem młotkiem w głowę. Będąc jeszcze pod wpływem podróży i urodzin kolegi Krzywego, nie mogąc zasnąć kręciliśmy się po ośrodku i po porcie. Niestety, na drugi dzień (dzięki panu Wyciszkieviczowi) stanąłem do raportu i za, tak zwaną, niesubordynację musiałem opuścić obóz, po kilku dniach też kilku kolegów, którzy po pierwszej nocy na Mazurach otrzymali naganą. Ale w tym miejscu zacytuję fragment listu jaki otrzymałem od moich kochanych koleżanek z roku i tegoż obozu: „My wszyscy żałujemy, że ten obóz minie bez Twojej osoby, ale cóż, tak chyba musiało być, takie przeznaczenie, taka kara, dla przykładu. Jednak dla kogo ten przykład? Kiedy pół, ponad pół obozu codziennie chodzi do MZK i wraca po 1 w nocy, głośno, w stanie, w którym mówi się, że jest łatwiej na sercu, duszy...”. Nie chce się ani nikogo usprawiedliwiać, ale w końcu to były wakacje, pierwsze dla nas w takim gronie i w takim miejscu. Jak woda, wiatr, żagle wpływały na nastrój obozowiczów niech świadczą te słowa Joli Opasińskiej:

„WIATR PRZELATUJE  
PRZEZ MOKRE WŁOSY,  
ZATRZYMUJE MYŚLI,  
WRZUCA WSPOMNIENIA  
DO WODY”

Dziewczyny, które przysłały mi wtedy miłe pozdrowienia, dzięki! (Gucio-Sylwia, Anka Cieślik, Gosia K., Anka Wej, Ania Kudelska, Stela, Iza Ułanowska, Bochenek, Elka, Justyna). Tak mi się podpisałyście, więc tak was wymieniam.

Drugi termin obozu (a propos krótszy o tydzień) zaliczyliśmy wspólnie ze studentami zaocznymi. Wtedy zrozumiałem, że nie ma lepszego połączenia jak szum wody w jeziorze, wiatr w żagle, poranny zapach lasu, iskry z ogniska, kobiety w strojach kąpielowych, zimne piwo i szanty. Pierwszy raz w życiu jadłem tutaj raki, pierwszy raz trzymałem ster w ręku i robiłem zwrot przez rufę (całe szczęście bez „grzybka”), pierwszy raz brałem udział w maratonie w wodzie (IX miejsce na obozie), pierwszy raz stałem, a nawet surfowałem na desce z żaglem, no i pierwszy raz skądś mnie wydalono. Obóz letni na pudle imprez studenckich, bezsprzecznie.

Jak nie lubię zimy, tak wyjazd w trakcie II roku do Zieleńca na obóz narciarski spędzony w ciepłej atmosferze, pokazał uroki tej pory roku w górach, a całe szczęście, że dopisała pogoda i śnieg. Łatwo załapałem bakcyła, zwłaszcza jeśli chodzi o narty zjazdowe, o ile w pierwszy i drugi dzień zaliczyłem ponad 20 wywrotek na stoku (w trakcie wjazdu wyciągiem też), to kolejne dni przynosiły mi przyjemność jazdy mimo wielokrotnego podchodzenia. Sam wjazd na wyciągu „spluczkowym” to już był niezły kabaret. Wielu z nas spluczka uciekała spomiędzy nóg (dla nie wtajemni-

czonych spłuczka wygląda tak, jak ten przyrząd do przeczyszczania muszli klozetowej, więc jak mocno nie ścisnęło się nóg od pośladków po kolana to sobie można wyobrazić trud jej utrzymania) i zanim cała grupa docierała na szczyt upływało trochę czasu. Szusowanie po stoku na tak zwaną „krechę”, skoki na małych wzniesieniach, jazda po muldach to naprawdę podniecało. Ale na początku było ciężko i śmiesznie jak choćby w przypadku kolegi z III roku, który po zejściu z wyciągu kierował się w stronę łączki, na której ćwiczyliśmy i jechał prosto w krzaki, „skręcaj, hamuj” krzyczeliśmy, a on ze strachem w oczach, ale uśmiechem na twarzy skwitował: „ja drogi nie wybierałem” i wjechał prosto w chaszczę. Poobijani po pierwszych dniach z entuzjazmem przystępowaliśmy nie tylko do zjazdów, ale i nart biegowych, na których technika poruszania się sprawiała wiele problemów pewnym osobom. Co niektórzy, jakby mieli zaburzenia koordynacji i wyglądało to dosyć zabawnie, gdy walczyli z opanowaniem podstawowych ruchów na nartach biegowych. Ale góry to nie tylko narty. Nie wiem jak inni, ale ja wielokrotnie w wolnym czasie, oczywiście w towarzystwie damskim (a nazywała się Agnieszka Wyciszekiewicz – cóż za zbieżność nazwisk z pechem na obozie letnim, pozdrawiam Agnieszkę i dziękuję za listy) wybierałem się na spacer nad górski potok, siadałem na zwalonym drzewie, wpatrywałem się w górski krajobraz szczytów pokrytych śniegiem. Wieczorami siadaliśmy w Ski-Barze czy w Orlicy (dobrze pamiętam?) na grzonym piwku i wspominaliśmy dzień miniony. Zdarzały się również animozje słowno-wzrokowe z tubylcami lub obozowiczami z innych uczelni, ale po takim tekście, który zapodałem do jednego z wrogich stolików, wszelkie konflikty milkły. Przytoczę ten tekst, bo nawet wpisałem go chyba do pamiętkowej księgi Ski-Baru: „NIE BĄDŹ TAKI ELOKWENTNY W SWEJ EKSKLUZYWNEJ ERUDYCJI, BO PERCEPCJONALNIE RZECZ BIORĄC, SYNCHRONIZACJA ANALITYCZNA NASZYCH MYŚLI NIE ZBIEGA SIĘ”. Klimat w górach jest specyficzny, inaczej się oddycha, inaczej śpi, głowa wydaje się mocniejsza, a przede wszystkim nie czuje się tak zimna. Po tym, jak już opanowałem sztukę jazdy bez upadków, można mi wierzyć albo nie, jeździłem w samej koszulce na ramiączkach, przez co dostawałem burę od słynnego „Wujka”. Bez dwóch zdań obóz zimowy to drugie miejsce wśród wyjazdów.

Jak wcześniej wspomniałem pani Maria Bilka to wspaniała człowiek, nic więc dziwnego, że chętnych na obóz wędrowny pod jej kierownictwem było wielu. Pojechaliśmy pod namioty na Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie. Wystawa zdjęć na uczelni z celnymi opisami pani Marysi oddawała w pełni atmosferę, która panowała między, nią a obozowiczami. Do dziś pamiętam podpis pod zdjęciem, na którym widać było koleżankę Iwonę „Blondynę” z gazetą i mnie stojącego na pierwszym planie: „JEDNI CZYTAJĄ <TWÓJ STYL> INNI GO PO PROSTU MAJĄ” (dzięki p. Marysiu za docenieniu walorów, tylko szkoda, że nie mam tych zdjęć w swoim albu-



mie). Jak sama nazwa obozu mówi, oprócz typowego biwakowania również wędrowaliśmy podziwiając walory pojezierza, faunę i florę jezior Białego, Czarnego czy Glinek, kościół w Orchówku czy stację meteorologiczną we Włodawie. Nie obyło się również bez zabawnych sytuacji. Wracając z wieczornego ogniska było tak ciemno, że chciałem otworzyć namiot z drugiej strony i kilkanaście minut szukałem suwaka nie chcąc obudzić kolegi Marcina Grobla, dobrze że on się jednak przebudził, bo znalazłem wejście (ach te kielbaski pieczone na ogniu). Wieczory przeważnie spędzaliśmy otuleni (prawda dziewczyny?!?) w koce przy ognisku lub zapatrzeni w tafłę jeziora siedząc na pomostach, rozmawiając o życiu, uczuciach tych spełnionych i tych nie, marzeniach i planach. Czasami tak wychodząc z obozowiska na trasie łapał nas deszcz i wracaliśmy jak zmoknięte kury, ale był to przyjemny letni deszczyk, a kąpiel w jeziorze podczas takiej aury to istna frajda. Minęły dwa lata studiów, a więc półmetek, byliśmy zżyci bardzo ze sobą, ja przynajmniej nie wyobrażałem sobie spędzania czasu bez ludzi ze studiów i dlatego niechętnie wracałem do domu (chyba że po pieniądze i jedzenie domowe). Musiałem jednak wcześniej opuścić obóz wędrowny, bo w Białej właśnie z Podlasiem miałem walczyć w barażach o III ligę, ale bez wątplenia najlepsza impreza wyjazdowa na studiach to wędrownki.

Pozostając w klimacie wielkich imprez nie można pominąć Połówek naszego rocznika. Nim znaleźliśmy się na sali balowej musieliśmy przejść przez wymyślny tor przeszkód przygotowany przez III rocznik. Zabawa była przednia, to jedna z niewielu możliwości, by zatańczyć ze swoją prowadzącą lub prowadzącym. W takim zestawieniu nie spotkaliśmy się później już ani razu, a jak się bawiliśmy to oddaje nagranie na kasecie VHS (kolejna rzecz, której nie posiadam w swoich zbiorach). Śpiewała nam Marta Bednaruk z zespołem, która przez jakiś czas studiowała z nami, a noc uświetnił kabaretowy występ ludzi, których poprosiłem o współpracę (Norbert Wysocki – gitara, śpiew, Paweł Zając – reklama, Tomek Przybysz – teksty, śpiew, Sławek Wnuk – teksty). Muszę przyznać, że trochę rozkręciliśmy wszystkich, bo żalowali, że tak to szybko się skończyło. Wiersze, skecze i piosenki może nie były z górnej półki, ale rozgrzały publikę. To oczywiście nie jedyny występ naszego kabaretu na studiach (jeśli to można było nazwać kabaretem, w każdym razie może go przypominało). Już na I roku daliśmy próbkę swoich umiejętności w klubie akademickim „Meta” (bardzo się spodobałiśmy pani Zofii Cicirko), co zaowocowało zaproszeniem nas na inaugurację roku 1992/1993, gdzie wystąpiliśmy po raz pierwszy przed wypełnioną po brzegi aulą uczelni. Grupę tworzyli wtedy ze mną Marek Lechowicz, S. Wnuk „Matka”, N. Wysocki „Nora”, B. Sadowski „Ściemniacz”, Paweł Dmtryk „Dymek”. Jako kabaret „Wieczorek” (tak napisano w „Słowie Podlasia”) wystąpiliśmy na Juwenaliach bodajże 2003 roku, a także na Wyborach Sportowca Roku Białej Podlaskiej. Dziś



żałuję tylko, że takich kabaretowych zdolności (jakie wykorzystuje obecnie) nie zdradzał wówczas młodszy kolega Marcin Wójcik (zresztą piłkarz II AZS AWF), z którym poza boiskiem, tzn. na scenie nie miałem okazji spróbować swych sił. Teraz kabaret, w którym występuje Marcin zna cała Polska, a nasza wspólna uczelnia może być dumna z takiego absolwenta. Grupy ANI MRU-MRU chyba nie trzeba nikomu przedstawiać. Moje nieudolne próby stworzenia kabaretu ograniczyły się do tych kilku okazjonalnych występów.

Skoro nie udało się na scenie, dzięki namowom koleżanek, z którymi byłem na obozie zimowym, postanowiłem spróbować swych sił w mediach, a mianowicie w telewizji. To Marzenka Braclaw, Asia Tujaka, Agnieszka Radko molestowały mnie do wzięcia udziału w nowym programie, który pojawił się na antenie programu II TVP „Randka w ciemno”. Zaryzykowałem, chociaż do końca nie byłem pewny, jak to się skończy i udało się. Załapałem się do 19 odcinka programu, w którym wybierałem spośród m.in. dwóch bliźniaczek (dzisiaj formuła programu wygląda trochę inaczej, ale dalej głównym celem jest nowa znajomość i wspólna wycieczka). Mnie trafiła się jedna z bliźniaczek i wycieczka do Moskwy. Po emisji programu w 1993 roku opowieściom na studiach nie było końca, w pewien sposób moja popularność wzrosła, a ile przy tym skorzystałem imprezowo, to nawet nie wspomnę. Doktor Kazimierz „Dziekan” Żuk przy każdej mojej wizycie w gabinecie nie dawał mi spokoju. Musiałem zawsze opowiadać o kulisach programu. Po tym występie swych sił spróbował Marek Lecho-

wicz i wygrał wycieczkę do Stanów, dlatego przez jakiś czas nie było go na studiach. Tak zaczęła się moja przygoda z teleturniejami, która trwa do dziś. Jeszcze w czasie studiów próbowałem do „Szansy na sukces”, ale nie przeszedłem eliminacji. Do chwili obecnej wystąpiłem w programach: „5x5” (ze Sławkiem Wnukiem, który notabene pokazywał mi z trybun bliźniaczkę, którą miałem wybrać w „Randce w ciemno”), „Jeden z dziesięciu”, „Daję słowo”, „Rosyjska ruletka”, „Najsłabsze ogniwo” i „100+1”, a to wszystko przez wymienione wcześniej dziewczyny złapałem telewizyjnego bakcyła występowania przed kamerami.

Zabawa zabawą, imprezy imprezami, ale trzeba było się także uczyć. Patrząc dziś w indeks stwierdzam, że tak źle to nie było, a wręcz dobrze. Jednak trochę ambicji było w człowieku i dzięki zdolnościom (ale skromny) i odrobinie pracy udało mi się osiągać wystarczające wyniki w nauce, aby pobierać stypendium naukowe. To stypendium to nie tylko gratyfikacja finansowa, ale także mobilizacja do innych działań. Może to dzięki temu, a także przez możliwość zwolnienia z egzaminu z pedagogiki (dziś mogę się do tego przyznać) zgłosiłem się do pani dr Kunegundy Włostowskiej (piękny gest oddania własnej nerki swojej córce) do koła pedagogicznego. Będąc w tym kole każdy z nas otrzymał temat do opracowania referatu, którego prelekcje mieliśmy przeprowadzić w szkołach średnich różnego typu (liceum, technikum, szkoła zawodowa). Ja wybrałem temat: „Seks wyzwolony, radość czy cierpienie?” i muszę stwierdzić, że moje wizyty w bialskich szkołach średnich bardzo mi się podobały, a temat, który realizowałem wywoływał za każdym razem ciekawe dyskusje w klasach, które zazwyczaj dzieliły się na dwa obozy. Jeden reprezentował pierwszą część pytania, drugi był wyrazicielem drugiej części. Jakie jest moje zdanie na ten temat zostawię to dla siebie. W ramach zajęć z metodyki specjalnej brałem udział, wraz z kolegami i koleżankami z roku, pod kierownictwem wspomnianej już pani Bilskiej w festynie sportowo-rekreacyjnym dla dzieci upośledzonych. Radość tych dzieci z przebiegnięcia paru metrów czy skoku przez przeszkodę, a przy tym obowiązkowo nagrodzonych bardzo nas wzruszała. Wówczas czuliśmy się potrzebni tym dzieciom i rozumieliśmy potrzebę działania w tym kierunku. Praca dla takich dzieci i ludzi w ogóle to duże wyzwanie i bardzo podziwiam dla tych, którzy wykonują to na co dzień. Myślę, że pewną ciekawostką będzie zdarzenie z ostatniego, IV roku studiów. Tak się jakoś złożyło, że do tej pory nie miałem w indeksie żadnej oceny niedostatecznej. Wielu kolegów wypominało mi to: „student bez dwóji to jak żołnierz bez karabinu”. Musiałem obiecać, a wręcz założyć się, że obleję jeden z ostatnich egzaminów. Wybór padł na teorię wychowania fizycznego u pana dra Kurpety, znanego z zadanego studentowi tematu do opracowania: „Wyraź swój holistyczny pogląd na hybrydyzacje w ujęciu labilnym” (nie wiem, czy to dobrze napisałem i nie wiem, czy to prawda, ale taka szła fama). Oczywiście poprawkę zdałem w cuglach, ale zakład wy-

grałem i miałem czyste sumienie przed kolegami, że też mam 2 (choć jedną) w indeksie. Gdy w Białej przebywała drużyna z Warszawy, reprezentant Małej Ligi Baseballa, pan Krzysztof Piech poprosił mnie, bym bacznie przyglądał się ich treningowi i meczowi, i w czasie zajęć z turystyki i rekreacji poprowadziłem wykład z przepisów baseballa dla moich kolegów z grupy. Odbiło to się również na ocenie bardzo dobrej z przedmiotu, choć wcielenie się w rolę wykładowcy było nowym doświadczeniem i dosyć trudne, bo zaciekać grupę „wymagających” studentów nie jest łatwe (coś o tym wiedzą osoby prowadzące na uczelni). Mnie osobiście bardzo interesowały i chodziłem na wykłady do dwóch oryginalnych osób. Pierwsza z nich z racji pochodzenia i małych problemów z językiem polskim, to prof. Milan Cabric, ale profesor tak wprowadzał nas w świat fizjologii ludzkiej, że niekiedy zapominało się o istnieniu czasu, ale przynajmniej notatki były skrupulatne i bardzo przydatne podczas egzaminu. Drugą oryginalną postacią z racji fioletowego koloru włosów i ciekawej fryzury, był prof. Mieczysław Węgrzyn. Jego celne uwagi, dotyczące anatomii człowieka, na trwałe weszły do studenckiego słownika w Białej Podlaskiej. Pamiętam jak dziś pytanie o mięsień powodujący wzwód prącia i odpowiedź profesora po chwili ciszy, że to mięsień okrężny ust. Na naszych twarzach pojawiła się lekka konsternacja, ale po chwili wszyscy się uśmiechnęli, bo po części to prawda, choć każdy szukał w głowie innej odpowiedzi (wiadome, że to krew jest odpowiedzialna za tę funkcję). Taki właśnie był dowcipny, ale lubiany przez ogół prof. Węgrzyn.

Program zajęć na studiach był bardzo ciekawy, gdyby nie to, kto wie, czy wielu z nas miało by do czynienia w życiu z korbalem, judo, podnoszeniem ciężarów, tenisem ziemnym czy innymi dyscyplinami, których na co dzień się nie uprawia, a z pewnością rzadko występują w programach nauczania w szkołach. Ja osobiście żałuję, że tak krótko trwały zajęcia z tenisa ziemnego, bo tylko semestr. Z kolei dzięki ćwiczeniom muzyczno-ruchowym i tańcom nauczyłem się tańczyć i czuć rytm, od czasu studiów pokochałem taniec (zawsze to forma zbliżenia kobiety do mężczyzny), dyskoteki w „Mecie” to było miejsce podnoszenia swych umiejętności tanecznych, a przez taniec ile możliwości do poznania nowych dziewcząt. Nie wyobrażam sobie dziś, abym przesiedział wesele na krześle czy podpierał ściany w dyskotecce. Ponadto układy poloneza, które sam wymyślałem na studniówki w szkole, w której pracuję, przychodzą mi z łatwością. Nie mam problemów z choreografią na tego typu imprezy. Wszyscy zawdzięczamy to pani mgr Emmie Cieślińskiej i panu mgr Marianowi Rzędzickiemu, a członkowie Zespołu Pieśni i Tańca „Podlasie” z pewnością jeszcze więcej. Czasami zazdrościłem tych zagranicznych eskapad tancerzom. To była naturalna reklama naszej uczelni.

Ile radości sprawiały nam, ponad dwudziestoletnim facetom, gry i zabawy z nieocenioną (z matczynym podejściem i nad wyraz ludzką intuicją

w rozpoznawaniu dobrych i wrażliwych ludzi) panią mgr Zenią Bednarczuk. Bawiliśmy się jak dzieci, tak nawet, że na jednych z zajęć koleldzy rozerwali mi na strzępy moje ulubione sztruksowe spodenki i wracałem do akademika w samych slipkach (dobrze, że jeszcze wtedy stringi męskie nie były tak popularne). Różnorodność konkurencji lekkoatletycznych powodowała, że część (oczywiście znikoma) studentów skazana była na powtarzanie przedmiotu. Niektórym ciężko było połączyć bieg przez płotki z rzutem dyskiem i skokiem wzwyż. Dlatego jestem po części z siebie dumny, że przebrnąłem przez „lekką” bez większych problemów, a muszę dodać, że kadra była bardzo wymagająca, w końcu Biała też lekkoatletyką stoi. Nie mogę do dziś zrozumieć jednej rzeczy, jak skakałem wzwyż na „żywca” to „łamałem” 165 cm (śmieszny wynik nie kolego Zięcina!), a jak nauczyłem się techniki flop, to ledwo co skakałem 150 cm. Czasami wręcz cieszyliśmy się, że padał deszcz, bo zajęcia były odwoływane, na co dzisiejsi studenci raczej nie mogą liczyć, ponieważ niektóre rzeczy można realizować pod dachem. Na tych zajęciach zdarzył się też nieprzyjemny wypadek, gdy nasza koleżanka z roku została ugodzona oszczepem w nogę, całe szczęście, że odzyskała później pełną sprawność. Jak już jestem przy takich rzeczach, to chwilę grozy przeżyli chłopcy z jednej grup na gimnastyce, gdy Wojtek ps. „Łoś” spadł z drążka na kark chcąc wykonać zeskok nastopowy. Bogu tylko można zawdzięczać, że pęknięty kręgosłup nie uszkodził rdzenia, Wojtek po dłuższym czasie przebywania w kołnierzu ortopedycznym zaczął normalnie funkcjonować. Podobnie rzecz się miała z Konradem Smarzewskim, gdy na I roku ześliznął się z liny podczas wchodzenia po niej. Oparzenie któregoś stopnia zmusiło go do powtarzania roku, gdyż z taką kontuzją nie mógł kontynuować chociażby zajęć na gimnastyce.

Dobrze, że gama zajęć praktycznych była tak szeroka, ponieważ naprawdę można było dobrze, w racjonalny sposób spożytkować swoją energię, która w nas się gromadziła. Ale AWF to nie tylko praktyka jak wydaje się wielu postronnym osobom, które uważają, że wuefiści to „magistrowie od fikołków”. Ile teorii musieliśmy pojąć przez cztery lata studiów wiemy tylko my sami, a zdobytą wiedzę i umiejętności wykorzystujemy w pracy i w życiu, mimo że część z nas pracuje w innych zawodach niż trener, nauczyciel czy instruktor.

Z zajęciami teoretycznymi też wiąże się wiele zabawnych, ale prawdziwych historii. Mnie zapadło kilka szczególnych w pamięci, zajęcia z psychologii. Któż z mojego rocznika nie pamięta pani mgr Sławomiry „Sławki” Suchożebrskiej i jej psychologicznego podejścia do różnych aspektów życia. W annałach nie jednej książki powinien znaleźć się fakt, gdy podczas jednych z zajęć spadły pani magister okulary na podłogę. Jeden ze studentów próbował je podnieść, ale „Sławka” rzekła: „Spokojnie, kontroluję sytuację” i faktycznie ze spokojem rozgniotła je przespacerowując się po nich. Drugie zdarzenie dotyczy mnie osobiście. Dzisiaj Szymon Majewski powiedziałby:

„Mamy cię!!!”, wtedy to ja mógłbym powiedzieć to pani od psychologii. Po napisaniu kolokwium „Sławka” postawiła mi czwórkę pod warunkiem, że zdradzę z jakiej książki korzystałem, ponieważ mój tok myślenia i argumenty bardzo się jej spodobały. Wymyśliłem więc na poczekaniu jakiegoś autora amerykańskiego, jakiś tytuł, a także to, że książkę tę mam od kolegi, który wyjechał właśnie z nią za granicę, a to był jedyny przetłumaczony egzemplarz jaki znam (bo rzecz jasna takiej wymyślonej rzeczy pani magister nie знаła). Wierząc mi postanowiła zostawić mi tę czwórkę, ale zaznaczyła, że jeśli będę miał jeszcze okazję mieć tę pozycję w rękach, w te pędy mam jej dostarczyć, bo z chęcią poznałaby tego zmyślnego i ciekawego autora i jego poglądy. To była cała „Sławka”.

Biochemia z panem mgr Januszem Charytoniukiem (świętej pamięci) to kolejne niezapomniane chwile. Pan Janusz był zwolennikiem punktualności. Przed ćwiczeniami włączał radio i czekał na podanie dokładnej godziny. W momencie, gdy wybijała punkt ósma zamykał drzwi do sali i już nikt nie mógł wejść na zajęcia. Doświadczenia chemiczne miały też swój urok. „Jaki to kolor?” – pytał, „błękit pruski” – odpowiadał student, „jak to jest błękit pruski, to ja jestem szach perski” – ripostował pan Janusz. „Co oznacza w tym związku G?” – zapytał, a student „hmm...”, „proszę pana to wcale nie gó..., tylko glukozo” – pointował magister. To był iście ciekawy człowiek. „Ile mam wsypać panie magistrze?” – pytał kolejny „biochemik”, „worek, taczkę pan sobie wsyp, jak pan nie wie” – odpowiadał prowadzący czy patrząc na studenta nieudolnie manipulującego pipetą mówił sakramentalne „choćbyś strząsał dwa tygodnie kropla zawsze spadnie w spodnie”. Ja zapamiętałem te reakcje „Charego”, inni z pewnością jeszcze inne, ale trzeba oddać hołd panu Januszowi, który był więźniem obozu koncentracyjnego. Aż trudno to ujawnić, ale były momenty, że na zaliczenia chodzili do niego studenci, podszywający się pod innych i na ich konto zaliczali przedmiot, to było ich ryzyko, skoro się udawało, to cóż. To nie brak szacunku, a raczej cwaniactwo i kombinacje.

Jak kultowym przedmiotem na AWFie jest anatomia, wie każdy student, jak przez niego przebrnęliśmy, wie tylko każdy z nas. Liczne nawiedzania prowadzących (a było anatomów kilku) po godzinach z jedną myślą ZALICZYĆ. Kości, mięśnie, układ nerwowy i trzewia trzeba było mieć w jednym paluszku. Nikt z pewnością jednak nie żałuje, że tak nas „gnębiono”, bo do dziś korzystamy z tej wiedzy na każdym kroku.

Wspominałem wcześniej o moich zainteresowaniach historycznych, nic więc dziwnego, że lubiłem zajęcia z uroczą panią dr Zosią Cicirko, która oprowadzała nas słowem po krainie historii kultury fizycznej. Coś w tym było, bo z podpowiedzi pana Krzysztofa Piecha, pod promocją najpierw pani Zofii, a w ostateczności pana profesora Henryka Mierzwińskiego napisałem pracę magisterską właśnie z historii.



Jak ważnym przedmiotem, który w pewien sposób determinował naszą przyszłą pracę w szkołach była metodyka wychowania fizycznego pod czujnym okiem wspaniałych siostr dr Zofii Kubińskiej i dr Barbary Bergier wie każdy student. Przykładowe lekcje, hospitacje w białskich szkołach, imprezy dla dzieci w auli uczelni, wiele tworzonych konspektów i prac zaliczeniowych, praktyki kolonijne, w szkołach podstawowych (ktoś dziś by spytał, co to jest szkoła podstawowa) i średnich to fundament, na którym wielu z nas opiera swoją pracę dydaktyczną i wychowawczą. Ja również gdzieś w szufladzie mam te wszystkie materiały z tych zajęć i nie ukrywam,

że w dalszym ciągu są one dla mnie bardzo cenne, a zwłaszcza celne uwagi pani Zosi i Basi i opiekunów praktyk szkolnych. Gdyby nie praktyki w szkołach, gdzie zderzyliśmy się z rzeczywistością polskiej oświaty w różnych miejscach kraju, bazą sportową, liczebnością klas, różnym poziomem umiejętności i sprawności ruchowej dzieci i młodzieży, nie mielibyśmy pełnej świadomości tego co nas czeka. Mnie podczas praktyk inwigilowali wówczas panowie dr Janusz Gałęcki i dr Stanisław Kwieciński.

Wiedza, nauka była na porządku dziennym, ale obok tego wszystkiego było też normalne życie w akademickim pokoju. Przez ostatnie dwa lata mieszkałem w pokoju 215 B z Jackiem Magnuszewskim, Grześkiem Klepaczem i Arkiem Smolarzem. Był to pokój typowo piłkarski. Moi współlokatorzy do dziś parają się futbolem. Jak oni wytrzymali ze mną przez ten czas nie wiem, bo aniołkiem nie byłem, ale z pewnością nieźle bawiliśmy się w tym towarzystwie zarówno w dzień jak i w nocy, śmiechom nie było końca, a z chłonięciem wiedzy nie było problemu. Czasami pokój przypominał przystanek autobusowy w godzinach szczytu, ale i to dało się wytrzymać. Piszę o tym pokoju szczególnie z jednego powodu. Nie wiem jak inni, ale ja, Ściemniacz, Dymek, Kalkuc, Budzik utrzymywaliśmy dobre kontakty ze Studium Plastycznym w Białej Podlaskiej, a konkretnie ze słuchaczkami tego Studium, że wspomnę Elę Bajuk czy Ewę Burszczan. Darzyliśmy się sympatią i między innymi w dowód tej sympatii Ela narysowała mój portret, który trzymałem za łóżkiem w tym właśnie pokoju 215 B. Przed wyjazdem na wakacje jeszcze tam był, jednak po powrocie stwierdziłem jego niepowetowaną stratę. W tym miejscu (jeśli to ukaże się w książce) chciał-

bym prosić uczciwego znalazcę o jego zwrot, jeśli to tylko możliwe, a będę naprawdę wdzięczny, zawsze to pamiątka. Szkoda tylko, że dopiero po tylu latach przyszło mi to na myśl.

Nie sposób tu wspomnieć o miejscu, które zbliżało wielu studentów i wykładowców, bo obie grupy kierowały się jednym, czyli zaspokojeniem potrzeby łaknienia i pragnienia. Chodzi tu rzecz jasna o barek mieszczący się na stołówce studenckiej. Do annałów powiedzeń można wpisać tekst: „idę do barku walnąć wychwyty z karku”. Żeby załapać się na placki ziemniaczane czy wypić zimny kefir, stawiający na nogi trzeba było wcześniej wstać. Do klasyki śniadań studenckich można zaliczyć parówki czy bułeczki z masłem i majonezem. Wielu opychało się Prince Polo i popijało Pepsi w skróconej butelce. Rarytasem już był bigos czy kotlecik mielony. Przy takich wspólnych śniadaniach czy posiłkach w ogóle można było nawiązać nowe znajomości, porozmawiać o bieżących sprawach czy „skleić” poprzednią noc. Jedzonko w bufecie było dobre, ale nic nie zastępowało rzeczy przywiezionych z domu. Jak już jesteśmy przy rozkoszach żołądkowych to wypada tu umiejscowić rewelacyjny krupniok z bułeczką, cebulką i musztardą u pani Sabinki w barze „ŻAK”. Jak wystarczało pieniążka i miało się ochotę na spacer to zajadaliśmy się frytkami z sosami na Placu Wolności lub fundowaliśmy sobie obiad w barze obok Arendy czy nawet w Stylowej. Jakiś filozof powiedział, że: „Człowiek nie żyje, aby jeść, ale je, aby żyć”. Jak trafne to było w naszym przypadku. Często chodziło się na tzw. „sępa” do stołówki na łyżkę zupy z obiadu lub małe co nie co z kolacji, chyba że miało się dobre koleżanki (a takie były na naszym roku i nie tylko na naszym) i bywało się u nich na pysznych kolacyjkach. Mam w zanadru jeszcze jedną historię, związaną stricte z jedzeniem. Otóż swego czasu powierzono mi opiekę nad studenckim radiowęzłem, więc puszczałem muzykę, opowiadałem różne historyjki, dowcipy, a raz postanowiłem zorganizować konkurs na najciekawszą, najsmaczniejszą kanapkę. Do konkursu zgłoszono kilka sandwiczów, w jury byłem tylko ja, więc wynik był nawet mało istotny, ponieważ te zjadliwe kanapki znalazły się w moim brzuchu, może to było trochę nie fair, ale czego się nie robi, jak ma się władzę choć na chwilę. Radiowęzeł to nie jedyna możliwość wykorzystania swoich umiejętności. „MUZA” to wydawnictwo samorządu studenckiego. Jestem w posiadaniu jednego z numerów, do którego teksty pisałem m.in ja, Maria Bilska, Marek Lechowicz, Jacek Winiarczyk, Mariusz Jurczykowski, opracowaniem graficznym zajęły się Basia Długołęcka, Honorata Markowska i Gosia Blicharska. Można w tym miejscu przytoczyć kilka tekstów, na przykład fraszki Jacka Winiarczyka:

#### **Na zdrowie**

Nic tak zdrowia nie odbiera  
jak test Coopera

#### **Ogłoszenie**

Pozbawię się wreszcie cnoty,  
bo nie mam nic do roboty  
/studentka IV roku/



### Na anatomii

Do zajęć była zawsze przygotowana,  
Bo wiedziała po co ma uda i kolana

### Ciężarowiec

Dźwigając tak myślał sobie:  
doktorat z dźwigania zrobię

### Piłkarz ręczny

Całkiem dobry szczypiornista  
Kwartalnie wypijał win trzysta

Jeśli ktoś by chciał poczytać ten numer służę uprzejmie, znajdują się tam jeszcze „Urywki z pamiętnika” Lucyny Ferenc, recenzja filmu „Urodzeni mordercy”, artykuł o unihocu, bajki, polemiki, felietony, a nawet krzyżówka z hasłem i wielkanocne życzenia. Zechciejcie poznać jeszcze jedną z moich rymowanek zamieszczonych w tym numerze „MUZY” pt. „O kółku literackim”:

*Literackie koło założyli w trzech  
Pracowali prężnie, że zapierał dech,  
Dech niestety owych trzech.  
Nie, to nie był żaden pech.  
Kto się chce przekonać niech,  
Trzy litry kupi na trzech*

Jednak najwięcej tekstów, rysunków i innych tego typu rzeczy można odnaleźć w kronikach baru „ŻAK”, serdecznie zachęcam wszystkich do sięgnięcia do tej lektury, przypomnienia sobie niecodziennych zdarzeń zapisanych na kartkach tychże kronik.

Mimo że byliśmy uczelnią typowo sportową nie znaczy to, że nie obcowaliśmy z innymi formami kultury i sztuki. Co niektórzy chodzili na wystawy w muzeum, wielu z nas lubiło zasłuchiwać się podczas wieczorów gitarowych w „Mecie” czy w „Night Clubie” w czasie zaduszek czy innych okazji, że wspomnę koncerty w auli uczelni m.in. zespołu BIG CYC, wspólne składanie pamiątkowego wydawnictwa w „Słowie Podlasia”, wyjścia do muszli koncertowej w parku, gdzie grał zespół HEY z Kasią Nosowską. Jednak świętem kultury studenckiej były, są i chyba będą JUWENALIA odbywane w miesiącu maju, gdy prezydent Białej Podlaskiej wręcza symboliczne klucze do miasta. Miałem okazję prowadzić korowód przebranych studentów ulicami miasta z megafonem w ręku.

To podczas jednej z takich imprez zorganizowaliśmy granicę na ulicy między uczelnią, a „NIGHT CLUBEM”. Za przejazd ulica pobieraliśmy od przejeżdżających samochodów (z autobusami komunikacji miejskiej i taksówkami włącznie) opłatę „co łaska”, a zebrane pieniądze przeznaczyliśmy na „Lechową” kolację. To właśnie podczas JUWENALIÓW mogliśmy się przekonać o wokalnych umiejętnościach kolegi Hrabiego, który z dachu akademika (tu nad recepcją) wyśpiewywał Marsylianę, a później melodię

z filmu „Vabank” na tyłach uczelni, gdzie trwała dyskoteka. Z pewnością każdy pamięta jak w starym kinie niejednokrotnie kłótnie kończyły się walką na ciasta. Ja też to przeżyłem razem z chłopakami z Dębicy (Piotrkiem Guściorą „Gutkiem” i Wojtkiem Papiernikiem „Złotym”). Na ich stacji przeprowadziliśmy sobie próbę takiej walki (rzecz jasna po niej musieli pożegnać się z mieszkaniem), ale jak wyglądaliśmy my (o mieszkaniu nie wspomnę) wchodząc do akademika, to już historia. Salwy śmiechu ludzi,



którzy nas widzieli, mozolne zmywanie z siebie łakoci pod prysznicem, pranie osłodzonych ubrań to było coś. Juwenalia, a studia w ogóle niosły ze sobą szereg innych zmyślnych pomysłów, których w pojedynkę ciężko sobie przypomnieć.

Kończąc myślę, że to, co napisałem oddaje chociaż po części klimat początku lat 90-tych w Białej Podlaskiej. Gdy czytam to, co jest wyżej wracają wspomnienia bardzo wyraziste, gdy oglądam zdjęcia ze studiów (a większość mam dzięki „Mikołajowi” – uczelnianemu fotografowi) w myślach wracam do tamtego okresu, wydarzeń, ludzi, którzy na trwałe wpisali się w moje życie. Przyjaźń ze Sławkiem Wnukiem nie na darmo zwanego Matką (bo był dla nas jak matka, choć tak nazywano go już w szkole średniej) trwa, a gdyby nie studia, nigdy byśmy się nie poznali. Szkoda, że nie miałem okazji widzieć jego afroblond fryzury, w którą wkładał kilka ołówków i nie było ich widać. Byłem świadkiem na jego ślubie, wielokrotnie spotykamy się w Lublinie, w Puławach czy w Chełmie, nie tylko by pograć w karty i naszą ulubioną grę kierki, ale by wspominać tamte, dobre, inne czasy. Spotykamy się na imprezach rodzinnych, dzwonimy do siebie, piszemy. A propos kart, to znów muszę się odnieść do studiów. Ile czasu poświęciliśmy na grę niech odda tylko to jedno zdarzenie. Siedząc tak na korytarzu, mijała chyba 18 godzina naszej gry (oczywiście z przerwami), a była bodajże 6 rano. Z jednego z pokoi wychodził Piotrek Gągoł (ten sam, który z Lublina przyjeżdżał do Białej na zajęcia rowerem) i pyta: „już wstaliście”, na to Misiek (Piotrek Gołub, któremu przez noc już zdążył urosnąć zarost na twarzy) nieco wzburzony: „a czy my w ogóle się kładliśmy”.

Nie wybaczyliby mi również Paweł Zając i Bartek Sadowski „Ściemniacz”, a z pewnością koledzy i koleżanki z roku, gdybym nie opisał kilku przygód w ich wykonaniu. „Zaju” to był człowiek, który lubił z różnych powodów spać, a z jednego szczególnie, a że sen miał niedźwiedzi historie te dotyczą właśnie sytuacji, które zdarzyły mu się podczas snu. Na pierwszym roku spał tak kamiennym snem, że przy pomocy kosmetyków naszych dziewcząt i zręczności kolegów upiększyliśmy twarz Pawełka.

Gdy wstał rano i zobaczył się w lustrze wyobraźcie sobie jego reakcję, zwłaszcza że za kilka minut miał zajęcia z koszykówki. Tak lekko niedomyty (na twarzy oczywiście) wzbudził śmiech i politowanie prowadzącego. ZAJOWI w jemu tylko wiadomy sposób udało się zasnąć na zeskoku do skoku wzwyż pod plandeką. Proszę sobie wyobrazić reakcję ludzi, którzy mieli rano lekkoatletykę, a tu spod plandeki wynurza się nasz Pawełek. Innym razem pan „śpiąca królewna” został wyniesiony na korytarz tak jak go pan Bóg stworzył. Przechodzący obok student pyta: „Masz ogień Zaju?”, Paweł z zamkniętymi oczami maca się tam gdzie powinien mieć kieszenie i odpowiada: „Nie mam, k...!”. Ale wiercie mi, że gdy Paweł nie spał to można z nim było konie kraść, dlatego do dziś utrzymujemy ze sobą kontakt. To, co potrafił wyczyniać imię Ściemniacz wiedzą ci, którzy mieli z nim

do czynienia. Chłopak z Herbatkowa jak nazywał Hrubieszów. Jego uwielbienie dla cebuli było godne stworzenia przez niego dzieła pod tytułem „1000 potraw z cebuli pomysłu Ściemniacza”. Przebywając w Warszawie włączył się do demonstracji pod hasłem „GOŁE BABKI” (uczestnicy tej pikietki byli nadzy). To hasło przyświecało później zawodom gimnastycznym naszych dziewcząt z roku. To był człowiek, który potrafił zniknąć na kilka dni tak jak stał i wracać przebrany, pachnący, ogolony, opowiadając jakie to niesamowite historie mu się przydarzyły, a to porwały go jakieś nieznanne pszczołki, które go utrzymywały, a to przeżył romans swego życia. To on jedyny puszczał gazy z obrotem. Kulminacją jego zdolności był jednak zakład z „Zibim” Trębaczem, ale jego efekt nie nadają się raczej na publikację. Na dyskotecce pidżamowej niczym zespół RED HOT CHILLI PEPPERS ubrany był tylko w skarpetkę (ja chociaż w dół pidżamy).

Chciałbym się włączyć w realizację planów organizatorów i wierzę, że moja subiektywna ocena wszystkich aspektów życia studenckiego zadowoli twórców zbioru wspomnień. Myślę, że nikogo nie obraziłem, z pewnością (ręczę za to), to co pisałem jest szczerze i prawdziwe, moi bohaterowie istnieli i są naprawdę, a sytuacje zdarzyły się rzeczywiście. Daleki jestem od tego, by stwierdzić, że to były najciekawsze historie tamtego okresu. To tylko moje odczucia i wspomnienia przelane na papier. Dziękuję i na koniec słowa pani dr Krystyny Górniak po mojej obronie pracy magisterskiej, po których łza zakręciła mi się w oku: „Czorek – będzie nam cię brakowało”. To było mile i mile będzie to, jeśli część tego tekstu, który powstał mimo natłoku spraw związanych z klasami trzecimi liceum, które skończyły szkołę i przygotowały się do matury (miałem wychowawstwo) i sprawami rodzinnymi ukaże się w książce zamyślonej przez organizatorów zjazdu. A 5 lat temu było tak...





**Agnieszka Jadach**  
absolwentka 1997



### ***KU PAMIĘCI...***

*Okazyja to wspaniała,  
bo się zeszła wiara cała.  
Okazyja to niezwykła,  
bo po latach trochę wielu  
spotkasz dzisiaj przyjacielu  
swego druha z akademii,  
co nie lada się już zmienił.  
Zanim twarze rozpoznamy,  
społem tedy postuchamy  
Historyji o nas tutaj.  
Niech się stanie cud nad cuda!  
A więc Waści postuchajcie  
i mych słów tu nie sklinajcie,  
bo osoba moja skromna,  
lecz przez lata zapomniła,  
co powiedzieć o was chciała.*

*Zacznę pierwiej od Waszmościa –  
najlepszego z wszystkich gościa.  
Nienaganną miał sylwetkę –  
On i jego wóz kołowy...  
duet całkiem odlotowy.  
O Robercie jest to mowa,  
który wszystkich rozkoszował  
swym dowcipem, tańcem, mową,  
choć i rządził w SS z głową.*

*W przedzie tego samorządu,  
w zwartym szyku stały  
panny Ewa oraz Ronia.  
Tak gorliwie w nim działały,  
że studencki wielki organ  
animuszem swym wspierały.  
Znana wszystkim boska Ronia,*

*co świeciła cnót przykładem,  
zastęnęła mimo wszystko sponsoringiem.  
Idąc dalej za tym śladem,  
wspomnę ważną dla nas kwestię,  
piękne Roni przedsięwzięcie,  
idealnie skontrolowane,  
trafne w skutkach posunięcie.  
Pomnę Waściom czym to Ewa  
W naszym gronie zastęnęła*

*Dla potomnych ująć muszę  
pewną grupę pod wezwaniem,  
która stale i namiętnie  
zajęta była niejednym, specjalnym zadaniem.  
Listę osobliwych i zacnych panienek  
Pokrótce teraz Państwu wymienię.  
Siebie i siostrę Basię,  
Alicję Jaszczuk, Sierpotowską Kasię,  
pannę Szajdziuk i Karpik – obie Moniczki  
oraz Anię Piech i Małgorzatę Rosę – to te zawodniczki,  
co wygrywały wszelkie międzyrocznikowe rozgrywki  
i nie było w owych czasach równie bojowych,  
pięknych, ponętnych sportowych playboyek.  
Nawet w konkursie rzeźby śniegowej one przodowały,  
gdy zamiast bałwana – śnieżnego kota uformowały,  
by posąg ów stale młodym przypominał,  
kto był mistrzem i przed kim w poły ich zginał.*

*No kochani czas przyśpiesza,  
by na język wziąć i biesa –  
chłopca, co miał rozum wielki,  
lecz nie stronił od butelki.  
Kto pomyśli, może zgadnie.  
I nie będzie to despektem, jeśli powiem,  
że nasz „Jano” – bo to o nim moja mowa  
inteligent był i basta – reszta niech się przy nim chowa.*

*Wśród zabawnych co po wielkanocnych dawała  
była grupa, co żywych z nóg powalała.  
Giętkie języki to narzędzia,  
którymi biegle władali – jeno w mowie*

*Bazydło i Miszczuk Grzegorzowie.  
Z nimi w szranki nikt nie stawał,  
bo z nich dwóch to jeden kawał.*

*Z banialuków była znana  
Czarostaw Kinga, bo owa dama  
doktor Popławską tak omamiła,  
że lewym okiem egzamin zaliczyła  
o komórkach glejowych, których nie umiała,  
tłumacząc, że tylko połowę strony widziała.  
Również z oszczędności ta osóbką zaistniała,  
bo udając się do domu swą żarówkę wykrcęcała.  
Zawoziła ja do mamy, by się tu nie wyczerpała.*

*W naszym gronie zacnym wielce  
dowcipami też sypała,  
ta co kiedyś dla ciężarnych  
aerobik układała.  
Duszą towarzystwa wielu imprez była,  
Lecz nauki niestety miłością nie darzyła.  
Dobre fundamenty po rodzicach miała  
I tak jak oni z polotem studia skończyć chciała.*

*Mistrzynią od wszelkiego ściągania  
Była studentka Olekszyk Ania.  
6 kartek po 10 minutach na kolokwium z metodyki,  
to wymagało nie lada wysiłku i gimnastyki.  
Lecz doktor Gałęcki nie dał szans dziewczynie  
(wolał widocznie łyżwiarstwo figurowe na wykładzinie)  
bo wyprosił bidulkę po pół godzinie.  
I kto w tym wypadku z przebiegłości słynie?*

*A to pamiętacie?  
20 urodziny bliźniaczki Jadach obchodziły.  
Do pokoju 109 wówczas zaprosiły  
Krzysia Piaseckiego, Frackowiak Halinę  
I jeszcze jedną do toastu – Prońko Krystynę.  
I nikt nie zaprzeczy - tegom jest pewna  
że ta moja osoba – oczywiście skromna,  
choć narzucała gust muzyczny – to zawsze porządna.*



*Nie chcę też, by oblany egzamin z organizacji fizycznej  
kultury był wynikiem nocnej imprezy – bo to istne bzdury.  
50% poległych? Ktoś pozamieniał zakłady!  
Zdali ci najgorsi i nie było na to rady.*

*A skrzydła i redbula – któż to nie pamięta,  
wypadły do Night Clubu na mały poczęstunek  
i choć dzisiaj pamięć jak twarze jest pomięta,  
to dobrze było uczynić ten po latach rozrachunek.*

*Takich przykładów, wypadków i postaci  
mogłabym wyliczać, bo wśród naszej braci  
były – ba są nadal, rzecz jasna tutaj między nami  
sami artyści i wiem, że chcielibyście kochani  
pofolgować sobie, poruszać biodrami.  
Tak na trzy – cztery przywrócić te lata.  
Ale one w nas są i będą aż do końca świata.*

***Treści wierszem rymowane  
choć wtajemniczonym znane  
- dla postronnych są zagadką,  
więc przybliżę prostszą gadką:***

**S**TUDENCI IWF i S w Białej Podlaskiej, rekrutujący się z naboru w 1992 roku, byli rocznikiem dość eksperymentalnym. Jako pierwsi studiowaliśmy w systemie 3 + 2, co wiązało się z obroną pracy dyplomowej i magisterskiej. Jako ostatni – poddani byliśmy szerokiemu wachlarzowi egzaminów, łącznie z komisją lekarską. W następnym roku egzaminy poważnie okrojono, stąd też przez ich sito przełykały jednostki już nie tak „doskonałe” jak my.

Jak w każdym roczniku, na studia startowali zarówno Ci, którzy od zawsze wiedzieli, że będą nauczycielami wf, trenerami, działaczami kultury fizycznej, jak również tacy, których w obranym kierunku popchnął przypadek. Tak wyostrzony podział rocznika, w przebiegu studiów na pewno złagodniał, ponieważ wielu „przeciętnych żaków” przyuczyło się do życia we wspólnocie studenckiej, specyficznej w swym charakterze. Wielu również ośmieliło się do efektywnego i efektownego działania na rzecz ogólnego wizerunku naszego rocznika. Nawet, jeśli w efekcie końcowym nie wszyscy okazali się podatni na „pozytywne

zmiany”, to i tak blask bijący od nielicznych, ale „jedynych w swoim rodzaju indywidualności”, jednostek szczególnie wybijających się – kazał patrzeć z boku uznać nas za, skromnie mówiąc, **bardzo udany rocznik**.

Za dobrych studenckich czasów działaliśmy na niwie oświatowej, kulturalno-rozrywkowej, sportowej no i siłą rzeczy – czysto obyczajowej. Do osób zasłużonych w działalności oświatowej i kulturalno-rozrywkowej należeli: Ewa Ścibisz, Małgorzata Rosa, Robert Smuga.

O Robercie należy wspomnieć choćby z uwagi na to, że był chyba najbardziej reprezentatywnym Przewodniczącym Samorządu Studenckiego w ciągu ostatnich 10 lat. Śmiało mogę to przyznać, ponieważ mam możliwość śledzenia kadencji poszczególnych przewodniczących w okresie od zakończenia studiów. Był wysoki, przystojny, inteligentny, wysportowany (co zdradzała jego sylwetka), zorganizowany, dowcipny, ładnie tańczył i mówił, miał samochód – reszta, jak przy wyborze męża, nie miała kompletnie żadnego znaczenia. Poza tym był ze mną na balu sportowca, więc jako autorka niniejszej kroniki, mam chyba prawo o nim wspomnieć.

Ewa i „Ronina” również działały w Samorządzie Studenckim, były jego czołowymi postaciami. Na Ronię zawsze można było liczyć. O takich się mówi, że są „do tańca i do różańca” – nic dodać, nic ująć. Kiedyś, zupełnie przypadkiem, była nawet sponsorem żeńskiej reprezentacji naszego rocznika w rozgrywkach uczelnianych w koszykówkę, ale o tym później.

Ewa, którą cechował inteligentny dowcip i błysk szaleństwa w oku, poczyniła szczególne zasługi na niwie oświatowej i kulturalnej. Trzeba tu wspomnieć, że nasz Samorząd wskrzesił wydawanie „Fawcika”, tj. broszurki gromadzącej błędzące po pokojach, korytarzach akademika i uczelni i kłębiące się w głowach studentów „złote myśli”.

Ewa była autorką wielu tekstów zamieszczonych w tejże publikacji. Do jednych z wartościowszych należał referat pt. „Przyczyny spóźniania się studentów na zajęcia i sposoby ich zwalczania”. Ponadto „Fawcik” zawierał informator dla kandydatów na studia, udzielając odpowiedzi na fundamentalne pytanie: „Qvo Vadis?” i „Z czym masz iść?”, np. „Kandydaci ubiegający się o przyjęcie na I rok studiów muszą posiadać bardzo miłą aparycję, zdrowe nerwy, pistolet maszynowy, scyzoryk w kieszeni, zapasowe sztuczne zęby, własny tor na basenie, własne przyrządy i przybory równoważne, materace, skrzynię, koziół, kimono, itd., itp. Aha! Ważna jest również piaskownica do przyszłościowych skoków w dal. Doprawdy, mniej potem załatwiania i ganiań”. W studenckiej gazecie zamieszczano również ogłoszenia drobne, jedne z błyskotliwszych brzmiały: „Młoda, inteligentną w-f-stkę, z wykształceniem wyż-

szym obejmę zaraz” – dyrektor szkoły podstawowej; „Zawiadamiam znajomych i przyjaciół, że od dziś wracam do pokoju po stronie numerków nieparzystych” – Rak; „Kto wie, co będzie, jeśli wrócę Warszawską a nie Akademicką, niech się zgłosi do redakcji celem wyjaśnienia” – Zagubiony; „Pawia puszczam – kolory według życzenia” – Miłośnik pawi; „Fryzjer – bez różnicy płci – Akademicka 2.”

Na niwie sportowej szczególnie zaistniała „silna grupa pod wezwaniem” głównie do zadań specjalnych. Należały do niej: siostry bliźniaczki – Ja (autorka) i Barbara Jadach, Anna Piech, Monika Karpik, Małgorzata Rosa, Katarzyna Sierpotowska, Alicja Jaszczuk i Monika Szajdziuk. Czasem skład uzupełniały na zmianę: Renata Wierchowaska, Renata Korzun, Małgorzata Mokicka, Katarzyna Józwick. Główny skład zawsze wspomagał zespół organizacyjno-wspierający w osobach: Katarzyny Białkowskiej, Kamili Macewicz i Ewy Ścibisz. Zresztą zawsze wszystkie gotowe były do pełnienia różnych funkcji po to, żeby nasz rocznik prezentował się najlepiej. Ogłoszony pierwszy skład wygrywał wszystkie rozgrywki międzyrocznikowe w koszykówkę, piłkę nożną, piłkę ręczną, ła, „juwenalniane” rugby i ła na wesoło. Będąc na IV roku przegrałyśmy jedyny raz w finale rozgrywek w koszykówkę z rok młodszym zespołem, ale wyższość nad rywalkami dowiodłyśmy innym sposobem. Mianowicie, wspomniana Ronia sprzedawała w akademiku buty Reeboka. Wpadłyśmy na pomysł, że „anonimowy sponsor” ufunduje dla „najsympatyczniejszego zespołu”, jakim niewątpliwie byłyśmy my, właśnie owe buty sportowe. Złość i zazdrość zżerała rywalki na naszych i publiczności oczach. Znowu odniosłyśmy sukces, tyle że w innej rozgrywce. Sprawa oparła się nawet o interwencję u Pani mgr Teresy Jaślikowskiej-Sadowskiej, która koordynowała organizację tychże rozgrywek. Sprawę wyjaśniłam pani magister, ale rywalki pozostały w niewiedzy.

Nasza reprezentacja sportowa wygrała nawet konkurs rzeźby śnieżnej. Na cześć I rocznika ulepiłyśmy „pięknego kota”, żeby „nasze koty” miały model mistrza, do którego należało dążyć.

Był na naszym roku jeden sportowiec, któremu przywiązanie do pewnego nałogu nie pozwoliło kontynuować kariery ciężarowca. Popularny „Jano” (nie pamiętam nazwiska i imienia, bo chyba nikt się do niego inaczej jak „Jano” nie zwracał) chyba nigdy nie był tak do końca trzeźwy przez cały okres studiów. Sprawiał wrażenie pijanego – bo pił, skacowanego – bo pił wczoraj, pijanego ze szczęścia – bo udało się coś zaliczyć. Tak opowiadali na roku. Promotorka jego pracy magisterskiej miała mówić: „No, drogie panie, otwieramy okno bo mój magistrant się zbliża”.

Kiedy pewnego dnia na zawodach, o mały włos nie przygniotła go sztanga, wtedy zrezygnował. Swoją drogą, Jano musiał być bardzo zdolny albo mieć więcej szczęścia niż rozumu. Pewnie niejeden, który ledwo brnął przez studia, nienawidził Go za ten niewiarygodny sposób studiowania z zadowalającym skutkiem.

Jeśli mówimy o indywidualnościach, to nie można pominąć pierwszych żartownisiów, których dowcip powalał z nóg. Grzegorz Bazydło i Grzegorz Mischuk – to wybijający się tekściarze, których nie sposób cytować – bo nie wypada. Nikomu nie udało się oddać w ten sam sposób charakteru ich żartu, to trzeba było słyszeć. Tak jak nie sposób dokładnie odtworzyć klimatu wypowiedzi Kingi Czarosław, która próbowała wmówić dr Popławskiej, że mogła jedynie przyswoić rodzaje komórek glejowych, bez ich funkcji, ponieważ bardzo słabo widzi na prawe oko i dlatego mogła nauczyć się materiału z połowy strony (z tej lewej). Kinga była bardzo praktyczna, oszczędna, dlatego wyjeżdżając na przerwę zimową do domu zabierała wszystkie słoiki (dwie duże siaty) i wykreślała swoją żarówkę z żyrandola. Ponadto, kiedy Kinga składała w imieniu grupy życzenia świąteczne p. dr Popławskiej to atmosfera – ze świątecznej stawała się kabaretowa.

W dowcipnych zachowaniach zdecydowanie na roczniku brylowała Monika Karpik. Przybyła na studia prezentując wizerunek raczej dystygowanej pani, niż sportsmenki, choć niewątpliwie sprawna była bardzo. Urodziła się zresztą prawie w akademiku, oboje rodzice są absolwentami naszej uczelni. Rozpoczęła, bardzo lekko traktując studia, była filarem i duszą towarzystwa wielu imprez. Poradziła sobie z zaległościami, zmieniła się w trakcie studiów, ale dowcip pozostał ten sam. Wsławiła się bardzo atrakcyjnym układem aerobiku dla kobiet ciężarnych, który zaprezentowała na miejskim pokazie przy okazji Juwenaliów. Zarówno jej strój jak i choreografia prześcigały się w atrakcyjności i oryginalności.

Opisując mój rocznik muszę wspomnieć, że umieliśmy, mimo stosunkowo nielicznego grona prężnych działaczy, skutecznie współpracować dla dobra całości. Dowodem niech będzie sprawna akcja, która pozwoliła dotrzeć do zestawów egzaminacyjnych z zespołowych gier sportowych, czy też zestawów na kolokwium z metodyki u dr Janusza Gałęckiego. Dr Gałęcki w swej przebiegłości zdołał nawet przyłapać studentkę Annę Olekszyk na ściąganiu. Wyrzcił wówczas zdumienie, że po 10 minutach od rozpoczęcia kolokwium, Ania zdążyła napisać już 6 stron linijka pod linijką. Pochwalił ją za niesamowitą kobiecą intuicję, która pozwoliła jej „przewidzieć wszystkie pytania i napisać je tak szybko ze ściągawki”. Ania podziękowała za uznanie. Niestety, po pół go-

dzinie pan doktor przypomniał sobie, że chyba powinien ją wyprosić i to zrobić. U dr Galeckiego możliwe były takie cuda. Istniała nawet możliwość zaliczania niektórych elementów technicznych z łyżwiarstwa na wykładzinie w jego gabinecie. Kiedy lodowisko stopniało, przeplatankę do przodu i do tyłu należało omówić i zademonstrować na wykładzinie. Niektórzy dostawali piątki.

Nasz rocznik był niewątpliwie bardzo zaradny. Ze swojej strony mogę powiedzieć, że nawet na moje i siostry bliźniaczki 20-ste urodziny, nie było problemem zaproszenie gwiazd polskiej rozrywki, dlatego też pokój 109 A gościł u siebie Halinę Frąckowiak, Krystynę Prońko i Krzysztofa Piaseckiego.



Jak się bawić to się bawić. Poza tym ze względu na upodobania muzyczne stałam się na swoim roku prekursorką muzyki środka i polskiego popu. Na I roku bardzo często bawiliśmy się przy piosenkach Anny Jantar i Maryli Rodowicz. Nawet przed egzaminem z organizacji kf, z którego potem było ok. 50 % ocen niedostatecznych.

Podsumowując chcę powiedzieć, że do znamienych cech naszego rocznika należała spora zażyłość z kadrą nauczycieli akademickich,

oczywiście tych najlepszych. Brylowały w tym zwłaszcza dziewczyny ze wspomnianego składu sportowego oraz organizacyjno-wspierającego. Zawsze starałyśmy się organizować rozgrywki sportowe pod kątem kadry. Wskrzesiłyśmy nawet rozgrywki w piłkę ręczną, które za naszą sprawą odbyły się po kilkuletniej przerwie. Za każdym razem przygotowałyśmy coś śmiesznego na finał z kadra, np. na meczu w koszykówkę pojawiło się jednocześnie kilka piłek, skrzynia pod koszem, związane nogi biegających ze sobą atakujących i obrońców, na mecz w piłkę ręczną przygotowałyśmy dla każdej nauczycielki skrzydła i Redbulla. Hasło zawodów brzmiało: „Redbull doda Ci skrzydeł”. Czasem wzmocniłyśmy nawet skład kadry dobrą studentką. Po rozgrywkach zapraszałyśmy kadrę do „Night Clubu” na mały poczęstunek. Ponieważ otrzymywałam najwyższe na roku stypendium – czułam się w obowiązku być sponsorem tych integracyjnych spotkań.



Myślę, że większość koleżanek i kolegów z roku doceniało naszych najlepszych nauczycieli, stąd może bardziej poufałe stosunki z kadra, niż można było zauważyć na niższych rocznikach. Większość miała swoje autorytety i przyjazne dusze, z którymi pielęgnowała swoje kontakty. Wyrazem szczególnej sympatii wobec kadry była nasza część

artystyczna na balu dyplomowym, w której każdy prowadzący znalazł coś o sobie lub dla siebie.

Zdecydowana większość studentów naszego rocznika studiowała z powodzeniem, bawiąc się przy tym doskonale. Na pewno jednak nie przebiliśmy w tym względzie wrażeń i wspomnień z czasów studiów naszych nauczycieli. Mimo wszystko bardzo staraliśmy się im w tym dorównać. Jeszcze połowy ze wspomnień wszystkich moich kolegów pewnie nie opisałam. Nie wszystko pamiętam, nie o wszystkim wiem. Nie wszystko da się również opisać, żeby oddać atmosferę obozów letnich i zimowych. Np. na obozie zimowym wszystko było „Ski” – od sznurówek, poprzez posiłki, piwo, dyskoteki – do „ski – nagany”. Wspomnieć należy o cyklicznych „Pizama Party”, dyskotekach połączonych z mityngami o „AIDS”, „Paleniu tytoniu”, „Stosowaniu wszelkich używek”, czy też konkursie wiedzy olimpijskiej. Wszystko to pozostawiam w domyśle czytelników, sugerując jednocześnie pomysł na życie studenckie młodszym rocznikom.

Myślę, że nie pomyłę się jeśli powiem, że obecnie zdecydowana większość stara się wypełniać jak najlepiej swoje obowiązki zawodowe, choćby ze względu na szacunek do swoich mistrzów i sentymentu do swojej uczelni.

**Karina Rubacha**  
**absolwentka 2005**



## **BARDZO ŚWIEŻE WSPOMNIENIA...**

**R**OZPOCZAŁ się nowy rozdział mojego życia – STUDIA!!! Myśli w głowie różne: radość, ciekawość, strach... Pierwszy rok, wiele osób twierdzi, że najgorszy i coś w tym chyba jest. Nowe miejsce, nowe twarze...

Pierwsze tygodnie były hm...? – stresujące, dziwne, czułam się nieswojo, niepewnie. Starłam się chodzić na wszystkie ćwiczenia i wykłady. Stałam się przykładną studentką. Mimo to, było jakoś dziwnie, jakby mi czegoś brakowało. Zaczęłam poznawać nowych ludzi, stworzyły się mniejsze grupki studentów, którzy trzymali się razem. Ja lepiej trafić nie mogłam. Rozpoczęło się nocne zwiedzanie Białej Podlaskiej. Odwiedzaliśmy knajpki, puby, dyskoteki... To właśnie w tym momencie zaczęłam studiować!

Dziwni ludzie na ulicy??!! W dziwnych strojach??!! Juwenalia czas zacząć!!! Paintball, bungee, sztafety piwne, koncerty, dyskoteki... Wszędzie coś się działo. Robiliśmy z siebie „wariatów” przez cały dzień biegając w różnych przebraniach po całym mieście, a wszystko po to, żeby zebrać jak najwięcej „kasy” i poszaleć za uzbieraną darowiznę w „Żaku”. I jak co roku, bez wyjątku, czy słońce, czy deszcz, cała Biała huczała, bo studenci mieli swoje święto.

Niestety Juwenalia były tylko raz w roku, a w międzyczasie też trzeba było się zrelaksować i odpocząć od nauki. A gdzie drzwi zawsze stoją otworem i chętnych do zabawy nie brakuje? Akademik wita wszystkich! (prawie wszystkich). Jeśli lubisz ciszę, spokój, porządek – omijaj akademik. Imprezy na stancjach też się zdarzały. Śpiewy, tańce, dyskusje, a nawet kłótnie... tak się tworzyła i cementowała nasza studencka przyjaźń. Po kilku semestrach nauki i imprezowego życia władze uczelni postanowiły się nas „pozbyć” i wysłały nas na Mazury do Pisz na tzw. obóz letni.

Tam też się nie obyło bez emocji i przygód. Nigdy w życiu nie zapomnę 4-ego lipca 2002 roku. Deszcz, grad, błyskawice, ogromna burza.



Drzewa łamały się jak zapalki, namioty składały się jak domki z kart. Jednak mimo to byliśmy dzielni i nikt poważniej nie ucierpiał.

Kolejny obóz, to zimowy w Szczyrku. Wszyscy przed wyjazdem w góry zastanawiali się, co tym razem może nas spotkać... Czy zasypie nas jakaś lawina, zje zablakany Yeti, czy połamiemy się zjeżdżając na nartach z jakiejś górki. Nic z tych rzeczy! Czarne stoki to była dla nas „pesteczka”. Od rana do nocy ubijaliśmy śnieg na stoku nartami lub tyłkiem.

Na III roku pojechaliśmy na kolejny obóz, tym razem wędrowny. Osobiście ten wyjazd wspominam najmiej. Oprócz chodzenia po górach, zorganizowaliśmy sobie wyjazd do Pragi i Wiednia. Było super!

Aby nie wyszło tak, że studenci AWF-u to „zespół imprezowiczów i nieuków” (bo to nie prawda), oświadczam wszem i wobec, że przychodził moment, gdy musieliśmy „zbastować” z zabawą i zabrać się ostro do nauki. Gdy przychodził czas zaliczeń i sesji całe dni spędzało się na pisaniu konspektów, różnego rodzaju prac i czasami... ściągawek. Biomechanika do dziś śni mi się po nocach. Jak to na studiach poprawki a nawet komis też się przytrafiały.

Niektóre wieczory trzeba było spędzić również na boisku, biegając, ćwicząc pchnięcia kulą czy rzut oszczepem. Układy na gimnastykę też trzeba było przygotować.

Wspomnień ze studenckiego beztroskiego życia, jest tak wiele, że nie sposób spisać tego w kilku zdaniach. Wszystko jest warte zapamiętania.

To trzeba samemu przeżyć. Studia na AWF-ie są super!!!

Żałuję, że to już koniec !!!

Pozdrawiam Panią Sabinę z „Żaka”.

„Żak” to oddzielne wspomnienia...

*Ciąg dalszy, być może, nastąpi...*

---

I Ty dołącz do autorów, przyślij swoje wspomnienia na adres:  
teresasadowska@wp.pl

Pochwal się także swoimi życiowymi sukcesami.

**W czasach chaosu, hałasu i pośpiechu zatrzymaj się, pomyśl o sobie  
– może poniższa „recepta na życie” pomoże Ci znaleźć samego Siebie...**

## DEZYDERATA

*Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech i pamiętaj, jakی spokój można znaleźć w ciszy.*

*O ile to możliwe bez wyrzekania się siebie bądź na dobrej stopie ze wszystkimi.*

*Wypowiadaj swoją prawdę jasno i spokojnie, wysłuchaj innych,  
nawet tępych i nieświadomych, oni też mają swoją opowieść.*

*Unikaj głośnych i napastliwych, są udręką ducha.*

*Porównując się z innymi możesz stać się próżny i zgorzkniały,  
bowiem zawsze znajdziesz lepszych i gorszych od siebie.*

*Niech twoje osiągnięcia zarówno jak plany będą dla Ciebie źródłem radości.*

*Wykonaj swą pracę z sercem, jakąkolwiek byłaby skromna,  
ją jedynie posiadasz w zmiennych kolejach losu.*

*Bądź ostrożny w interesach, na świecie bowiem pełno oszustwa.*

*Niech Ci to jednak nie zasłoni prawdziwej cnoty, wielu ludzi dąży  
do wzniosłych ideałów i wszędzie życie pełne jest heroizmu.*

*Bądź sobą, zwłaszcza nie udawaj uczucia.*

*Ani też nie podchodź cynicznie do miłości, albowiem wobec oschłości i rozczarowań  
ona jest wieczna jak trawa.*

*Przyjmij spokojnie co Ci lata doradzają, z wdziękiem wyrzekając się spraw młodości.  
Rozwijaj siłę ducha, aby mogła cię osłonić w nagłym nieszczęściu.*

*Lecz nie dręcz się tworam i wyobraźni. Wiele obaw rodzi się ze znużenia i samotności.  
Obok zdrowej dyscypliny bądź dla siebie łagodny.*

*Jesteś dzieckiem wszechświata nie mniej niż drzewa i gwiazdy, masz prawo być tutaj.*

*I czy to jest dla ciebie jasne czy nie wszechświat, bez wątpienia, jest na dobrej drodze.*

*Tak więc żyj w zgodzie z Bogiem, czymkolwiek On ci się wydaje, czymkolwiek się trudzisz  
i jakiegokolwiek są twoje pragnienia, w zgiełkowym pomieszaniu życia zachowaj spokój  
ze swą duszą.*

*Przy całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach jest to piękny świat.*

*Bądź uważny. Dąż do szczęścia.*

*Znalezione w starym kościele Św. Pawła w Baltimore  
(datowane 1692 r.)*